

**Agatha Christie**

**Tajemnica Sittaford**

przełożyła Maria A. Biernacka „

Tytuł oryginału angielskiego: „**The Sittaford Mystery**”

# Rezydencja Sittaford

Major Burnaby wciągnął gumowe buty, zapiał płaszcz pod szyję, wziął sztormową latarkę z półki przy drzwiach i ostrożnie otwierając drzwi swego domku, wyjrzał na dwór.

Widok, jaki ukazał się jego oczom, był typowy dla angielskiej wsi, przedstawianej na kartkach świątecznych i na scenach tradycyjnych świątecznych melodramatów. Wszędzie śnieg, potężne zaspasy zamiast kilkucalowej warstewki. W całej Anglii od czterech dni padało, a tutaj, na skraju Dartmoor, pokrywa śnieżna sięgała kilku stóp. W całej Anglii właściciele domów uskarżali się na popękane rury, zaś znajomość z hydraulikiem (czy choćby z pomocnikiem hydraulika) stała się najbardziej upragnionym przywilejem.

W tym zakątku, w maleńkiej wiosce Sittaford, zawsze odległej od reszty świata, a teraz odciętej od niego prawie całkowicie, surowa zima stwarzała bardzo istotne problemy.

Ale major Burnaby, twarda sztuka, tylko parsknął dwa razy, odchrząknął i dziarsko ruszył przez śnieg.

Drogę miał niedaleką: kilka kroków krętą alejką do bramy i dalej, podjazdem częściowo uprzątniętym ze śniegu, do okazałego domu wzniesionego z kamienia.

Drzwi otworzyła schludnie odziana pokojówka. Pomogła majorowi zdjąć ciepłą kurtkę, gumowe buty i wiekowy szalik.

Otwarty się drzwi i major wkroczył do pokoju, w całkowicie odmienny świat.

Choć było dopiero wpół do czwartej, zasłony już zaciągnięto, wszystkie światła się paliły, a na kominku płonął wesoło ogromny ogień. Na powitanie dzielnego starego wojaka podniosły się dwie kobiety w wizytowych sukniach.

— Cudownie, że zdecydował się pan przyjść, panie majorze — powiedziała starsza.

— To nic wielkiego, proszę pani. Bardzo miło, że mnie pani zaprosiła — uściśnął rączki obu pań.

— Będzie pan Garfield — ciągnęła pani Willett — i pan Duke. Pan Rycroft również zapowiedział, że przyjdzie, ale wzięwszy pod uwagę jego wiek i tę pogodę, trudno się tego spodziewać. Co za okropna pogoda. Człowiek czuje, że musi coś zrobić dla podtrzymania się na duchu. Violetto, dołóż jeszcze do ognia.

Major podniósł się szarmancko, aby ją wyręczyć.

— Pani pozwoli, panno Violetto.

Sprawnie umieścił polano w kominku i powrócił na fotel wskazany przez gospodynię. Ukradkiem

rozejrzał się dokoła. Zdumiewające, jak dwie kobiety potrafią zmienić charakter pokoju — choć na oko niby nic się nie zmieniło.

Rezydencja Sittaford została zbudowana dziesięć lat temu przez kapitana Marynarki Królewskiej Josepha Trevelyan, po jego przejściu na emeryturę. Był człowiekiem majątnym i zawsze marzył o tym, by zamieszkać w rejonie Dartmoor. Wybór jego padł na małą wioskę Sittaford. W odróżnieniu od większości wsi i gospodarstw rolnych leżących w dolinach, wioska ta znajdowała się na skarpie nad wrzosowiskami, w cieniu Wzgórza Sittaford. Kapitan zakupił dużą połąć ziemi i wybudował komfortowy dom z własną instalacją elektryczną i hydroforem. Następnie, dla powiększenia swych dochodów, postawił wzdłuż alejki sześć małych parterowych domków na ćwierćakrowych działkach.

Pierwszy z nich, tuż obok domu kapitana, przypadł w udziale jego staremu przyjacielowi i druhowi Johnowi Burnaby'emu; pozostałe sprzedawano stopniowo dzięki temu, że istnieją jeszcze ludzie pragnący, z wyboru lub z konieczności, życia na odludziu. Sama wioska składała się z trzech malowniczych, lecz zaniedbanych chat, kuźni i sklepiku ze słodyczami, w którym mieścił się również urząd pocztowy. Do najbliższego miasta Exhampton, odległego o sześć mil, prowadziła droga zbiegająca ostro w dół, opatrzona znakiem ostrzegawczym, tak często spotykanym na drogach Dartmoor: „Uwaga, kierowcy pojazdów motorowych — zjazd na najniższym biegu”.

Jak już wspomniano, kapitan Trevelyan był człowiekiem majątnym. Pomimo to — a może właśnie dlatego — niezmiernie kochał pieniądze. Pod koniec października agent nieruchomości z Exhampton zapytał go listownie, czy nie chciałby na jakiś czas wynająć swego domu pewnej osobie, która w tej sprawie zasięgała u niego informacji.

W pierwszym odruchu kapitan chciał odmówić, lecz później poprosił o bliższe informacje. Osobą zainteresowaną wynajęciem okazała się niejaka pani Willett, wdowa z córką. Niedawno przybyła z Południowej Afryki i chciała na zimę wynająć dom w Dartmoor.

— Do diabła, to chyba jakaś wariatka! — powiedział kapitan Trevelyan. — A ty co o tym myślisz, Burnaby?

Burnaby myślał tak samo i wyraził swoją opinię równie stanowczo jak jego przyjaciel.

— Przecież ty nie wynajmiesz domu — powiedział. — Niech ta wariatka uda się gdzie indziej, jeśli koniecznie chce zamarznąć. A w dodatku przyjechała z Południowej Afryki!

Lecz w tym momencie ocknęła się w kapitanie wrodzona miłość do pieniędzy. Szansa na wynajęcie domu w środku zimy może się zdarzyć najwyżej raz na sto lat. Poinformował się więc, ile lokatorka skłonna byłaby zapłacić.

Oferta dwunastu gwinei tygodniowo rozstrzygnęła sprawę. Kapitan Trevelyan udał się do Exhampton, gdzie wynajął domek na peryferiach za dwie gwinee tygodniowo, a Rezydencję Sittaford przekazał pani Willett, inkasując z góry wedle umowy połowę należności za czynsz.

— Głupca pieniądz się nie trzyma — mruknął.

Lecz owego popołudnia, gdy Burnaby ukradkiem obserwował panią Willett, wcale mu na głupią nie wyglądała. Pani Willett była wysoka i choć jej szczebiot wydawał się majorowi trochę naiwny, przeczył temu wyraz twarzy, na której malował się raczej spryt niż głupota. Była przesadnie wystrojona, mówiła z silnym akcentem kolonialnym i wydawała się całkiem zadowolona ze swej transakcji. Najwyraźniej była osobą bardzo zamożną i to, jak uważał Burnaby, czyniło całą sprawę jeszcze bardziej niejasną. Nie należała z pewnością do kobiet, którym przypisać by można zamiłowanie do odludnych miejsc.

Jako sąsiadka okazała się osobą wręcz żenująco towarzyską. Zaproszenia do rezydencji płynęły nieprzerwanym strumieniem. Kapitan Trevelyan ciągle wysłuchiwał zapewnień, że ma traktować dom jak swój, „tak, jakbyśmy go wcale nie wynajęły”. Trevelyan jednak nie przepadał za kobietami — jak wieść niesła, przeżył w młodości zawód miłosny. Uparcie więc odmawiał przyjmowania zaproszeń.

Od wprowadzenia się pań Willett minęły już dwa miesiące i początkowe zaskoczenie ich przyjazdem stopniowo opadło.

Burnaby, człowiek z natury małomówny, ciągle obserwował panią domu, niepomyślnym wymogów salonowej konwersacji. Chce uchodzić za naiwną, ale wcale taka nie jest — stwierdził. Przeniósł wzrok na Violetę Willett. Ładne dziewczę, ale chudzina, jak wszystkie one teraz. Co za pożytek z kobiety, kiedy nie wygląda na kobietę. W gazetach piszą, że krągłości znów wchodzi w modę. Najwyższy czas!

Zmusił się do uczestniczenia w rozmowie.

— Obawialiśmy się, że pan nie będzie mógł przyjść — mówiła pani Willett. — Tak pan mówił, prawda? Jak to miło że pan się w jednak zdecydował.

— Piątek — powiedział major Burnaby, przekonany, że wyraża się jasno.

— Piątek? — spytała zaskoczona pani Willett.

— Co piątek odwiedzam Trevelyan. Wtorki on spędza u mnie. Tak jest od lat.

— Ach, rozumiem. Naturalnie, skoro panowie mieszkają tak blisko...

— Przyzwyczajenie.

— I nadal panowie to podtrzymują? To znaczy teraz, gdy kapitan mieszka w Exhampton?

— Szkoda rezygnować z przyzwyczajień — powiedział major Burnaby. — Brakowałoby nam tych wieczorów.

— Panowie biorą udział w różnych konkursach, prawda? — spytała Violetta. — Krzyżówki, szarady i tym podobne.

Burnaby skinął głową.

— Ja rozwiązuję krzyżówki. Trevelyan szarady. Każdy trzyma się swego. W zeszłym miesiącu wygrałem trzy książki za rozwiązanie krzyżówki — uzupełnił z własnej woli.

— Coś podobnego! Jak to miło. Czy książki były ciekawe?

— Nie wiem. Nie czytałem. Wyglądały nieciekawie.

— Liczy się sam fakt wygranej, prawda? — powiedziała niepewnie pani Willett.

— Czym pan jeździ do Exhampton? — zapytała Violetta. — Przecież nie ma pan samochodu.

— Chodzę pieszo.

— Co? Naprawdę? Sześć mil?

— To dobry trening. Cóż to jest dwanaście mil? Utrzymuje człowieka w formie. A to bardzo ważne.

— Pomyśleć tylko! Dwanaście mil! Ach, prawda, przecież Pan i kapitan Trevelyan byliście znanymi sportowcami.

— Jeździliśmy razem do Szwajcarii. Zimą sporty zimowe! latem wspinaczka. Trevelyan świetnie sobie radził na lodowcu. Teraz jesteśmy już za starzy na takie rzeczy.

— Pan także zdobył pierwsze miejsce w biegach sportowych na raketach śnieżnych, prawda? — zapytała Violetta.

Major zarumienił się jak panna.

— Kto to pani powiedział? — wymamrotał.

— Kapitan Trevelyan.

— Lepiej by trzymał język za zębami — stwierdził Burnaby. — Za dużo gada. A jakaż to teraz pogoda?

Rozumiejąc zmieszanie majora, Violetta podeszła wraz z nim do okna. Odsunęli zasłonę i spojrzeli na posępny krajobraz.

— Będzie jeszcze padał śnieg i to chyba porządnie.

— Ach, jak cudownie — powiedziała Violetta. — Dla mnie śnieg to coś tak romantycznego. Nigdy go przedtem nie widziałam.

— Nic w tym romantycznego, kiedy rury zamarzają, ty głuptasie — zauważyła jej matka.

— Czy pani całe życie mieszkała w Południowej Afryce, panno Violetto? — spytał major Burnaby.

Ożywienie nagle opuściło dziewczynę. Odpowiedziała jakby z przymusem.

— Tak, to moja pierwsza podróż za granicę. Wszystko wydaje mi się takie zachwycające.

Zachwycające? Utknąć tutaj, w tej zapadłej wiosce na wrzosowisku? Co za dziwny pomysł! Major nie miał pojęcia, co o tym sądzić.

Drzwi otworzyły się i pokojówka zaanonsowała następnych gości.

— Pan Rycroft i pan Garfield.

Do pokoju wkroczył mały, zasuszony starszy pan, a za nim młody człowiek o świeżej cerze i chłopięcym wyglądzie.

— To ja go tu przyprowadziłem, proszę pani — rzekł młodzieniec. — Powiedziałem, że nie pozwolę mu zginąć w śnieżycy. Oho! Jak tu ładnie, po prostu pięknie. Ogień na kominku jak w Boże Narodzenie.

— Rzeczywiście mój młody przyjaciel był tak uprzejmy, że przyprowadził mnie tutaj — powiedział pan Rycroft, witając się ze wszystkimi nieco ceremonialnie. — Jak się pani miewa, panno Violetto? Pogoda bardzo stosowna do tej pory roku, może nawet zbyt stosowna.

Podszedł do kominka, rozmawiając z panią Willett. Ronald Garfield zajął się Violettą.

— Jak pani myśli, czy nie dałoby się tu gdzieś urządzić ślizgawki? Czy nie ma tu jakichś stawów?

— Obawiam się, że jedynym sportem dla pana może tu być odgarnianie śniegu.

— Cały ranek się tym zajmowałem.

— O, jaki dzielny mężczyzna!

— Proszę się ze mnie nie śmiać. Mam całe ręce w pęcherzach.

— A jak się miewa pańska ciotka?

— Czasem mówi, że się czuje lepiej, czasem, że gorzej, ale tak naprawdę, to chyba jednakowo. Cóż za okropne życie! Co roku zastanawiam się, jak to wytrzymam, ale cóż mogę zrobić? Jeżeli nie zajmę się tą starą na święta, to przecież gotowa zapisać cały swój majątek schronisku dla kotów. Wie pani, że ona ma pięć kotów? Ciągłe głaszczę te bestie i udaję, że za nimi przepadam.

— Ja o wiele bardziej lubię psy niż koty.

— Ja też. Bo pies jest... no, rozumie pani. Co pies, to pies.

— Czy pańska ciocia zawsze lubiła koty?

— To chyba typowe dla starych panien. Brr! Nie cierpię tych bestii.

— Pana ciotka jest bardzo miła, choć trochę despotyczna.

— Jeszcze jak! Czasem mocno daje mi się we znaki. Uważa, że nie grzeszę rozumem.

— Nie do wiary!

— Och, proszę, niech pani nie mówi tego takim tonem. Młodzi ludzie często robią wrażenie głupców, a w skrytości ducha śmieją się z tego.

— Pan Duke — zaanonsowała pokojówka.

Pan Duke był nowym człowiekiem w Sittaford, we wrześniu zakupił ostatni z sześciu domków. Był to mężczyzna okazały, spokojny, a poza tym wielki amator pracy w ogródku. Pan Rycroft, entuzjasta obserwacji życia ptaków i najbliższy jego sąsiad, bardzo go chwalił, wbrew opinii większości mieszkańców, którzy, owszem, przyznawali, że to człowiek spokojny i bardzo na miejscu, ale... czy to na pewno ktoś z towarzystwa? A nuż to jakiś kupiec, który wycofał się z interesów?

Jednakże nikt nie śmiał go o to pytać, a nawet uważano, że lepiej takich rzeczy nie wiedzieć. Bo gdyby się wiedziało, sytuacja stałaby się niezręczna, a przecież w takiej małej społeczności trzeba utrzymywać kontakty towarzyskie...

— Nie pójdzie pan chyba dzisiaj do Exhampton przy tej pogodzie? — zapytał majora Burnaby'ego.

— Nie, chyba Trevelyan dzisiaj się mnie nie spodziewa.

— Okropna pogoda! — Pani Willett wzdrygnęła się. — Jakby się było żywcem pogrzebanym. I tak rok po roku... to musi być okropne.

Pan Duke obrzucił ją błyskawicznym spojrzeniem. Major Burnaby również popatrzył na nią z ciekawością.

W tym momencie wniesiono herbatę.

# Przesłanie z zaświatów

Po podwieczorku pani Willett zaproponowała brydża.

— Jest nas sześcioro. Dwoje może być wychodzących.

Ronniemu rozblęły oczy.

— Zaczynajcie wy czworo — podsunął. — Panna Violetta i ja będziemy wychodzący.

Lecz pan Duke oświadczył, że nie gra w brydża.

Młodemu człowiekowi zrzęła mina.

— Możemy zagrać w jakąś inną grę — rzekła pani Willett.

— A może by tak seans spirytystyczny, wirujący stolik? — zastanawiał się Ronnie. — Jaki dziś niesamowity wieczór. Rozmawialiśmy o tym niedawno, pamiętacie państwo? Pan Rycroft i ja mówiliśmy o tym dzisiaj idąc tutaj.

— Jestem członkiem Towarzystwa Badań Metapsychicznych — wyjaśnił z właściwą sobie dokładnością pan Rycroft. — Mogłem więc skorygować pewne nieścisłości w opiniach mego młodego towarzysza.

— Co za bzdury! — obruszył się major.

— Och, ale bardzo zabawne, nie uważa pan? — wykrzyknęła Violetta. — Oczywiście, nikt nie wierzy w takie rzeczy. To po prostu zabawa. A co pan o tym sądzi, panie Duke?

— Jak pani sobie życzy, panno Violetto.

— Będziemy musieli zgasić światła i znaleźć odpowiedni stolik. Nie, mam, ten nie. Ten jest chyba za ciężki.

Ostatecznie wszystko zostało zorganizowane ku ogólnemu zadowoleniu. Z sąsiedniego pokoju przyniesiono mały okrągły stolik z błyszczącym blatem. Ustawiono go przed kominkiem i wszyscy zasiedli dookoła przy zgaszonych światłach.

Major Burnaby znalazł się między panią domu i Violettą. Po drugiej stronie Violetty siedział Ronnie Garfield. Na ustach majora igrał ironiczny uśmiech.

Za moich młodych lat trzymanie się za rączki pod stołem odbywało się pod przykrywką gry w „Jenkinsa” — pomyślał, usiłując odnaleźć w pamięci imię dziewczyny o puszystych włosach, której dłoń trzymał w ten sposób dość długo. To było dawno temu. Ale „Jenkins” był świetną grą.



Jak zwykle w takiej sytuacji zaczęło się od zduszonych śmieszek, szeptów i typowych uwag.

— Duchy się nie śpieszą.

— Mają długą drogę...

— Cii... nic z tego nie będzie, jeżeli nie zachowamy powagi.

— Och, bądźcie cicho! Wszyscy.

— Nic się nie dzieje.

— Naturalnie, że nie. Tak zawsze jest na początku.

— Przestańcie tylko gadać.

Wreszcie po pewnym czasie szmer rozmów ucichł.

Cisza.

— Ten stół milczy jak grób — mruknął Ronnie Garfield z niesmakiem.

— Cicho!

Polerowany blat zadrżał. Stół się zakołysał.

— Trzeba o coś zapytać. Kto będzie pytał? Ronnie, pytaj ty.

— Aha... hm... ee... Ale o co mam pytać?

— Czy duch już przybył — odpowiedziała Violetta.

— Aha. Halo! Czy duch przybył?

Silne kołysanie.

— To znaczy, że tak — wyszeptała Violetta.

— Aha. Ee... Kim jesteś?

Brak odpowiedzi.

— Poproś go, żeby przeliterował swoje imię. Stół zaczął się gwałtownie kiwać.

— A,B,C,D,E,F,G,H,I... a to co? Czy to miało być I czy J?

— Trzeba spytać. Czy to I? Jedno stuknięcie.

— Tak. Proszę o następną literę. Duch miał na imię „Ida”.

— Czy chcesz coś przekazać komuś z obecnych?

— Tak.

— Komu? Pannie Willett?

— Nie.

— Pani Willett?

— Nie.

— Panu Rycroftowi?

— Nie.

— Mnie?

— Tak.

— To dla ciebie, Ronnie. Pytaj dalej. Poproś, żeby znów przeliterował.

Stolik wystukał imię „Diana”.

— Kto to jest Diana? Czy znasz jakąś Dianę?

— Nie, żadnej. Przynajmniej...

— O, proszę! Zna ją!

— Zapytaj, czy to wdowa.

Zabawa toczyła się w najlepsze. Pan Rycroft uśmiechał się wyrozumiale. Młodzi muszą się bawić. W przelotnym rozbłysku ognia dostrzegł twarz pani domu. Wydawała się zgnębiona, jakby nieobecna, myślami błądząca gdzieś daleko.

Major Burnaby dumał o śniegu. Znosi się na nową śnieżycę wieczorem. To najsrozsza zima, jaką pamiętał.

Pan Duke bardzo poważnie traktował seans. Niestety, duchy nie poświęcały mu uwagi. Wszystkie przekazy dotyczyły na razie Violetty i Ronniego.

Violetta dowiedziała się, że pojedzie do Włoch, ktoś będzie jej towarzyszył. Nie kobieta. Mężczyzna. Imieniem Leonard.

Znowu wybuchy śmiechu. Stolik podał nazwę miasta. Mieszanina liter. Przypominało to słowo

rosyjskie — zupełnie niepodobne do języka włoskiego.

Padaly zwykly w takich sytuacjach oskarzenia.

— Słuchaj, Violetto — już nie „proszę pani” — popychasz stolik.

— Nie popycham! Spójrz, trzymam ręce nad stołem, a on ciągle się kręci.

— Mnie się podoba to stukanie. Poproszę go, żeby jeszcze zastukał. Głośno!

— On powinien stukać! — zwrócił się Ronnie do pana Rycrofta. — Prawda, proszę pana?

— W takich warunkach trudno się tego spodziewać — odrzekł sucho pan Rycroft.

Chwila ciszy. Stolik trwał nieruchomo. Nie odpowiadał na pytania.

— Czy Ida odeszła?

Jedno leniwe kiwnięcie.

— Czy możemy się spodziewać innego ducha?

Nic. Po chwili stolik nagle drgnął i zaczął się gwałtownie kołysać.

— Bravo! Czy jesteś nowym duchem?

— Tak.

— Czy chcesz komuś coś przekazać?

— Tak.

— Mnie?

— Nie.

— Violetcie?

— Nie.

— Majorowi Burnaby'emu?

— Tak.

— To do pana, panie majorze. Czy będziesz uprzejmy to przeliterować?

Stolik zaczął się z wolna obracać.

— T,R,E,V — czy to na pewno było „V”? Niemożliwe, TREV — to nie ma sensu.

— Oczywiście, to Trevelyan — powiedziała pani Willett. — Kapitan Trevelyan.

— Czy to ma być kapitan Trevelyan?

— Tak.

— Masz wiadomość dla kapitana Treveljana?

— Nie.

— Więc co chcesz powiedzieć?

Stolik zaczął się obracać, wolno, rytmicznie, tak wolno, że łatwo było policzyć litery.

— N — pauza — NIEŻY...

— Nie żyje.

— Czy ktoś nie żyje?

Zamiast odpowiedzieć „tak” lub „nie”, stolik znów zaczął się kręcić, aż doszło do litery „T”.

— T... czy to ma być Trevelyan?

— Tak.

— Chyba nie mówisz, że Trevelyan nie żyje?

— Tak.

Bardzo ostre kiwnięcie: Tak.

Ktoś wydał zduszony krzyk. Wśród siedzących przy stole podniósł się lekki szmer.

Ronnie podjął pytania, ale jego głos brzmiał teraz inaczej —przerażony, niepewny.

— Czy chcesz powiedzieć, że... kapitan Trevelyan nie żyje?

— Tak.

Zapadła cisza, tak jak gdyby nikt nie wiedział, o co dalej pytać i jak się zachować wobec tak niespodziewanej komplikacji.

I wśród tej ciszy stolik znowu ruszył.

Wolno i rytmicznie Ronnie odczytywał głośno kolejne litery.

M — O — R — D — E — R — S — T — W — O...

Pani Willett krzyknęła i oderwała ręce od stołu.

— Dość tego! To okropne. To mnie przeraża..

Lecz teraz zabrzmiał dźwięcznie i wyraźnie głos pana Duke'a.

— Czy chcesz powiedzieć, że kapitan Trevelyan został zamordowany?

Zaledwie doszedł do ostatniego słowa, przyszła odpowiedź. Stół zawirował tak gwałtownie, że omal się nie przewrócił. Tylko jedno kiwnięcie...

— Tak.

— Słuchajcie — zaczął Ronnie. Zdjął ręce ze stołu. — Według mnie to paskudny żart. — Głos mu zadrżał.

— Zapalmy światło — rzekł pan Rycroft.

Major Burnaby wstał i przekręcił kontakt. W blasku lamp ukazał się krąg pobladłych, przerażonych twarzy. Zebrani spojrzeli po sobie. Nikt nie wiedział, co powiedzieć.

— To wszystko, oczywiście, głupstwa — odezwał się Ronnie z niewyraźnym uśmiechem.

— Idiotyczne bzdury — potwierdziła pani Willett. — Nikomu nie wolno... nie wolno robić takich żartów.

— Takich żartów o umieraniu — dodała Violetta. — To po prostu... och, uważam, że to wstrętne.

— Ja nie popychałem — zapewniał Ronnie, czując że inni milcząco go oskarżają. — Przysięgam, że nie.

— To samo mogę powiedzieć o sobie — dodał pan Duke. — A pan, panie Rycroft?

— Oczywiście, że nie — gorąco zaprzeczył pan Rycfort.

— Chyba państwo nie myślą, że mógłbym się posunąć do takich żartów? — burknął Burnaby. — Bardzo niesmaczny żart!

— Violetto, kochanie...

— Ja tego nie zrobiłam, mamo, naprawdę. Nigdy bym czegoś podobnego nie wymyśliła. — Dziewczyna była bliska płaczu.

Wszyscy poczuli się zażenowani. Na rozbawione towarzystwo padł nagły cień.

Major Burnaby odsunął krzesło, podszedł do okna i uniósł zasłonę. Stał tam przez chwilę,

wyglądając na dwór, odwrócony tyłem do pokoju.

— Dwadzieścia pięć po piątej — zauważył pan Rycroft, spojrzawszy na zegar. Porównał czas z własnym zegarkiem, a obecni niejasno odczuli, że ma to jakieś istotne znaczenie.

— No, moi państwo — powiedziała pani Willett z wymuszonym uśmiechem — chyba pora na koktajle. Czy może pan zadzwonić, panie Garfield?

Ronnie wykonał polecenie.

Przyniesiono alkohole, a Ronnie'ego mianowano barmanem. Napięcie nieco zelżało.

— A więc — rzekł Ronnie, wznosząc swoją szklankę — do dzieła.

Przyłączyli się do niego wszyscy z wyjątkiem milczącej postaci przy oknie.

— Panie majorze! Oto pański koktajl.

Major drgnął i wyprostował się. Odwrócił się powoli.

— Dziękuję, pani Willett. Nie będę pił. — Raz jeszcze spojrzął w ciemność nocy za oknem, po czym wolno podszedł do grupy przy kominku.

— Bardzo dziękuję za miłe przyjęcie. Dobranoc.

— Chyba jeszcze pan nie wychodzi?

— Niestety muszę.

— Ależ nie tak zaraz... i to w taki wieczór...

— Niestety, proszę pani, muszę. Gdyby tylko można było zatelefonować...

— Zatelefonować?

— Tak. Prawdę mówiąc jestem trochę... no cóż. Chciałbym się upewnić, że Joe Trevelyan jest żywy i zdrowy. To oczywiście głupie przesady, ale cóż robić. Naturalnie ja w takie bzdury nie wierzę, jednakże...

— Ale nie ma skąd zatelefonować. W Sittafort nie ma w ogóle telefonów.

— Właśnie o to chodzi. Skoro nie można tego załatwić przez telefon, muszę udać się tam osobiście.

— Udać się? Ależ żaden samochód nie przejedzie po tej drodze. Elmer nie wyprowadziłby samochodu w taką noc.

Elmer był właścicielem jedyne w okolicy samochodu, wiekowego forda, wynajmowanego po

wygórowanej cenie tym, którzy pragnęli się dostać do Exhampton.

— Nie, samochodem wykluczone. Zawiodą mnie tam moje własne nogi, proszę pani.

Podniósł się chór protestów.

— Och, panie majorze, to niemożliwe. Pan sam mówił, że zanosi się na śnieżycę.

— Jeszcze nie powinno padać przez godzinę, może dłużej. Jakoś tam dotrę, proszę się nie obawiać.

— Ależ tak nie można! Nie możemy na to pozwolić!

Pani Willett była bardzo przejęta i zdenerwowana. Ale argumenty i błagania odbijały się od majora Burnaby'ego jak groch od ściany. Był człowiekiem upartym. Gdy coś sobie postanowił, żadna ziemską istota nie mogłaby go od tego odwieść.

Postanowił, że pójdzie do Exhampton i przekona się na własne oczy, czy u starego przyjaciela wszystko jest w porządku. To kategoryczne stwierdzenie powtórzył kilka razy.

Na koniec wszyscy zrozumieli, że niezłomnie trwa w swoim zamiarze. Otulił się kurtką, zapalił sztormową latarkę i wyruszył w ciemność.

— Wstąpię tylko do siebie po manierkę — oświadczył raźnie — a potem od razu ruszam w drogę. Trevelyan mnie przenocuje, jak do niego dotrę. Wiem, że to śmieszne robić tyle zamieszania. Na pewno zastanę wszystko w porządku. Proszę się o mnie nie martwić, pani Willett. Śnieg czy nie śnieg, i tak tam dojdę za parę godzin. Dobranoc!

Ruszył szybkim krokiem. Pozostali wrócili do kominka. Rycroft popatrzył na niebo.

— Będzie śnieżycza — zwrócił się cicho do pana Duke'a. — A zacnie się na długo przed rym, nim zdąży do Exhampton. Miejmy nadzieję, że dotrze tam bezpiecznie.

Pan Duke zmarszczył brwi.

— Ja też się niepokoję. Mam uczucie, że powinienem być z nim pójść. Jeden z nas powinien to zrobić.

— Takie zmartwienie! — westchnęła pani Willett. — Fatalna sytuacja! Violetto, już nigdy nie pozwolę na tę głupią zabawę w duchy. Biedny major Burnaby na pewno ugrzęźnie w śniegu, a jeżeli nawet nie, to gotów umrzeć z zimna. I to w jego wieku! Bardzo niemądrze z jego strony wyruszać w taką drogę. Oczywiście okaże się, że kapitan Trevelyan jest w doskonałej formie.

Wszyscy przytaknęli.

— Ależ naturalnie!

Lecz mimo to nie czuli się zbyt pewnie... A nuż coś się naprawdę stało kapitanowi?



# Dwadzieścia pięć po piątej

W dwie i pół godziny później, tuż przed ósmą, major Burnaby ze sztormową latarką w garści, z głową pochyloną do przodu w oślepiającej śnieżnej zamieci wkroczył połykając się na ścieżkę, wiodącą do drzwi małego domku o nazwie Hazelmoor, wynajętego przez kapitana Trevelyana.

Śnieg zaczął sypać mniej więcej godzinę temu — wielkie, oślepiające płatki. Major dyszał głośno i spazmatycznie łapał powietrze, jak człowiek skrajnie wyczerpany. Zdrętwiał z zimna. Tupiąc nogami dmuchał, sapał, parskął i wreszcie zeszywniałymi od mrozu palcami nacisnął guzik przy wejściu.

Rozległ się ostry dźwięk dzwonka.

Burnaby odczekał. Po kilku minutach znów nacisnął dzwonek.

I tym razem żadnego znaku życia.

Burnaby zadzwonił po raz trzeci. Tym razem nie odrywał palca od dzwonka. Dzwoniło nieprzerwanie, ale nadal w środku nie było słyhać żadnych oznak życia.

Na drzwiach wisiała kołatka. Major chwycił za rączkę i zaczął grzmiąco kołatać.

Mały domek ciągle milczał jak martwy.

Major przestał się dobijać. Stał przez chwilę jakby zakłopotany, po czym z wolna wrócił na ścieżkę i wyszedł furtką. Ta sama droga, którą przedtem zdążał do Exhampton, zaprowadziła go do odległego o jakieś sto jardów małego posterunku policji.

Wahał się przez chwilę, wreszcie się zdecydował i wszedł do środka.

Posterunkowy Graves, który bardzo dobrze znał majora, wstał z miejsca z wyraźnym zdumieniem.

— Coś podobnego! Pan major. Tutaj, w taką pogodę!

— Niech pan posłucha — rzekł krótko Burnaby. — Dzwoniłem i kołatałem do drzwi kapitana Trevelyana i żadnej odpowiedzi.

— Ano tak, to przecież piątek — przypomniał sobie Graves, który znał dobrze obyczaje dwóch przyjaciół. — Ależ czy to znaczy, że pan naprawdę przyszedł z Sittaford w taką noc? Chyba kapitan się pana nie spodziewał.

— Czy się spodziewał, czy nie, przyszedłem — odparł ostro Burnaby. — I, jak już panu mówiłem, nie mogę się tam dostać. Dzwoniłem i stukałem, i nikt nie odpowiada.

Jego niepokój częściowo udzielił się policjantowi.

— To dziwne — powiedział, marszcząc czoło.

— Naturalnie, że dziwne — potwierdził Burnaby.

— Chyba nie mógł wyjść z domu w taką noc?

— Oczywiście, że nie mógł wyjść.

— To naprawdę dziwne — powtórzył raz jeszcze Graves. Burnaby zniecierpliwił się powolnością posterunkowego.

— Czy robi pan coś wreszcie? — warknął.

— Mam coś zrobić?

— Tak, trzeba coś zrobić.

Policjant zastanowił się.

— Myśli pan, że on może zasłał? — Twarz mu się rozjaśniła.

— Spróbuję zatelefonować. — Telefon stał tuż obok, Graves podniósł słuchawkę i podał numer.

Lecz kapitan Trevelyan nie odpowiadał na telefon, tak jak nie odpowiadał na dzwonek u drzwi.

— Wygląda na to, że naprawdę zasłał — powiedział posterunkowy, odkładając słuchawkę. — I jest zupełnie sam w tym domu. Trzeba wezwać doktora Warrena i pójdziemy tam razem z nim.

Doktor Warren mieszkał tuż obok posterunku policji. Zasiadał właśnie z żoną do kolacji i nie był zachwycony tym wezwaniem. Jednakże, choć niechętnie, zgodził się z nimi pójść. Wciągnął ciepłą, prastarą wojskową kurtkę i gumowce, a szyję opatulił ciepłym włóczkowym szalem.

Śnieg padał nieprzerwanie.

— Diabelska noc — mruczał doktor. — Mam nadzieję, że nie wyciągacie mnie po próżnicy. Trevelyan jest zdrowy jak koń. Nigdy w życiu nie chorował.

Burnaby nic nie odpowiedział.

Dotarli do Hazelmoor, znów zaczęli dzwonić i stukać, lecz nie było żadnej odpowiedzi.

Wtedy doktor zaproponował, żeby obejść dom od tyłu i jakoś się dostać do któregoś z tylnych okien. Łatwiej się tam będzie włamać niż do tych drzwi.

Graves przyznał mu rację i zaczęli obchodzić dom. Po drodze trafili na boczne wejście, którym próbowali się dostać, lecz drzwi były również zamknięte. Wreszcie znaleźli się na zasypanym

śniegiem trawniku, na który wychodziły tylne okna. Nagle Warren krzyknął.

— Te oszklone drzwi do gabinetu... spójrzcie, otwarte! Rzeczywiście, oszklone drzwi do gabinetu stały otworem.

Przyśpieszyli kroku. W taką pogodę nikt przy zdrowych zmysłach nie otwierałby drzwi. W pokoju paliło się światło, którego słaby odblask sączył się przez szyby.

Wszyscy trzej równocześnie dobiegli do drzwi. Pierwszy wszedł Burnaby, tuż za nim policjant.

Obaj stanęli jak wryci. Z ust starego żołnierza wydarł się zduszony okrzyk. W jednej chwili dołączył do nich Warren i oczom wszystkich przedstawił się ten sam widok.

Kapitan Trevelyan leżał na środku, twarzą do podłogi. Ręce miał szeroko rozrzucone. W pokoju panował bałagan: szuflady powyciągano z biurka, papiery poniewierały się na podłodze. Na ramie oszklonych drzwi, przez które weszli, widać było przy zamku ślady włamania. Obok kapitana leżał gruby na dwa cale wałek ciasno zwiniętego zielonego sukna.

Warren rzucił się naprzód. Ukląkł przy ciele. Wystarczyła jedna minuta. Wstał z pobladłą twarzą.

— Nie żyje? — spytał Burnaby.

Doktor skinął głową.

Następnie zwrócił się do Gravesa.

— To pan musi nam powiedzieć, co trzeba teraz zrobić. Ja mogę tylko zbadać ciało, ale może pan uważa, że lepiej z rym poczekać do przyjścia inspektora. Przyczynę śmierci mogę określić już teraz. Złamanie podstawy czaszki. I chyba mogę odgadnąć, jakiej użyto broni. — Wskazał na wałek z zielonego sukna.

— Trevelyan zawsze trzymał takie wałki na podłodze przy drzwiach, żeby chroniły od przeciągów — powiedział Burnaby ochryłym głosem.

— Tak, to bardzo skuteczny wariant worka z piaskiem.

— Mój Boże!

— Ależ tutaj mamy... — zaczął posterunkowy. Jego myśli docierały z wolna do sedna. — Chce pan powiedzieć, że tutaj mamy do czynienia z morderstwem! — Podeszedł do stołu, na którym stał telefon.

Major Burnaby zbliżył się do doktora.

— Czy może pan określić — powiedział dysząc ciężko — jak dawno nastąpiła śmierć?

— Jakieś dwie godziny temu, jak mi się zdaje, może trzy, tak oceniając z grubsza.

Burnaby przesunął językiem po spieczonych ustach.

— Czy uważa pan — spytał — że mogli go zabić dwadzieścia pięć minut po piątej?

Doktor spojrział na niego z zaciekawieniem.

— Gdybym musiał dokładnie określić godzinę, tak właśnie powiedział.

— O mój Boże... — wyszeptał Burnaby. Warren patrzył na niego.

Niepewnie, jak ślepiec, major zbliżył się do krzesła, opadł na nie ciężko i wybełkotał, wytrzeszczając przerażone oczy:

— Dwadzieścia pięć po piątej... O mój Boże, więc to jednak była prawda.

# Inspektor Narracott

Następnego ranka po tragedii w małym gabinecie Hazelmoor stało dwóch mężczyzn.

Inspektor Narracott rozejrzał się dookoła. Na jego czole rysowała się lekka zmarszczka.

— Taak... — powiedział zamyślony. — Tak...

Inspektor Narracott był bardzo sprawnym policjantem. Odznaczał się spokojem i wytrwałością, logicznym umysłem i spostrzegawczością, dzięki czemu odnosił sukcesy tam, gdzie wielu innym to się nie udawało.

Był wysokim, spokojnym mężczyzną o szarych oczach i rozgarniętym spojrzeniu, mówił powoli z dewońskim akcentem.

Wezwany z Exeter, aby zajął się tą sprawą, przyjechał tu pierwszym rannym pociągiem. Drogi w tej chwili były nieprzejezdne dla samochodów, nawet przy zastosowaniu łańcuchów na koła, inaczej bowiem zjawiłby się już poprzedniego wieczora. Stał teraz w gabinecie kapitana Trevelyana, w którym przed chwilą ukończył oględziny. Towarzyszył mu sierżant Pollock z posterunku w Exhampton.

— Ta-ak — wyrzekł inspektor Narracott.

Do pokoju zaglądał promień bladego, zimowego słońca. Za oknami świat leżał pod śniegiem. W odległości mniej więcej stu jardów od okna wznosiło się ogrodzenie, a za nim strome zbocze pokrytego śniegiem wzgórza.

Narracott pochylił się raz jeszcze nad ciałem, które zostawiono na miejscu, by mógł dokonać oględzin. Sam był człowiekiem atletycznej budowy ciała i w zmarłym dostrzegał również typ atlety: szerokie ramiona, wąskie biodra, silnie rozwinięte mięśnie. Nieduża głowa zabitego była dobrze osadzona na ramionach, a spiczasta, typowo marynarska broda starannie przystrzyżona. Kapitan Trevelyan, jak stwierdził inspektor, miał sześćdziesiąt lat, ale wyglądał na pięćdziesiąt jeden lub dwa — niewiele więcej.

— Aha! — powiedział sierżant Pollock.

Inspektor zwrócił się do niego.

— I co powiecie na to wszystko?

— Ano... — sierżant Pollock podrapał się w głowę. Był ostrożny, nie miał ochoty posuwać się dalej niż potrzeba. — Więc — zaczął — tak jak ja to widzę, panie inspektorze, powiedziałbym, że ten człowiek podszedł do oszklonych drzwi, wyłamał zamek i zaczął plądrować pokój. Kapitan

Trevelyan musiał być na górze. Na pewno włamywacz myślał, że dom jest pusty.

— Gdzie jest sypialnia kapitana?

— Na górze, panie inspektorze. Akurat nad tym pokojem.

— O tej porze roku ściemnia się już o czwartej. Gdyby kapitan Trevelyan był na górze w sypialni, paliłoby się tam światło i włamywacz widziałby je, podchodząc do drzwi.

— Pan uważa, że w takim przypadku zaczekałby?

— Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się włamywać do domu, w którym pali się światło. Jeżeli ktoś wyłamał te drzwi, zrobił to, ponieważ uważał, że dom jest pusty.

Sierżant Pollock podrapał się po głowie.

— Rzeczywiście, to wydaje się dziwne. Ale tak musiało być.

— No, na razie mniejsza o to. Co dalej?

— Więc przypuśćmy, że kapitan słyszy hałas na dole. Schodzi, żeby zbadać, co się dzieje. Włamywacz słyszy jego kroki, łapie ten wałek, chowa się za drzwiami i kiedy kapitan wchodzi do pokoju, uderza z tyłu.

Inspektor Narracott skinął głową.

— Tak. To prawda, został uderzony, kiedy stał zwrócony twarzą, do oszklonych drzwi. Ale mimo wszystko jakoś mi się to nie podoba.

— Dlaczego, panie inspektorze?

— Bo tak jak powiedziałem, nie wierzę we włamanie do domu o piątej po południu.

— No... może uznał, że trafia się okazja.

— Tu nie było żadnej okazji, żeby mógł się wśliznąć, ponieważ zauważył nie domknięte drzwi. To było rozmyślne włamanie. Spójrzmy na bałagan, jakiego tu wszędzie narobił. A gdzie przede wszystkim poszedłby włamywacz? Do pokoju kredensowego, gdzie trzyma się srebro.

— To prawda — przyznał sierżant.

— A ten bałagan tutaj? Wszystko powywracane. Te powyciągane szuflady, a ich zawartość porozrzucana? Phi! To nonsens.

— Nonsens?

— Spójrzcie na te oszklone drzwi, sierżancie. One nie były zamknięte na zatrask i wyłamane!

Były po prostu zamknięte na klamkę, a drewno koło zamka ktoś rozłupał od zewnątrz, żeby stworzyć pozory włamania.

Pollock obejrzał starannie zatrzask u drzwi i nagle wydał okrzyk.

— Pan ma rację, panie inspektorze — powiedział z szacunkiem. — Komu by to przyszło do głowy?

— Komuś, kto chciał nas okpić, ale to mu się nie udało.

Sierżant Pollock był wdzięczny inspektorowi za słówko „nas”. Takimi drobnymi gestami inspektor Narracott zjednywał sobie sympatię podwładnych.

— A zatem to nie było włamanie. Pan uważa, że to była robota kogoś, kto był w domu.

Inspektor Narracott skinął głową.

— Tak — powiedział.

— Ale jedno jest ciekawe: to, że, jak myślę, morderca rzeczywiście wszedł tylnymi drzwiami. Jak meldowaliście razemj z Gravesem, a ja sam widzę teraz, widać jeszcze mokre plamy na podłodze w miejscach, gdzie stopniał śnieg spod butów mordercy. Te mokre plamy są tylko w tym pokoju. Posterunkowy Graves był całkiem pewny, że nic takiego nie widzieli w holu, gdy przechodzili tamtędy z doktorem Warrenem. W tym pokoju zauważył je natychmiast. W tej sytuacji jest chyba jasne, że mordercę wpuścił do środka przez te oszklone drzwi kapitan Trevelyan. A zatem musiał to być ktoś mu znany. Powiedzcie mi, sierżancie, jako człowiek tutejszy i zorientowany, czy kapitan Trevelyan należał do ludzi, którzy z łatwością robią sobie wrogów?

— Nie, panie inspektorze, nie miał żadnych wrogów. Trochę był łasy na pieniądze i trochę służbista, surowy. Nie znosił lenistwa i arogancji, ale, Bóg mi świadkiem, za to go szanowano.

— Żadnych wrogów... — Narracott zamyślił się.

— To znaczy żadnych w tej okolicy.

— Słuszna uwaga; nie wiadomo, czy nie naraził się komuś w czasach, gdy służył w marynarce. Co prawda, według mojego doświadczenia, człowiek, który ma wrogów w jednym miejscu, będzie ich miał gdzie indziej, ale zgadzam się, że nie można wykluczyć takiej możliwości. Rozważmy teraz logicznie następny motyw, najczęstszy motyw każdej zbrodni: zysk. Jak rozumiem, kapitan Trevelyan był człowiekiem bogatym?

— Rzeczywiście, był dobrze sytuowany — za takiego powszechnie uchodził. Ale skąpy. Niełatwo było go namówić do składania datków na różne cele.

— Aha! — powiedział Narracott i znów się zamyślił.

— Szkoda, że padał taki gęsty śnieg — zauważył sierżant. — Gdyby nie to, mielibyśmy odciski

butów jako poszlakę.

— Nikogo innego nie było w domu? — spytał inspektor.

— Nie. Przez ostatnie pięć lat kapitan miał tylko jednego służącego, emerytowanego marynarza. W Sittaford co dzień przychodziła kobieta do sprzątanego, ale gotował i obsługiwał go ten facet, Evans. Jakiś miesiąc temu Evans się ożenił, ku wielkiemu niezadowoleniu kapitana. Myślę, że to był jeden z powodów, dla których zdecydował się wynająć dom tej pani z Południowej Afryki. Nie chciał w domu żadnej kobiety. Evans mieszka teraz tutaj, zaraz za rogiem, na Fore Street, razem z żoną, i co dzień przychodził obsługiwać kapitana. Zatrzymałem go teraz, żeby pan mógł się z nim rozmówić. Zznał, że wyszedł stąd wczoraj po południu o wpół do trzeciej, bo kapitan już go nie potrzebował.

— Tak, zobaczę się z nim... Może będzie mógł powiedzieć nam coś... co się przyda.

Sierżant Pollock spojrział z ciekawością na swego zwierzchnika, gdyż w jego głosie zabrzmiała jakaś dziwna nuta.

— Pan inspektor sądzi... — zaczął.

— Sądzę — powiedział inspektor Narracott z naciskiem — że za tą sprawą kryje się znacznie więcej, niż się pozornie wydaje.

— Jak to, panie inspektorze?

Lecz inspektor nie dał się wciągnąć w dalsze rozważania.

— Powiadacie, że ten człowiek, Evans, jest tutaj?

— Czeka w jadalni.

— Dobrze. Zobaczę się z nim zaraz. Co to za jeden?

Sierżant Pollock lepiej nadawał się do przedstawiania faktów, niż do szczegółowych opisów.

— To emerytowany majtek. Tak na oko niezły bokser, z tych, co to lepiej z nimi nie zaczynać.

— Pije?

— Nie widziałem nigdy, żeby mu to szkodziło.

— A jego żona.? Czy nie była sympatią kapitana lub kimś w tym rodzaju?

— O nie, panie inspektorze. Takie rzeczy to nie dla kapitana. On nie należał do panów w tym rodzaju. A w ogóle, to wszyscy wiedzieli, że nie znosi kobiet.

— A o Evansie wiadomo, że był oddany swemu panu?



— Tak wszyscy uważali, a gdyby nie był, też by się o tym wiedziało. Exhampton to mała dziura.

Inspektor Narracott kiwnął głową.

— No, tu już nic więcej nie mam do oglądania — powiedział. — Przesłucham Evansa, obejrzę resztę domu, a potem pójdziemy pod Trzy Korony i porozmawiamy z tym majorem Burnabym. Zaciekała mnie jego uwaga na temat pewnej określonej godziny — dwadzieścia po piątej, tak? Musi wiedzieć coś, o czym nie mówił, bo dlaczego miałby sugerować godzinę zabójstwa z taką dokładnością?

Ruszyli do drzwi.

— Dziwna sprawa — powiedział sierżant Pollock, błędząc spojrzeniem po zaśmieconej podłodze. — I to całe sfingowane włamanie!

— Dla mnie nie ma w tym nic dziwnego — odparł Narracott.

— W tych okolicznościach było to prawdopodobnie naturalne. Nie, mnie dziwią tylko oszklone drzwi.

— Drzwi, panie inspektorze?

— Tak. Dlaczego morderca musiał wejść właśnie tymi drzwiami. Zakładając, że był to ktoś, kogo Trevelyan znał i wpuścił bez pytania, dlaczego nie skierował się do drzwi frontowych? Schodzić z drogi w taką noc i okrążyć dom, żeby się tu dostać, to rzecz trudna i nieprzyjemna, kiedy wszystko tonie w zaspach. A jednak musiał być jakiś powód.

— Być może — zastanawiał się Pollock — ten człowiek nie chciał, żeby go zobaczono, jak skręca z drogi do tego domu.

— Raczej nie miał kto go oglądać wczoraj po południu. Kto tylko nie musiał wychodzić, ten siedział w domu. Nie, musi być jakaś inna przyczyna. Ano, może wyjdzie to na jaw w swoim czasie.

# Evans

W jadalni zastali czekającego na nich Evansa. Na widok wchodzących wstał z szacunkiem.

Był niski i krępy. Odznaczał się bardzo długimi rękami, a stojąc miał zwyczaj lekko zaciskać dłonie w pięści. Był gładko wygolony, miał małe świńskie oczka i przypominał trochę buldoga, lecz brzydotę łagodziła bijąca zeń pogoda i energia.

Inspektor Narracott zanotował w pamięci swoje wrażenia: „Inteligentny. Bystry i praktyczny. Wyraźnie zdenerwowany”. Po czym zaczął zadawać pytania.

— Nazywacie się Evans, tak?

— Tak, proszę pana.

— Imiona?

— Robert Henryk.

— Aha. I co wiecie o tym, co się tu stało?

— Nic, proszę pana. To mnie całkiem zważyło z nóg. Pomyśleć tylko, że rąbnęli nam kapitana...

— Kiedy ostatnio widzieliście waszego pana?

— Chyba tak coś około drugiej, proszę pana. Posprzątałem po obiedzie i nakryłem stół, tak jak pan widzi, do kolacji. Kapitan powiedział, że nie potrzebuję już dziś przychodzić.

— A zwykle co robicie w ciągu dnia?

— Normalnie wracałem jeszcze raz koło siódmej na parę godzin. Nie zawsze. Czasem kapitan mówił, że mnie już potrzebuje.

— Więc nie zdziwiliście się wczoraj, kiedy wam powiedział, że już nie musicie przychodzić?

— Nie, proszę pana. Przedwczoraj też już nie wracał z uwagi na pogodę. Kapitan to był człowiek bardzo ludzki tych, co się nie wykręcali od roboty. Ja go dobrze znałem i poznałem jego zwyczaje.

— A co dokładnie wam powiedział?

— No więc... wyjrzał przez okno i powiedział: „Nie ma się co spodziewać Burnaby’ego”. A potem powiedział: „Nie dziwiłbym się, gdyby Sittaford było całkiem odcięte od świata. Nie; pamiętam takiej zimy odkąd byłem chłopcem” — tak mówił. Ten major Burnaby, o którym wspominał, to jego przyjaciel. Zawsze przychodził w piątki, w każdy piątek, i razem z kapitanem

grali w szachy i rozwiązywali szarady. A we wtorki znowu kapitan chodził do majora Burnaby'ego. Kapitan zawsze bardzo się trzymał swoich zwyczajów. A potem powiedział do mnie: „Teraz możecie już iść, Evans, i nie musicie przychodzić aż do jutra rana”.

— A poza tą wzmianką o majorze Burnabym nie wspomniał, że kogoś się spodziewa po południu?

— Nie, proszę pana, ani słowa.

— Czy nie spostrzeżliście w jego zachowaniu czegoś niezwykłego, czegoś innego niż zwykle?

— Nie, proszę pana, nic takiego nie zauważyłem.

— Aha. A wy, Evans, jak słyszałem, niedawno się ożeniście.

— Tak, proszę pana. Ożeniłem się z siostrzenicą pani Belling spod Trzech Koron. Jakies dwa miesiące temu, proszę pana.

— A kapitan Trevelyan nie był z tego zbyt zadowolony? Na chwilę na twarzy Evansa pojawił się lekki uśmiech.

— Kapitan bardzo się tym martwił, rzeczywiście. Moja Rebeka to porządna dziewczyna, proszę pana, i bardzo dobra z niej kucharka. Miałem taką nadzieję, że oboje będziemy mogli posługiwać u kapitana, ale on... nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że żadne baby nie będą służyć w jego domu. Prawdę mówiąc, nie wiadomo było, co z tym zrobić, kiedy zjawiała się ta pani z Afryki i zachciało jej się wynająć jego dom na zimę. Kapitan wynajął dla siebie dom tutaj, a ja przychodzę co dzień do obsługi. Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się, że do końca zimy kapitan pogodzi się z tą myślą, żebyśmy oboje z Rebeką wrócili z nim do Sittaford. Ona zajęłaby się kuchnią i tak by się starała, żeby jej nigdy nie spotykał na schodach.

— Nie domyślacie się, dlaczego właściwie kapitan Trevelyan tak nie lubił kobiet?

— To nic takiego, proszę pana. Takie przyzwyczajenie, to wszystko. Widywałem już takich panów. Tak sobie myślę, że to nic innego, tylko nieśmiałość. Jakaś panienka daje im kosza w młodych latach i dalej już samo idzie.

— Kapitan Trevelyan nie był żonaty?

— O nie, proszę pana.

— Czy miał jakichś krewnych? Czy coś wam o tym wiadomo?

— Zdaje się, że miał siostrę w Exeter, i chyba słyszałem, jak wspominał coś o siostrzeńcu czy siostrzenicach.

— I żadne z nich do niego nigdy nie przyjeżdżało?

— Nie, proszę pana. Myślę, że pokłócił się z tą swoją siostrą z Exeter.

— Czy wiecie, jak ona się nazywa?

— Zdaje się, że Gardner, ale nie jestem pewien.

— Nie znacie jej adresu?

— Niestety nie, proszę pana.

— No, z pewnością trafimy na jej ślad, przeglądając papiery kapitana Trevelyana. A teraz, Evans, co wy sami robiliście Wczoraj po południu, poczynając od czwartej?

— Byłem w domu, proszę pana.

— To znaczy gdzie?

— Zaraz za rogiem, proszę pana. Fore Street osiemdziesiąt pięć.

— Nie wychodziliście nigdzie?

— A gdzie tam, proszę pana. Przecież śnieg walił bez przerwy.

— Tak, tak. Czy ktoś może poświadczyć to, co powiedzieliście?

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Czy jest ktoś, kto wie, że byliście w domu w tym czasie?

— Moja żona, proszę pana.

— Byliście w domu tylko we dwoje z żoną?

— Tak jest, proszę pana.

— No tak, dobrze, nie wątpię, że tak było. To na razie wystarczy.

Eks-marynarz zawahał się. Przeszepował z nogi na nogę.

— Czy mogę w czymś pomóc, proszę pana? Może coś posprzątać?

— Nie, wszystko w domu musi na razie pozostać dokładnie tak jak teraz.

— Rozumiem.

— Ale może poczekajcie jeszcze trochę, póki wszystkiego nie obejrzę — powiedział Narracott. — Na wszelki wypadek, gdybym chciał was jeszcze o coś spytać.

— Dobrze, proszę pana.

Inspektor Narracott odwrócił spojrzenie od Evansa i rozejrzał się po pokoju.

Przesłuchanie odbywało się w jadalni. Stół był ciągle jeszcze nakryty do kolacji. Ozór na zimno, pikle, ser stilton i biskwity, a na palniku gazowym przy kominku ronderek z zupą.

Na bocznym stoliku stała taca z alkoholami, syfon z wodą sodową i dwie butelki piwa. Była tam również cała bateria srebrnych pucharków, a obok nich — widok dość nieoczekiwany — trzy książki, lśniące nowością powieści.

Inspektor Narracott obejrzał kilka pucharków i odczytał wyryte na nich napisy.

— Niezły był sportowiec z tego kapitana Trevelyana — zauważył.

— O tak, proszę pana — powiedział Evans. — Przez całe życie był bardzo wysportowany.

Inspektor Narracott odczytywał tytuły powieści: „Miłość przekręca klucz”, „Wesoła kompania z Lincoln”, „Więzień miłości”.

— Hm... — zauważył. — Literackie upodobania kapitana wydają się dość nieoczekiwane.

— Och, chodzi panu o te książki — roześmiał się Evans. — To nie do czytania, proszę pana. To nagrody, które wygrał w tych konkursach linii kolejowych na nazwy miejscowości. Kapitan wysłał dziesięć rozwiązań pod różnymi nazwiskami, na moje także, bo mówił, że adres Fore Street 85 najpewniej zdobędzie nagrodę. Kapitan zauważył, że im bardziej pospolite nazwisko i adres, tym chętniej przyznaje się nagrody. I rzeczywiście dostałem nagrodę, ale nie dwa tysiące funtów, tylko trzy nowe powieści, i to takie, za które, na moje oko, nikt by w sklepie nie dał ani pensa!

Narracott uśmiechnął się. Przypomniał Evansowi, żeby jeszcze poczekał, i podjął dalsze oględziny. W jednym rogu pokoju mieściła się wielka szafa ścienna — rodzaj pakamery. Można w niej było zobaczyć niedbale upchnięte różne przedmioty: dwie pary nart, parę wiosel z okuciami, dziesięć czy dwanaście kłów hipopotamów, wędki z żyłkami i różne przybory do łowienia ryb łącznie z zestawem much na przynętę, worek kijów golfowych, raketę tenisową, wypchaną i oprawioną nogę słonia oraz tygrysią skórę. Było rzeczą oczywistą, że kapitan Trevelyan, wynajmując swój własny dom z całkowitym umeblowaniem, zabrał jednak z niego swe najcenniejsze skarby, nie ufając kobiecym rządom.

— Co za dziwny pomysł, wlec to wszystko ze sobą — rozważał inspektor. — Jego dom został wynajęty tylko na kilka miesięcy, prawda?

— Tak jest, proszę pana.

— Przecież te rzeczy można było zamknąć na klucz w jakiejś szafie w Sittaford.

Po raz drugi w czasie ich rozmowy Evans pozwolił sobie na j dyskretny uśmiech.

— Tak byłoby najłatwiej — zgodził się. — Chociaż w Sittaford z szafami nie jest najlepiej. Projektowali ten dom we dwójkę, architekt z kapitanem, a żeby wiedzieć, jak przydają się takie

pomieszczenia, na to trzeba kobiety. Ale pan ma rację, proszę pana, że tak byłoby najrozsądniej. Co to była za praca, przewożenie tego wszystkiego, oj, ciężka praca! Ale co było robić, kapitan nie mógł znieść myśli, że ktoś może grzebać w jego rzeczach. A gdyby nawet zamknąć jakiś schowek na osiem spustów, to kobieta zawsze znajdzie sposób, żeby się do tego dostać, tak mówił kapitan, że to taka kobieca ciekawość. Że lepiej ich wcale nie zamykać, jeżeli się nie chce, żeby tego dotknęła kobieca ręka, tak mówił. I że najlepiej zabrać to wszystko ze sobą, i jak panu mówiłem, była z tym fura roboty, a ile kosztowało! Ale tak już musiało być, kapitan kochał te graty jak własne dzieci.

Evans zamilkł, gdyż zabrakło mu tchu.

Inspektor Narracott skinął głową w zamyśleniu. Było jeszcze coś, o czym chciał zasięgnąć informacji, i uznał, że właśnie nadarza się sposobna okazja — temat wypłynął w sposób naturalny.

— A ta pani Willett — powiedział od niechcienia — była jakaś dawną przyjaciółką czy znajomą kapitana?

— Ależ nie, proszę pana, to całkiem nieznaną osobą.

— Jesteście tego pewni? — spytał ostro inspektor.

— No... — ostrość tonu zbiła z tropu starego majtka. — Kapitan mi tego wyraźnie nie mówił, ale... tak, jestem tego pewny.

— Pytam o to — wyjaśnił inspektor — bo to bardzo dziwna pora roku na wynajmowanie tutaj domu. Z drugiej strony, jeżeli ta pani Willett знаła kapitana i znała ten dom, mogła do niego napisać i zaproponować, żeby go jej wynajął.

Evans potrząsnął głową.

— To było przez pośredników. Napisali do kapitana z firmy Williamson, że mają ofertę na wynajem od pewnej pani.

Inspektor Narracott zmarszczył czoło. Cała ta sprawa z wynajęciem domu wydawała mu się mocno niejasna.

— Chyba kapitan i pani Willett zawarli znajomość osobiście? — spytał.

— Tak, naturalnie, proszę pana. Ta pani przyjechała tutaj, żeby obejrzeć dom, i wtedy ubili interes z kapitanem.

— Czy jesteście całkiem pewni, że nigdy przedtem się nie spotkali?

— O tak, jestem całkiem pewny.

— Czy byli... ee... — inspektor zawahał się, próbując sformułować pytanie tak, aby zabrzmiało naturalnie — czy dobrze się ze sobą zgadzali? Czy odnosili się do siebie grzecznie?

— Ta pani tak. — Lekki uśmiech przebiegł po ustach Evansa. — Można by powiedzieć, że prawie się do niego umizgała. Podziwiała dom, pytała, czy to on sam go projektował. Można by powiedzieć, że koniecznie starała się mu przypodobać.

— A kapitan?

Uśmiech stał się wyraźniejszy.

— Takie wylewne panie nie miały powodzenia u kapitana. Był greczny, ale nic więcej. I nie przyjmował zaproszeń.

— Zaproszeń?

— Tak. Zachęcała go, żeby przez cały ten czas czuł się tam jak u siebie w domu i żeby do nich wpadał. Tak właśnie się wyraziła, żeby wpadał! Tak jakby można było do kogoś wpadać, kiedy się mieszka o sześć mil stamtąd.

— A więc zdawało się, że zależy jej na tym, aby... no, aby widywać kapitana?

Narracott zastanawiał się. Czy to mogło być powodem wynajęcia domu? Czyżby to był wstęp do zawarcia znajomości z kapitanem Trevelyanem? Czy właśnie o to chodziło? Może nie przyszło jej do głowy, że kapitan zamieszka w Exhampton, tak daleko od niej? Może liczyła na to, że przeprowadzi się do jednego z domków w pobliżu, może do majora Burnaby'ego?

Odpowiedź Evansa niewiele wyjaśniła.

— To bardzo gościnna pani, pod każdym względem. Codziennie kogoś zaprasza na obiad albo kolację.

Narracott kiwnął głową. Niczego więcej tu się nie dowie. Ale przyrzekł sobie, że musi jak najprędzej postarać się o rozmowę z panią Willett. Jej niespodziewane przybycie w te strony wymagało zbadania.

— Idziemy, Pollock. Pójdziemy teraz na górę — powiedział. Zostawili Evansa w jadalni i udali się na piętro.

— Wszystko z nim w porządku? Jak pan inspektor uważa? — spytał półgłosem sierżant, wskazując głową na zamknięte za Evansem drzwi jadalni.

— Tak mi się zdaje — odrzekł inspektor. — Ale nigdy nie wiadomo. Bądź co bądź, głupi nie jest.

— Nie. To inteligentny facet.

— To, co mówił, brzmi dość wiarygodnie — ciągnął inspektor. — Jest logiczne, jasne i niczego nie ukrywał. Mimo wszystko, tak jak powiedziałem, nigdy nic nie wiadomo.

I po tym stwierdzeniu, nader typowym dla jego ścisłego i podejrzliwego umysłu, inspektor

przystąpił do rewizji pokoi na pierwszym piętrze.

Znajdowały się tam trzy sypialnie i łazienka. Dwie sypialnie stały puste i najwidoczniej nikt tam od tygodni nie wchodził. W trzecim pokoju, zajmowanym przez kapitana Trevelyana, panował nieskazitelny ład i porządek. Inspektor Narracott krążył po nim tu i ówdzie — otwierając szuflady i szafki. Wszystko stało i leżało na swoim miejscu. To był pokój człowieka, który musiał być niemal fanatykiem w swym zamiłowaniu do porządku i schludności. Narracott zakończył inspekcję i zajrzał do przyległej łazienki. Tutaj również wszystko było w porządku. Raz jeszcze rzucił okiem na gładziutko zasłane łóżko i równo poskładaną piżamę. Potrząsnął głową.

— Nic tu nie ma — orzekł.

— Tak. Wszystko wydaje się w najwyższym porządku.

— W biurku w gabinecie są papiery. Zajmijcie się tym, sierżancie. Powiem teraz Evansowi, że może już odjechać. Prawdopodobnie wpadnę do niego, żeby jeszcze porozmawiać u niego w domu.

— Tak jest, panie inspektorze.

— Ciało można już zabrać. Będę chciał również zobaczyć się przy okazji z Warrenem. Mieszka tu gdzieś niedaleko, tak?

— Tak, panie inspektorze.

— Po tej stronie Trzech Koron czy po drugiej?

— Po drugiej, panie inspektorze.

— Wobec tego odwiedzę najpierw Trzy Korony. No, to do pracy, sierżancie.

Pollock udał się do jadalni, aby zwolnić Evansa. Inspektor wyszedł z domu frontowym wejściem i ruszył szybkim krokiem w stronę Trzech Koron.



# Pod Trzema Koronami

Los pozwolił inspektorowi spotkać się z majorem Burnabym dopiero po zakończeniu bardzo długiej rozmowy z panią Belling, właścicielką licencjonowanego zajazdu pod Trzema Koronami. Pani Belling, osoba gruba i uczuciowa, była tak gadatliwa, że nie miał innego wyjścia — musiał wysłuchać cierpliwie wszystkiego, co miała do powiedzenia aż do chwili, gdy wyczerpał się strumień jej elokwencji.

— Nigdy tu nie było takiej nocy jak ta — stwierdziła. — I któż mógł się spodziewać, że coś takiego się stanie z tym naszym biednym, kochanym panem? To wstrętne włóczęgi! Powiedziałam to już raz i ciągle powtarzam, nie znoszę tych podłych włóczęgów! Taki typ to każdego potrafi zamordować. A kapitan nie miał nawet psa, który by go obronił. Włóczędzy nie znoszą psów, nie znoszą! No i tak, człowiek nawet nie wie, co się dzieje o parę kroków dalej.

— Tak, panie Narracott — ciągnęła w odpowiedzi na pytanie inspektora — major teraz je śniadanie. Zastanie pan go w naszej kawiarni. A jaką biedak musiał spędzić noc, bez piżamy i innych potrzebnych rzeczy, to można sobie wyobrazić, a ja, biedna wdowa, nic nie miałam, żeby mu pożyczyć. Ale mówił, że to nic nie szkodzi, i taki był zdenerwowany, i dziwnie się zachowywał, ale co tu się dziwić, skoro zamordowano mu najlepszego przyjaciela! A to tacy grzeczni panowie, jeden i drugi, choć o kapitanie mówiło się, że troszkę skąpy. Oj tak, tak, ja zawsze uważałam, że to niebezpieczne mieszkać w Sittaford, na takim pustkowiu, daleko za miastem, a tu kapitana mordują w samym Exhampton. Że też w tym naszym życiu zawsze zdarza się akurat coś, czego człowiek się nie spodziewa, prawda, panie Narracott?

Inspektor odrzekł, że tak niewątpliwie bywa, i spytał:

— A kto się wczoraj zatrzymywał u pani na noc, pani Belling? Czy był tu ktoś obcy?

— Zaraz, niech sobie przypomnę. Był pan Moresby i pan Jones, obaj komiwojażerowie, a także jeden młody pan z Londynu. Nikogo poza tym. To zrozumiałe, że o tej porze roku nie mam wielu gości. Tu w zimie jest bardzo spokojnie. O, był jeszcze jeden młody pan, przyjechał ostatnim pociągiem. Jakiś wścibski młody człowiek — tak bym go określiła. Jeszcze nie wstał z łóżka.

— Przyjechał ostatnim pociągiem? — zainteresował się inspektor. — Ostatni pociąg przychodzi o dziesiątej, tak? Myślę, że nie warto się nim zajmować. A co z tamtym drugim? Tym z Londynu? Czy pani go zna?

— Nie widziałam go nigdy w życiu. To nie żaden komiwojażer. Trochę jakby z lepszej sfery. Nie pamiętam w tej chwili jego nazwiska, ale znajdzie je pan w spisie gości. Wyjechał dziś rano do Exeter pierwszym pociągiem. Tym o szóstej dziesiątej. To ciekawe. Po co tu przyjeżdżał, rada bym wiedzieć.

— Nie wspomniał, jaki ma tu interes?

— Ani słowa.

— A czy w ogóle wychodził?

— Przyjechał w porze obiadowej, wyszedł około wpół do piątej i wrócił mniej więcej dwadzieścia po szóstej.

— A dokąd się udał po wyjściu?

— Nie mam najmniejszego pojęcia, proszę pana. Może po prostu poszedł się przejść. To było jeszcze nim zaczął padać śnieg, ale i tak nie był to dzień do spacerów.

— Wyszedł o wpół do piątej i wrócił dwadzieścia po szóstej. — Inspektor zamyślił się. — To trochę dziwne. Czy nie wspominał o kapitanie Trevelyanie?

Pani Belling zdecydowanie potrząsnęła głową.

— Nie, panie inspektorze, o nikim nie wspominał. W ogóle niewiele się odzywał, przeważnie milczał. Z wyglądu taki miły młody człowiek, ale zdawało mi się, jakby coś się martwił.

Inspektor kiwnął głową i podszedł do kontuaru, aby przejrzeć listę gości.

— James Pearson, Londyn — czytał inspektor. — Cóż, wiele nam to nie mówi. Będziemy musieli zasięgnąć trochę informacji o panu Jamesie Pearsonie.

Po czym udał się do kawiarenki w poszukiwaniu majora Burnaby'ego.

Major okazał się jedynym gościem w tej salce. Popijał kawę w kolorze mętnego błota i miał przed sobą oparty o coś najświeższy numer „Timesa”.

— Major Burnaby?

— Tak, to ja.

— Inspektor Narracott z Exeter.

— Witam pana, panie inspektorze. Są jakieś postępy?

— Tak, panie majorze. Uważam, że zrobiliśmy pewne postępy, chyba mogę to śmiało powiedzieć.

— Miło mi to słyszeć — rzekł major sucho. Widać było, że niezbyt mu wierzył i niewiele się spodziewał.

— Mamy tu parę szczegółów, co do których chciałbym zasięgnąć informacji, majorze — powiedział inspektor — i myślę, że pan mógłby prawdopodobnie ich udzielić.

— Jeżeli tylko potrafię.

— Czy kapitan Trevelyan miał jakichś wrogów? Co panu wiadomo na ten temat?

— Ani jednego wroga na całym świecie — odrzekł stanowczo Burnaby.

— A ten służący, Evans — czy pana zdaniem to człowiek godny zaufania?

— Chyba tak. Wiem, że Trevelyan mu ufał.

— Czy nie było między nimi żadnych nieporozumień na temat tego małżeństwa?

— Żadnych nieporozumień. Trevelyan był zły, nie lubił zmieniać swoich przyzwyczajzeń. Wie pan, jak to stary kawaler.

— A mówiąc o kawalerach, jest jeszcze jedna sprawa. Trevelyan nie był żonaty. Wiadomo panu, czy zrobił jakiś testament? A w przypadku, gdyby nie było testamentu, czy orientuje się pan, kto po nim dziedziczy?

— Trevelyan zrobił testament — odrzekł bez wahania Burnaby.

— Aha, to pan o tym wie.

— Tak, wyznaczył mnie na wykonawcę testamentu. Powiedział mi o tym.

— Czy orientuje się pan, jak rozporządził swoim spadkiem?

— Tego nie wiem.

— O ile wiem, był bardzo zamożny.

— Trevelyan był bogatym człowiekiem — rzekł Burnaby. — Myślę, że był znacznie zamożniejszy, niż ktokolwiek tutaj podejrzewa.

— Miał jakichś krewnych? Czy pan coś o tym wie?

— Miał siostrę i, jak mi się zdaje, jakichś siostrzeńców i siostrzenice. Prawie nigdy ich nie widywał, ale nie było żadnych rodzinnych kłótni.

— A ten testament — czy wie pan, gdzie go trzymał?

— W kancelarii adwokackiej, tutaj, w Exhampton. Walters i Kirkwood. To oni sporządzili testament.

— Może więc, panie majorze, skoro pan jest wykonawcą, udałby się pan teraz ze mną do panów Waltersa i Kirkwooda. Chciałbym poznać treść tego testamentu tak szybko, jak to tylko możliwe.

Burnaby rzucił mu czujne spojrzenie.

— Co się tu święci? — zapytał. — Co testament ma wspólnego z tą sprawą?

Inspektor nie był skłonny do odkrywania swych kart zbyt wcześnie.

— Ten przypadek nie jest taki prosty, jak nam się zdawało — powiedział. — Ale, ale, chciałbym pana jeszcze o coś zapytać. O ile mi wiadomo, pytał pan doktora Warrena, czy śmierć nastąpiła o godzinie piątej dwadzieścia pięć?

— A, to! — rzekł major opryskliwie.

— Dlaczego przyszła panu na myśl akurat ta godzina?

— A dlaczego nie? — odparł Burnaby.

— No, coś musiało panu podsunąć tę myśl.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Major powoli zbierał się do odpowiedzi, co znacznie pobudziło zainteresowanie inspektora Narracotta. Major wiedział coś, co najwyraźniej starał się ukryć, i to tak niezgrabnie, że gdy się go obserwowało, wydawał się po prostu śmieszny.

— A dlaczego nie mógłbym powiedzieć dwadzieścia pięć po piątej? — spytał wyzywająco. — Albo za dwadzieścia pięć szósta, albo, na przykład, dwadzieścia po czwartej?

— Słusznie, proszę pana — powiedział uspokajającym tonem Narracott.

Nie chciał w tej chwili narażać się majorowi. Przyrzekł sobie, że dotrze do sedna sprawy, nim skończy się ten dzień.

— Uderzyło mnie tu jedno, proszę pana — ciągnął dalej.

— Tak?

— Ta sprawa wynajęcia domu w Sittaford. Nie wiem, co pan o tym sądzi, ale to wydarzenie wydaje mi się intrygujące.

— Skoro pan mnie o to pyta — rzekł Burnaby — to moim zdaniem diabelnie dziwna sprawa.

— Taka jest pańska opinia?

— Taka jest tutaj ogólna opinia.

— W Sittaford?

— W Sittaford, a także i w Exhampton. Ta kobieta to chyba jakaś wariatka.

— No, przypuszczam, że ludzie miewają różne upodobania — zauważył inspektor.

— Diabło dziwne upodobanie, jak na taką kobietę.

— Pan zna tę panią?

— Znam ją. Przecież byłem u niej w domu, kiedy...

— Kiedy co? — spytał Narracott, gdy major urwał gwałtownie.

— Nic — powiedział Burnaby.

Inspektor Narracott przyjrzał mu się uważnie. Tu kryło się coś, czego chciałby się dowiedzieć, Dziwne zmieszanie i zażenowanie majora nie uszło jego uwagi. Coś właśnie zamierzał powiedzieć, ale co?

„Wszystko w swoim czasie — powiedział do siebie Narracott. — Teraz nie jest odpowiednia chwila, żeby go drażnić”. A głośno rzekł z niewinną miną:

— Więc był pan u niej w Sittaford, tak? Ta pani mieszka tam... jak długo mniej więcej?

— Kilka miesięcy.

Majorowi pilno było wykręcić się od skutków swoich nieostrożnych słów. Stał się bardziej rozmowny niż zwykle.

— Ta pani to wdowa z córką?

— Tak.

— Czy wspominała o powodach wyboru tego miejsca zamieszkania?

— No więc... — major potarł sobie nos z niepewną miną. — Ona w ogóle dużo mówi, to taki typ kobiety. Uroki natury, z dala od świata... ot, takie dyrdymałki. Ale...

Przerwał, nie bardzo wiedząc, co ma dalej mówić. Inspektor Narracott pośpieszył mu z pomocą.

— Nie wydało się to panu zgodne z jej charakterem?

— No, właśnie. To taka światowa kobieta. Wystrojona jak lala, córka ładna, elegancka. Właściwym dla nich miejscem byłby Ritz albo Claridge, czy jakiś inny drogi hotel. Wie pan, to ta sfera.

Narracott skinął głową.

— Nie prowadzą samotniczego trybu życia, czy tak? — spytał. — Nie sądzi pan, że one się po prostu... ukrywają?

Major Burnaby zdecydowanie potrząsnął głową.

— Och, nie, nic takiego. Są bardzo towarzyskie. Może trochę zbyt towarzyskie. Chcę przez to powiedzieć, że w takiej dziurze jak Sittaford człowiek nie może wykręcać się od zaproszeń tym, że już umówił się gdzie indziej, i kiedy te zaproszenia się mnożą, to sytuacja staje się trochę niezręczna.

To bardzo miłe, gościnne panie, ale nieco zbyt gościnne jak na angielski gust.

— Kolonialny styl — poddał inspektor.

— Tak, chyba tak.

— Nie ma pan powodów do przypuszczeń, że wcześniej już zawarły znajomość z kapitanem Trevelyanem?

— Na pewno nie.

— Jest pan całkiem pewny?

— Joe powiedziałby mi o rym.

— A czy nie sądzi pan, że motywem ich przybycia było, powiedzmy, zawarcie znajomości z kapitanem?

Majora pomysł ten wyraźnie uderzył jako coś nowego. Przez kilka minut zastanawiał się nad tym.

— Jakoś nigdy o tym nie pomyślałem. Bardzo były dla niego miłe, to prawda. Choć nie można powiedzieć, aby Joe się odwzajemniał. Ale nie, sądzę, że to był z ich strony po prostu naturalny sposób zachowania. Za wiele serdeczności, wie pan, jak to ludzie z kolonii — dodał stary żołnierz w klasycznym wyspiarskim stylu.

— Rozumiem. A teraz coś o samym domu. Jak rozumiem, zbudował go kapitan Trevelyan.

— Tak.

— I nikt inny nigdy w nim nie mieszkał? To znaczy, nigdy nie był wynajmowany?

— Nigdy.

— Więc nie wygląda na to, żeby było coś specjalnie atrakcyjnego w tym domu. To zagadkowa historia. Szansę dziesięć do jednego, że nie ma to nic wspólnego ze sprawą — po prostu uderzyło mnie jako dziwny zbieg okoliczności. A ten dom, w którym kapitan Trevelyan zamieszkał, Hazelmoor, czyja to własność?

— Panny Larpent. To starsza osoba, przeniosła się na zimę do pensjonatu w Cheltenham. Co roku tak robi. Zwykle zamyka swój dom, ale jeżeli może, wynajmuje go, co nie trafia się często.

Nic w tym wszystkim nie było obiecującego. Inspektor potrząsnął głową zniechęcony.

— Ci pośrednicy od nieruchomości to firma Williamson?

— Tak.

— Mają biuro w Exhampton?

— Tak, tuż obok kancelarii adwokackiej Waltersa i Kirkwooda.

— Aha. Wobec tego, jeżeli panu to odpowiada, majorze, możemy tam wpaść po drodze.

— Proszę bardzo. Kirkwooda i tak przed dziesiątą nie zastałby pan w burze. Wie pan, jak to jest z prawnikami.

— Więc idziemy?

Major, który już wcześniej zdążył zjeść śniadanie, kiwnął głową na znak zgody i wstał z krzesła.

# Testament

W biurze Williamsonów zostali powitani przez młodego człowieka, który wstał na ich przyjęcie z usłużnym wyrazem twarzy.

— Dzień dobry, panie majorze.

— ...dobry.

— Co za okropny wypadek — zaczął ze swadą młodzieniec. — Od lat nic takiego nie zdarzyło się w Exhampton!

Mówił to tonem pełnym entuzjazmu. Major Burnaby wzdrygnął się.

— To jest pan inspektor Narracott — powiedział.

— Ach, tak! — rzekł młody człowiek z zachwytem.

— Potrzebuję pewnych informacji, których pan zapewne mógłby mi udzielić — powiedział inspektor. — Jak się zorientowałem, to panowie przeprowadzili tę transakcję z wynajęciem Rezydencji Sittaford.

— Dla pani Willett? Tak, to my.

— Czy może mi pan opowiedzieć szczegółowo, jak do tego doszło? Czy ta pani zgłosiła ofertę osobiście, czy listownie?

— Listownie. Pisała do nas... zaraz, niech zobaczę... — Otworzył szufladę i wyjął z niej akta. — Tak, pisała z Londynu, z hotelu Carlton.

— Czy wymieniła nazwę Rezydencji Sittaford?

— Nie, mówiła tylko, że chce wynająć dom na zimę, koniecznie w Dartmoor, i potrzebuje przynajmniej ośmiu sypialni. Nie miało dla niej znaczenia, czy dom znajduje się w pobliżu stacji kolejowej lub miasta, czy też nie.

— A Rezydencję Sittaford mieli panowie w ewidencji?

— Nie, nie mieliśmy jej. Ale tak się złożyło, że był to jedyny dom w tej okolicy, który spełniał wszystkie podane przez nią warunki. Ta pani wspomniała w swoim liście, że gotowa jest zapłacić każdą sumę do dwunastu gwinei włącznie, i w tych okolicznościach uznałem, że warto się porozumieć z kapitanem Trevelyanem i zapytać go, czy wzięłby pod uwagę taką propozycję. Odpowiedział twierdząco, więc załatwiliśmy całą sprawę.



— Bez obejrzenia domu przez panią Willett?

— Zgodziła się wynająć go nie oglądając i podpisała umowę. Potem zjawiała się tu jednego dnia, pojechała do Sittaford, spotkała się z kapitanem Trevelyanem, omówiła z nim sprawę naczyń i bielizny, i inne rzeczy, no i obejrzała dom.

— I była całkowicie zadowolona?

— Przyszła do nas i powiedziała, że jest zachwycona.

— A co pan o tym sądził? — spytał inspektor Narracott, patrząc na niego badawczo.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

— Pracując w nieruchomościach człowiek uczy się niczemu nie dziwić — powiedział.

Tą filozoficzną refleksją zakończono rozmowę. Przed wyjściem inspektor podziękował młodemu człowiekowi za pomoc.

— Proszę bardzo, przyjemnie mi, że się mogłem na coś przydać.

Odprowadził ich uprzejmie do drzwi.

Biuro kancelarii Walters i Kirkwood mieściło się, jak już wspomniał major Burnaby, tuż obok agentów nieruchomości. Po przybyciu na miejsce dowiedzieli się, że pan Kirkwood przyszedł właśnie przed chwilą. Wprowadzono ich do jego pokoju.

Pan Kirkwood okazał się starszym panem o dobrotliwym wyrazie twarzy. Urodził się w Exhampton i tutaj objął rodzinną firmę po ojcu i dziadku.

Wstał, przybierając żalobną minę, i uściśnął dłoń majora.

— Witam pana, panie majorze — powiedział. — To wstrząsające wydarzenie. Ogromnie wstrząsające. Biedny Trevelyan!

Spojrzał pytająco na Narracotta. Major wyjaśnił cel wizyty inspektora w kilku zwięzłych słowach.

— Pan prowadzi tę sprawę, panie inspektorze?

— Tak, proszę pana. W związku ze śledztwem, które prowadzę, przyszedłem, aby pana prosić o pewne informacje.

— Z ochotą udzielę panu wszelkich informacji, o ile tylko nie będzie to sprzeczne z moją etyką zawodową — odrzekł prawnik.

— Chodzi o ostatnią wolę zmarłego kapitana Trevellyana — powiedział Narracott. — Jak rozumiem, została ona złożona w pańskiej kancelarii.

— Tak jest.

— Była sporządzona jakiś czas temu?

— Pięć lub sześć lat temu. W tej chwili nie przypominam sobie dokładnie daty.

— Aha. Bardzo bym sobie życzył zapoznać się z treścią testamentu tak szybko, jak to możliwe. Może to mieć istotny wpływ na przebieg sprawy.

— Naprawdę? — zdziwił się prawnik. — Tak pan powiada. Nigdy by mi to nie przyszło na myśl, ale oczywiście pan wie najlepiej, to pana zawód, inspektorze. A zatem... — spojrzał na drugiego gościa. — Major Burnaby i ja jesteśmy współwykonawcami testamentu. Jeśli pan major nie ma nic przeciw temu...

— Żadnych obiekcji.

— Wobec tego nie widzę powodów, dla których miałbym się sprzeciwiać pańskiej prośbie, panie inspektorze.

Podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu i rzucił kilka słów. Po dwóch, trzech minutach do pokoju wszedł urzędnik i położył przed nim zalakowaną kopertę. Urzędnik wyszedł, pan Kirkwood zaś wziął kopertę, otworzył ją nożykiem do papieru i wyciągnął z niej obszerny, okazałe się prezentujący dokument. Odchrząknął i przystąpił do czytania.

— „Ja, Joseph Artur Trevelyan, zamieszkały w Rezydencji Sittaford w miejscowości Sittaford, hrabstwo Devon, przedstawiam tu moją ostatnią wolę i testament, sporządzony w dniu dzisiejszym, to jest trzynastego sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku.

1. Wyznaczam Johna Edwarda Burnaby'ego, zamieszkałego w Sittaford nr 1, oraz Fryderyka Kirkwooda z Exhampton na wykonawców mojej ostatniej woli.

2. Przekazuję Robertowi Evansowi, który służył mi długo i wiernie, sumę £ 100 (stu funtów) wolną od podatku spadkowego, do jego wyŹrcznej dyspozycji, pod warunkiem, że w chwili mojej śmierci będzie pozostawał w mojej służbie bez pisemnego lub ustnego jej wypowiedzenia przez którąkolwiek ze stron.

3. Wymienionemu Johnowi Edwardowi Burnaby'emu jako dowód naszej przyjaźni i mojej do niego sympatii i szacunku ofiarowuję wszystkie moje sportowe trofea, włączając w to kolekcję głów i skór dzikiego zwierza, jak również wszelkie puchary i nagrody z zawodów, przyznawane mi w różnych dziedzinach sportu, oraz trofea myśliwskie, znajdujące się w moim posiadaniu.

4. Cały mój majątek ruchomy i nieruchomy i moją własność osobistą nie wymienioną w testamencie i kodycyłach przekazuję pod zarząd powierniczy wykonawcom, którzy zajmą się ich sprzedażą.

5. Z funduszy uzyskanych ze sprzedaży, wykonawcy opłacą wszelkie koszty związane z moim pogrzebem, testamentem i należnościami, wyżej wymienione legaty oraz wszystkie podatki spadkowe

i inne zobowiązania pieniężne.

6. Pozostałość z tej sumy, w gotówce lub w bieżących inwestycjach, wykonawcy umieszczą w zarządzie powierniczym celem dokonania podziału na cztery równe części.

7. Po dokonaniu wspomnianego wyżej podziału wykonawcy spowodują, aby jedna czwarta z czterech równych części lub udziałów została wypłacona mojej siostrze, Jennifer Gardner, na jej wyłączny użytek. Poza tym rozporządza, aby pozostałe trzy równe części zostały wypłacone trojgu dzieciom mojej zmarłej siostry Mary Pearson, na wyłączny użytek każdego z tych trojga dzieci.

Niniejszy testament ja, wyżej wymieniony Joseph Artur Trevelyan, poświadczam własnoręcznym podpisem oraz datą z dnia i roku podanych powyżej.

Powyższe zostało podpisane własnoręcznie przez testatora jako jego ostatnia wola w naszej obecności, co poświadczamy swymi podpisami jako świadkowie”.

Pan Kirkwood wręczył dokument inspektorowi.

— Poświadczone przez dwóch urzędników mojej kancelarii. Inspektor przebiegł wzrokiem dokument i zamyślił się.

— „Moja zmarła siostra Mary Pearson” — powiedział. — Czy może pan nam powiedzieć coś bliższego o pani Pearson?

— Bardzo niewiele. Zmarła mniej więcej dziesięć lat temu, o ile pamiętam. Jej mąż, makler giełdowy, zmarł przed nią. O ile mi wiadomo, nigdy nie odwiedzała kapitana Trevelyana w tych stronach.

— Pearson... — powtórzył inspektor. Po namyśle dodał: — Jeszcze jedno. Nie wspomniano tu nic na temat wartości majątku kapitana Trevelyana. Jak pan myśli, ile to może wynosić?

— Trudno określić dokładnie — odrzekł pan Kirkwood, który, jak wszyscy prawnicy, lubował się w skomplikowanych odpowiedziach na proste pytania. — Trzeba tu rozróżnić majątek nieruchomy od majątku osobistego. Oprócz Rezydencji Sittaford kapitan Trevelyan jest właścicielem posiadłości koło Plymouth, a wartość różnych inwestycji, jakie co jakiś czas przeprowadzał, ciągle się waha.

— Chciałbym po prostu wiedzieć coś w przybliżeniu — powiedział inspektor Narracott.

— Nie bardzo mógłbym się podjąć...

— Chodzi mi tylko o ocenę najogólniejszą, dla orientacji. Na przykład, czy suma dwudziestu tysięcy funtów mniej więcej by to określała?

— Dwadzieścia tysięcy! Mój drogi panie, majątek kapitana Trevelyana wart jest co najmniej cztery razy tyle. Ocena w granicach osiemdziesięciu, a nawet dziewięćdziesięciu tysięcy byłaby znacznie bliższa prawdy.

— Mówiłem panu, że Trevelyan był człowiekiem bogatym — wtrącił Burnaby.

Inspektor Narracott wstał.

— Bardzo dziękuję, panie Kirkwood — powiedział — za udzielenie mi informacji.

— Naprawdę sądzi pan, że okażą się przydatne? Prawnika najwidoczniej rozpieierała ciekawość, lecz inspektor Narracott nie był w nastroju do jej zaspokajania.

— W takiej sprawie jak ta musimy wszystko brać pod uwagę — rzekł wymijająco. — A przy okazji, czy ma pan nazwiska i adresy tej Jennifer Gardner i rodziny Pearsonów?

— Nic mi nie wiadomo o rodzinie Pearsonów. Adres pani Gardner brzmi: dom Pod Wawrzynami, Waldon Road, Exeter.

Inspektor zapisał adres w swoim notatniku.

— To wystarczy do dalszych kroków — rzekł. — Czy nie wie pan, ile dzieci pozostawiła zmarła pani Pearson?

— Zdaje mi się, że troje. Dwie córki i syna — a może dwóch synów i córkę, już nie pamiętam.

Inspektor skinął głową, odłożył notes i dziękując raz jeszcze prawnikowi, skierował się do wyjścia.

Gdy wyszli z majorem na ulicę, zwrócił się nagle twarzą do swego towarzysza.

— A teraz, łaskawy panie, usłyszemy prawdę o tej historii z godziną piątą dwadzieścia pięć.

Major poczerwieniał z gniewu.

— Już raz panu mówiłem...

— Na to mnie pan nie nabierze. Odmowa udzielenia informacji, tak się nazywa to, co pan robi, majorze Burnaby. Musiał pan mieć coś konkretnego na myśli, wymieniając tę właśnie godzinę w rozmowie z doktorem Warrenem, i sądzę, że wiem bardzo dobrze, o co tu chodzi.

— Więc jeżeli pan wie, to po co pan mnie pyta? — burknął major.

— Moim zdaniem, wiedział pan, że pewna osoba miała spotkanie z kapitanem Trevelyanem o tej mniej więcej godzinie. Czyż nie tak?

Major Burnaby spojrział na niego ze zdumieniem.

— Nic podobnego! — warknął. — Nic takiego!

— Proszę uważać, majorze Burnaby. A pan James Pearson?

— James Pearson? Kto to jest James Pearson? Czy chodzi panu o któregoś z siostrzeńców Trevelyana?

— Sądzę, że to musi być jego siostrzeniec. Miał siostrzeńca imieniem James, tak?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Trevelyan miał siostrzeńców, o tym wiem. Ale jak im na imię, nie mam żadnego pojęcia.

— Młody człowiek, o którym mowa, był pod Trzema Koronami wczoraj wieczorem. Prawdopodobnie pan go rozpoznał.

— Nikogo nie rozpoznałem — pienił się major. — W żadnym wypadku nie mógłbym go rozpoznać. Nigdy w życiu nie widziałem żadnego z siostrzeńców Trevelyana.

— Ale wiedział pan, że kapitan Trevelyan oczekiwał wczoraj po południu siostrzeńca?

— Nie wiedziałem! — ryknął major.

Kilku przechodniów na ulicy odwróciło się, aby na niego spojrzeć.

— Do diabła, dlaczego pan nie wierzy, jak ludzie mówią szczerą prawdę! Nic nie wiedziałem o żadnym spotkaniu. Siostrzeńcy Trevelyana mogliby równie dobrze znajdować się teraz w Timbaktu, tyle samo bym o nich wiedział.

Inspektor Narracott był trochę zaskoczony. Gwałtowne protesty majora brzmiały tak szczerze, że nie mógł w nie wątpić.

— Więc skąd ta historia z godziną dwadzieścia pięć po piątej?

— A więc dobrze... Chyba lepiej będzie, jak panu wszystko opowiem. — Major odchrząknął z wyraźnym zażenowaniem. — Ale proszę pamiętać, że moim zdaniem to po prostu głupota! Istne bzdury, proszę pana. Jak człowiek myślący mógłby uwierzyć w takie głupstwa!

Zdumienie inspektora Narracotta rosło z minuty na minutę. Major Burnaby zaś z minuty na minutę zdawał się coraz bardziej zażenowany i zawstydzony.

— Pan wie, jak to bywa, inspektorze. Musi się brać udział w takich rzeczach, żeby zrobić przyjemność paniom. Oczywiście nigdy nie wierzyłem, żeby coś w tym naprawdę tkwiło.

— W czym, panie majorze?

— W wirujących stolikach.

— W wirujących stolikach?

Inspektor spodziewał się różnych rzeczy, ale nie tego. Major przystąpił do wyjaśnień. Zacinając się i przeplatając opowieść licznymi zapewnieniami, że on nigdy w nic takiego nie wierzył, opisał

zdarzenia wczorajszego popołudnia i wiadomość, jaką mu przekazały rzekome duchy.

— Chce pan powiedzieć, majorze Burnaby, że stolik podyktował litera po literze nazwisko Trevelyna i powiadomił pana, że Trevelyan nie żyje, że został zamordowany?

Major Burnaby otarł pot z czoła.

— Tak. Tak właśnie było. Ja w to nie wierzyłem, naturalnie, że nie wierzyłem — mówił z zawstydzoną miną. — No więc, ponieważ to był piątek, pomyślałem, że mimo wszystko sam się upewnię, pójdę tam i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku.

Inspektor wyobraził sobie trudności tej wyprawy — sześć mil piechotą w piętrzących się zaspach i z perspektywą nowych, gęstych opadów śniegu — i pojął, że choć major tak bardzo się tego wypierał, przesłanie z zaświatów musiało na nim wywrzeć bardzo silne wrażenie. Oto był nowy problem do przemyśleń: to bardzo dziwna sprawa, bardzo niezwykle zdarzenie. Coś, czego nie można wyjaśnić w sposób zadowalający. Może jednak coś się w tym kryje, w tych hecach z duchami. Oto pierwszy w jego karierze przypadek uwiarygodnienia takiego seansu.

Krótko mówiąc, dziwaczna historia, ale — jak ocenił inspektor — poza wyjaśnieniem majora Burnaby'ego nie miało to praktycznego znaczenia dla sprawy. Jego domeną działania jest świat fizyczny, a nie pozagrobowy.

Jego obowiązkiem jest wysledzenie mordercy.

A żeby to osiągnąć, nie potrzebuje pomocy duchów.

# Pan Charles Enderby

Rzuciwszy spojrzenie na zegarek inspektor stwierdził, że jeśli się pośpieszy, zdąży jeszcze na pociąg do Exeter. Chciał odbyć rozmowę z siostrą zmarłego kapitana Trevelyana tak szybko, jak się da, i otrzymać od niej adresy pozostałych członków rodziny. Tak więc po krótkim pożegnaniu z majorem pobiegł na stację. Major ruszył w powrotną drogę do Trzech Koron. Zaledwie przekroczył próg zajazdu, zwrócił się do niego jakiś dziarski młodzian o lśniącej czuprynie i okrągłej chłopięcej twarzy.

— Major Burnaby? — zagadnął młody człowiek.

— Tak.

— Zamieszkały w osadzie Sittaford pod numerem jeden?

— Tak — powtórzył major Burnaby.

— Jestem przedstawicielem dziennika „Daily Wire” — powiedział młody człowiek — i chciałbym...

Nie zdążył dokończyć zdania. Major wybuchnął w prawdziwym bojowym stylu starej szkoły.

— Ani słowa więcej! — ryknął. — Wiem już, o co chodzi, i znam takich jak pan. Żadnej delikatności! Zlatujecie się do morderstwa jak sępy do padliny, ale może pan być pewny, młody człowieku, że ode mnie nie wyciągnie pan żadnej informacji. Ani słowa. Żadnych historyjek dla swego diabelskiego dziennika. Jeżeli chce pan czegoś się dowiedzieć, proszę udać się na policję i okazać trochę taktu, zostawiając w spokoju przyjaciół zmarłego.

Młody człowiek bynajmniej nie stracił rezonu. Uśmiechnął się jeszcze bardziej sympatycznie.

— Ależ proszę pana, coś się panu musiało pomylić. Ja nic nie wiem o żadnych morderstwach.

Ściśle mówiąc, nie było to prawdą. Nikt w Exhampton nie mógł udawać, że nie słyszał o wypadku, który wstrząsnął do głębi życiem spokojnego, leżącego wśród wrzosowisk miasteczka.

— Zostałem upoważniony przez moją redakcję „Daily Wire” — ciągnął młody człowiek — do wręczenia czeku na pięć tysięcy funtów wraz z gratulacjami z okazji nadesłania jedyne poprawnego rozwiązania w naszym totalizatorze piłkarskim.

Major Burnaby zdębiał.

— Nie wątpię — ciągnął młody człowiek — że otrzymał pan nasz list z dobrą nowiną już wczoraj rano.

— List? — powtórzył major Burnaby. — Czy pan zdaje sobie sprawę, młody człowieku, że Sittaford jest zasypane śniegiem na dziesięć stóp? Jakiego pana zdaniem mieliśmy szansę w ciągu tych kilku ostatnich dni na regularne dostawy poczty?

— Ale niewątpliwie zobaczył pan swoje nazwisko zdobywcy nagrody dziś rano w naszym dzienniku?

— Nie — odrzekł major Burnaby. — Dziś rano nie przeglądałem „Daily Wire”.

— Ach, no tak, oczywiście — wykrzyknął młody człowiek. — Co za smutna sprawa. Ten zamordowany należał, zdaje się, do pańskich przyjaciół?

— Był moim najbliższym przyjacielem — odrzekł major.

— To smutne — zauważył taktownie młody człowiek, odwracając oczy. Po czym wyciągnął z kieszeni małą karteczkę koloru lila i wręczył ją majorowi z ukłonem.

— Z gratulacjami od „Daily Wire” — powiedział.

Major Burnaby wziął ją i wyrzekł jedyne możliwe w tej sytuacji słowa:

— Napije się pan czegoś, panie... panie...

— Enderby. Nazywam się Charles Enderby. — Przyjechałem tu wczoraj wieczorem — wyjaśnił młodzieniec. — Wypytywałem, jak stąd można dojechać do Sittaford. Trzymamy się zasady, aby osobiście wręczać czek zwycięzcom konkursów. Zawsze robimy przy tym mały wywiadzik dla naszego dziennika. To interesuje naszych czytelników. No i wszyscy mi mówili, że dojazd wykluczony, że pada śnieg i nie sposób tam się dostać. A potem szczęśliwym trafem dowiaduję się, że pan jest właśnie tutaj i zatrzymał się pan pod Trzema Koronami. — Uśmiechnął się. — Żadnych trudności z identyfikacją! Wszyscy się tu znają w tym zakątku świata.

— Czego się pan napije? — wtrącił major.

— Poproszę o piwo — odparł młody człowiek. Major zamówił dwa piwa.

— Widzę, że wszyscy w mieście tracą głowy w związku z tym morderstwem — zauważył Enderby. — Z tego, co słyszałem, to jakaś tajemnicza sprawa.

Major coś mruknął. Był w kropce. Jego uczucia względem dziennikarzy nie uległy zmianie, lecz ktoś, kto przed chwilą wręczył człowiekowi czek na pięć tysięcy funtów, jest w sytuacji uprzywilejowanej. Nie bardzo wypada mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła.

— Nie miał żadnych wrogów? — spytał młody człowiek.

— Nie — odpowiedział major.

— Ale słyszałem, że policja nie sądzi, aby było to morderstwo rabunkowe — ciągnął Enderby.



— A pan skąd o tym wie? — spytał major.

Jednakże pan Enderby nie zdradził swego źródła informacji.

— Słyszałem, że to pan właśnie znalazł zwłoki? — dopytywał się młody człowiek.

— Tak.

— To musiał być okropny wstrząs.

Rozmowa toczyła się dalej. Major Burnaby był nadal zdecydowany nie udzielać żadnych informacji, lecz nie dorównywał w przebiegłości panu Enderby'emu. Dziennikarz wysuwał przypuszczenia, na które major musiał odpowiadać twierdząco lub przecząco, i w ten sposób dostarczał młodemu człowiekowi pożądanых informacji. Enderby robił to jednak w tak miły sposób, że proces wyciągania informacji przebiegał całkiem bezboleśnie, i major stwierdził ostatecznie, że zaczyna lubić tego miłego, szczerego młodzieńca.

Po pewnym czasie pan Enderby wstał i oświadczył, że musi się teraz udać na pocztę.

— Może pan będzie łaskaw dać mi pokwitowanie na ten czek.

Major podszedł do biurka, napisał pokwitowanie i wręczył je dziennikarzowi.

— Wspaniale! — wykrzyknął młody człowiek i wsunął je do kieszeni.

— Przypuszczam — rzekł major Burnaby — że wraca pan dziś do Londynu?

— Och, nie — odrzekł młody człowiek. — Chcę zrobić kilka zdjęć — wie pan, pańskiego domku w Sittaford i pana karmiącego świnki albo okopującego kwiatki, czy coś w tym rodzaju, co tylko pan zechce, żeby to było coś charakterystycznego. Nie ma pan pojęcia, jak naszym czytelnikom podobają się takie rzeczy. A następnie chciałbym uzyskać od pana kilka słów na temat „jak chciałbym wykorzystać pięć tysięcy funtów”. Coś z nerwem! Nie ma pan pojęcia, jaki zawód spotkałby naszych czytelników, gdybyśmy im nie dostarczali wiadomości w tym guście.

— Tak, ale niechże pan posłucha, przy tej pogodzie nie sposób dostać się do Sittaford. Spadło za dużo śniegu — wyjątkowo dużo. Przez ostatnie trzy dni po tej drodze nie dało się przejechać żadnym pojazdem, a mogą upłynąć jeszcze dalsze trzy dni, zanim śnieg dostatecznie stopnieje.

— Wiem — odparł młody człowiek. — To prawdziwy pech. No, więc cóż nam pozostaje? Trzeba pogodzić się z myślą, że się trochę poobijamy po Exhampton. Zresztą pod Trzema Koronami jest całkiem niezła obsługa. Na razie do widzenia, panie majorze. Spotkamy się później.

Wyszedłszy na główną ulicę, Enderby skierował się do urzędu pocztowego, gdzie nadał telegram do swego dziennika z informacją, że szczęśliwy zbieg okoliczności umożliwił mu zbieranie wiadomości o sensacyjnym morderstwie w Exhampton. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, jaki uczynić następny krok i zdecydował, że trzeba zrobić wywiad ze służącym zmarłego kapitana, Evansem, którego nazwisko wyrwało się niebacznie majorowi podczas ich rozmowy.

Szybko zdobyte od przygodnych rozmówców informacje zaprowadziły go pod adres Fore Street 85. Służący zamordowanego kapitana stał się teraz ważną osobistością i każdy chętnie i gorliwie wskazywał jego miejsce zamieszkania.

Enderby z rozmachem zakołatał do drzwi. Gdy się otworzyły, stanął w nich człowiek o tak typowym wyglądzie eks-marynarza, że wykluczało to wszelkie pomyłki co do jego tożsamości.

— Wy jesteście Evans, tak? — zagaił wesoło dziennikarz. — Przychodzę od majora Burnaby'ego.

— Aha... — Evans zawahał się chwilę. — Proszę, niech pan wejdzie.

Enderby skorzystał z zaproszenia. W głębi mieszkania krzątała się dorodna młoda kobieta, ciemnowłosa i rumiana. Enderby domyślił się, że to nowo zaślubiona pani Evans.

— Co za fatalny wypadek z tym waszym panem — rzekł.

— To okropne, proszę pana, po prostu okropne.

— Jak myślicie, kto to zrobił? — spytał Enderby z niewinną miną człowieka, który naprawdę chciałby się czegoś dowiedzieć.

— Pewnie któryś z tych obwiesiów, co to się wszędzie włóczą — odparł Evans.

— O nie, kochany. Ta teoria już całkiem upadła.

— Co proszę?

— To wszystko zaplanowana robota. Policja od razu się domyśliła.

— A któż to panu powiedział?

Prawdę mówiąc, Enderby uzyskał informacje od pokojówki spod Trzech Koron, której siostra była ślubną małżonką sierżanta Gravesa, lecz na pytanie Evansa odpowiedział gładko:

— Dostałem wiadomość z komendy. Tak, całe to włamanie jest upozorowane.

— No to jak oni uważają, kto to zrobił? — zainteresowała się pani Evans. Z oczu jej wyzierał strach i ciekawość.

— No, no, Rebeko, nie przejmuj się tak — powiedział jej mąż.

— Ci policjanci są głupi i nie mają żadnej litości — orzekła pani Evans. — Im tam wszystko jedno, kogo złapią, żeby tylko mieli kogo wsadzić do aresztu. — Rzuciła szybkie spojrzenie na pana Enderby'ego. — A pan może z policji?

— Ja? Och, nie. Jestem dziennikarzem, z „Daily Wire”. Przyjechałem, żeby się zobaczyć z majorem Burnabym. On właśnie wygrał nasz konkurs totalizatora piłkarskiego. Nagroda wyniosła

pięć tysięcy funtów.

— Co takiego? — zakrzyknął Evans. — Do diabła! To oni, jak by nie było, uczciwie wypłacają te nagrody!

— A wy myśleliście, że nie? — spytał Enderby.

— No, na tym świecie różnie bywa, proszę pana — Evans trochę się zmieszał, czując, że jego okrzyk nie był zbyt taktowny. — Słyszałem, że bywają różne krętactwa. Nieboszczyk kapitan zawsze mówił, że nagród nie wysyłają, jeżeli adres jest za elegancki. Dlatego często podawał im mój adres.

I z niejaką naiwnością Evans opowiedział, jak to kapitan wygrał trzy nowe powieści.

Enderby zachęcał go do gadania. Zorientował się, że o Evansie można zrobić doskonały reportaż. Wierny sługa... stary wilk morski... Zastanawiał się trochę, dlaczego pani Evans tak się denerwuje, ale złożył to na karb podejrzliwości i ignorancji typowej dla tej klasy.

— Powinniście znaleźć tego bydlaka, który to zrobił — stwierdził Evans. — Mówią, że gazety potrafią wiele pomóc w ściganiu przestępców.

— To był włamywacz — upierała się pani Evans. — Na pewno włamywacz.

— No pewnie, że włamywacz — rzekł Evans. — Przecież w Exhampton nie ma nikogo, kto by chciał skrzywdzić kapitana.

Enderby wstał.

— No, muszę już iść — oświadczył. — Jeśli można, będę wpadał od czasu do czasu na małą pogawędkę. Jeżeli kapitan wygrał trzy nowe powieści w konkursie „Daily Wire”, to dziennik powinien uważać wyśledzenie mordercy za swój punkt honoru.

— Święta prawda, proszę pana. Nikt by tego lepiej nie wyraził.

Po serdecznym pożegnaniu Charles Enderby rozstał się i państwem Evans.

— Ciekaw jestem, kto naprawdę zakatrupił tego starego? — mruknął do siebie. — Nie sądzę, aby to był nasz przyjaciel Evans. A może jednak to był włamywacz? Jeżeli tak, byłbym bardzo rozczarowany. Nie widać w tej sprawie żadnej kobiety, wielka szkoda. Musimy jak najszybciej natrafić na jakiś sensacyjny dalszy ciąg, bo inaczej sprawa straci na znaczeniu. A to byłby dla mnie pech! Pierwszy raz mi się zdarza, że znalazłem się na miejscu przy takiej aferze. Muszę to wykorzystać. Charles, mój chłopie, nadeszła twoja życiowa szansa. Wyciągnij z tego wszystko, co się da. Nasz wojskowy przyjaciel, jak widzę, niedługo będzie jadł mi z rączki — żebym tylko nie zapomniał, że mam się do niego odnosić z należyтым respektem i często mówić „panie majorze”. Ciekaw jestem, czy walczył w czasach indyjskiej rebelii. No nie, to przesada, nie jest aż taki stary. Pewnie w wojnie burskiej, tak, na pewno Trzeba o to zapytać, w ten sposób go oswoję.

I rozważając w myślach te zbożne plany, pan Enderby powędrował pod Trzy Korony.



# Dom Pod Wawrzynami

Z Exhampton jedzie się pociągiem do Exeter około pół godziny. Za pięć dwunasta inspektor Narracott zadzwonił do drzwi frontowych domu Pod Wawrzynami.

Dość podniszczony budynek aż się prosił o odmalowanie. Otaczający go ogród był zapuszczony i zachwaszczony, a furtka wisiała krzywo na zawiasach.

„Nie widać tu wielkiej zamożności — rozmyślał inspektor. — Widać źle im się powodzi”.

Narracott był człowiekiem z natury sprawiedliwym, ale dotychczasowe śledztwo wskazywało, że istnieje małe prawdopodobieństwo, aby kapitan został uśmiercony przez jakiegoś wroga. Z drugiej znów strony, cztery osoby — jak oceniał — mogły zarobić znaczne sumy na śmierci starego. Należało więc zbadać, gdzie się te cztery osoby znajdowały w tym czasie. Wpis w rejestrze gości hotelowych dawał dużo do myślenia. Ale ostatecznie nazwisko Pearson było dość pospolite. Inspektor Narracott pilnował się, aby o niczym nie decydować pochopnie i bez żadnych uprzedzeń przeprowadzić możliwie szybko wstępne dochodzenie.

Drzwi otworzyła pokojówka o niezbyt schludnej prezencji.

— Dzień dobry — powiedział inspektor Narracott. — Chciałbym się zobaczyć z panią Gardner, jeśli można. W związku ze śmiercią jej brata, kapitana Trevelyana w Exhampton.

Umyślnie nie pokazał dziewczynie legitymacji policyjnej. Wiedział z doświadczenia, że sam fakt zjawienia się oficera policji zaniepokoi ją i zniechęci do rozmowy.

— Czy pani Gardner dowiedziała się już o śmierci brata? — zapytał od niechcienia inspektor, gdy pokojówka cofnęła się wpuszczając go do hollu.

— Tak, dostała depezę, tak. Od prawnika, pana Kirkwooda.

— No, właśnie — rzekł inspektor.

Pokojówka wprowadziła go do salonu, który, podobnie jak dom od zewnątrz, wyraźnie domagał się świeżych wkładów pieniężnych. Niemniej było to miłe, pełne uroku pomieszczenie — jak odczuł inspektor — choć nie bardzo sobie uświadamiał, z czego to wynika.

— Pani musiała się bardzo przejąć — zauważył.

Dostrzegł, że dziewczyna nie była tego pewna.

— Pani nie widywała go często... — bąknęła.

— Proszę zamknąć drzwi i podejść bliżej — rzekł inspektor Narracott.

Postanowił zadziałać przez zaskoczenie.

— Czy telegram mówił, że to było morderstwo? — spytał.

— Morderstwo! — Dziewczyna wytrzeszczyła oczy, przerażone, a zarazem zdradzające miłe podniecenie. — To jego zamordowali?

— Aha! — rzekł inspektor Narracott. — Tak przypuszczałem, że nic o rym nie wiecie. Pan Kirkwood chciał oszczędzić wstrząsu twojej pani. Ale widzisz, moja droga... a przy okazji, jak ci na imię?

— Beatrice, proszę pana.

— Widzisz, Beatrice, o tym dziś będzie w wieczornych gazetach.

— Coś podobnego! — wykrzyknęła Beatrice. — Zamordowany! To straszne, no nie? Czy mu głowę rozbili, czy go zastrzelili, czy co?

Inspektor zaspokoił jej ciekawość, a potem rzucił niby obojętnie:

— Chyba była mowa o tym, że twoja pani miała wczoraj po południu pojechać do Exhampton. Ale nie myślę, aby wybrała się przy takiej pogodzie.

— Nic o tym nie słyszałam, proszę pana — odrzekła Beatrice. — To chyba jakaś pomyłka. Pani wyszła wczoraj po południu na zakupy, a potem poszła do kina.

— A o której wróciła?

— Koło szóstej.

A więc to wykluczało panią Gardner.

— Niewiele wiem o rodzinie kapitana — rzucił lekkim tonem inspektor. — Czy pani Gardner jest wdową?

— Ależ nie, proszę pana. Jest też u nas pan.

— A gdzie pracuje?

— Nigdzie nie pracuje — Beatrice spojrzała ze zdumieniem.

— On nic nie może robić. Jest inwalidą.

— Aha, jest inwalidą? Przepraszam, nie wiedziałem.

— Nie może chodzić. Całe dni spędza w łóżku. I przez cały czas mamy w domu pielęgniarkę. Mało która dziewczyna utrzyma się na służbie tam, gdzie cały czas trzymają pielęgniarkę. Ciągłe

trzeba im nosić tace zjedzeniem i parzyć herbatę.

— To musi być bardzo męczące — zauważył inspektor współczującym tonem. — A teraz, Beatrice, czy możesz pójść do pani i powiedzieć jej, że przyjechałem tutaj od pana Kirkwooda z Exhampton?

Beatrice wyszła, a w kilka minut później drzwi się otworzyły i do pokoju weszła wysoka kobieta imponującej postawy. Miała niezwykłą twarz, szerokie czoło i czarne włosy, lekko siwiejące na skroniach, gładko szesane do tyłu. Spojrzała pytająco na inspektora.

— Pan przyjechał z polecenia pana Kirkwooda z Exhampton?

— Niezupełnie, proszę pani. Tak to sformułowałem w rozmowie z pani pokojówką. Pani brat, kapitan Trevelyan, został zamordowany wczoraj po południu, a ja jestem inspektorem okręgowym, prowadzącym w tej sprawie śledztwo.

Cokolwiek można by powiedzieć o pani Gardner, w tej chwili okazała się kobietą o żelaznych nerwach. Źrenice jej się zwężyły i odetchnęła gwałtownie, po czym wskazała inspektorowi krzesło i sama usiadła.

— Zamordowany! To niesamowite! A któż chciałby zamordować Joego?

— Tego właśnie pragnąłbym się dowiedzieć, proszę pani.

— Oczywiście. Mam nadzieję, że będę mogła jakoś w tym panu pomóc, ale raczej wątpię. Przez ostatnie dziesięć lat bardzo rzadko się z bratem widywaliśmy. Nie znam żadnych jego przyjaciół ani ludzi, z którymi się stykał.

— Pani mi wybaczy to pytanie, ale czy była jakaś kłótnia między panią a bratem?

— Nie, nie pokłóciliśmy się. Po prostu staliśmy się sobie obcy, tak to można najlepiej wyrazić. Nie chcę wchodzić w szczegóły rodzinnych stosunków, ale brat miał pretensje z powodu mego małżeństwa. Sądzę, że bracia często nie pochwalają wyboru swych sióstr, ale może potrafią ukryć to lepiej niż mój brat. Brat, jak może panu wiadomo, dostał w spadku po ciotce duży majątek. My obie z siostrą poślubiłyśmy ludzi niemających. Gdy mój mąż został zwolniony z armii po wojnie jako inwalida, kontuzjowany przy wybuchu, uratowałyby nas wówczas niewielka pomoc finansowa. To umożliwiłoby mi opłacenie kosztownej kuracji, na którą inaczej nie moglibyśmy sobie pozwolić. Poprosiłam brata o pożyczkę. Odmówił. Oczywiście miał do tego pełne prawo. Lecz od tej pory spotykaliśmy się bardzo rzadko i prawie wcale nie pisywaliśmy do siebie.

Był to jasny i zwięzły opis sytuacji.

„Interesująca osobowość, ta pani Gardner” — pomyślał inspektor. Jakoś nie mógł jej rozgryźć. Zdawała się nienaturalnie spokojna, a jej gotowość do gładkiego recytowania faktów również była nienaturalna. Zwrócił też uwagę, że pomimo zdumienia na wiadomość o morderstwie, nie pytała o żadne szczegóły śmierci brata. To go uderzyło jako coś niezwykłego.

— Nie wiem, czy życzy pani sobie usłyszeć, co właściwie zaszło w Exhampton... — zaczął.

Zmarszczyła brwi.

— Czy muszę tego słuchać? Mój brat został zabity. Mam nadzieję, że śmierć była bezbolesna?

— Najpewniej całkiem bezbolesna.

— Wobec tego proszę mi oszczędzić wszelkich wstrząsających szczegółów.

„To nienaturalne — myślał inspektor — zdecydowanie nienaturalne”.

Jakby czytając w jego myślach, pani Gardner użyła tego samego słowa, które jemu przyszło do głowy.

— Przypuszczam, że panu wydaje się to nienaturalne, panie inspektorze, ale... ja już się nasłuchiwałam różnych okropności. Mój mąż, kiedy bywa w złym nastroju, opowiada mi różne rzeczy... — pani Gardner zadrżała. — Myślę, że pan by to zrozumiał, gdyby pan lepiej znał moją sytuację.

— Ależ oczywiście, naturalnie, proszę pani. Ja tu przyszedłem właściwie po to, aby zasięgnąć, u pani informacji o rodzinie.

— Tak?

— Czy wiadomo pani, ilu żyjących krewnych oprócz pani samej ma pani brat?

— Z bliskich krewnych są tylko Pearsonowie. Dzieci mojej siostry Mary.

— To znaczy?

— James, Sylwia i Brian.

— James?

— On jest najstarszy. Pracuje w Towarzystwie Ubezpieczeniowym.

— W jakim jest wieku?

— Ma dwadzieścia osiem lat.

— Żonaty?

— Nie, ale jest zaręczony, z bardzo miłą dziewczyną, jak mi się zdaje. Nie znam jej jeszcze.

— A jego adres?

— Cromwell Street 21, Londyn SW 3. Inspektor zanotował.



— A pozostali, proszę pani?

— Jest jeszcze córka. Sylwia. Jej mąż nazywa się Martin Dering. Może czytał pan jego książki — to dość znany autor.

— Dziękuję pani. A ich adres?

— Willa Zakątek, Surrey Road, Wimbledon.

— Tak?

— I najmłodszy, Brian, ale on mieszka w Australii. Niestety, nie znam jego adresu, ale na pewno znają go jego brat i siostra.

— Bardzo pani dziękuję. Jeszcze tylko dla porządku jedna rzecz. Wybaczysz pani, że spytam, jak spędziła pani wczorajsze popołudnie?

Panią Gardner pytanie to wyraźnie zaskoczyło.

— Zaraz, muszę sobie przypomnieć. Robiłam zakupy, tak, a potem poszłam do kina. Do domu wróciłam koło szóstej i poleżałam trochę do kolacji, bo po filmie rozboleła mnie głowa.

— Dziękuję pani.

— Czy coś jeszcze?

— Nie, chyba nie mam więcej pytań. Postaram się teraz skontaktować z pani siostrzeńcem i siostrzenicą. Nie wiem, czy pan Kirkwood powiadomił panią, że pani i troje młodych Pearsonów dziedziczyacie wspólnie majątek kapitana Trevellyana.

Twarz pani Gardner ogarnął powoli ciepły, żywy rumieniec.

— To byłoby cudowne — powiedziała spokojnie. — Nasze położenie jest ciężkie. Wieczne oszczędzanie i odmawianie sobie wszystkiego, i marzenia o poprawie...

Poderwała się nagle, gdy z górnego piętra rozległo się niecierpliwe, gniewne wołanie.

— Jennifer, Jennifer, chodź, jesteś mi potrzebna!

— Przepraszam pana — powiedziała.

Gdy otwierała drzwi, wołanie zabrzmiało głośniejsze i bardziej despotycznie.

— Jennifer, gdzie ty się podziewasz? Jesteś mi potrzebna!

Inspektor podszedł za nią do drzwi. Stał w holu, patrząc jak biegnęła na górę po schodach.

— Już idę, kochanie — zawołała.

Ze schodów schodziła kobieta w stroju pielęgniarki, która usunęła się na bok, aby ją przepuścić.

— Proszę pani, niech pani idzie do pana Gardnera. Jest bardzo zdenerwowany. Pani zawsze potrafi go uspokoić.

Inspektor Narracott umyślnie stanął na drodze pielęgniarki, gdy zeszła ze schodów.

— Czy mogę z panią chwilę porozmawiać? — zapytał. — Moja rozmowa z panią Gardner została przerwana.

Pielęgniarka pośpiesznie weszła za nim do saloniku.

— Wiadomość o morderstwie rozdrażniła mojego pacjenta — wyjaśniła, poprawiając mocno wykrochmalony mankiet. — Ta głupia dziewczyna Beatrice od razu przybiegła na górę i wszystko wypaplała.

— Przepraszam — powiedział inspektor. — Obawiam się, że to moja wina.

— Och, przecież pan tego nie mógł przewidzieć — odparła wspaniałomyślnie pielęgniarka.

— Czy pan Gardner jest ciężko chory? — spytał inspektor.

— To smutny przypadek — powiedziała pielęgniarka. — Naturalnie, w pewnym sensie to nic mu nie jest. Utracił władzę w nogach na skutek szoku nerwowego. Ale nie jest to prawdziwe kalectwo.

— A czy wczoraj po południu nie doznał jakiegoś wstrząsu? — pytał inspektor.

— O ile wiem, to nie. — Pielęgniarka miała zdziwioną minę.

— Ale pani była z nim przez całe popołudnie?

— Miałam być, ale akurat... tak się złożyło, że kapitanowi bardzo zależało na tym, żeby wymienić mu dwie książki w wypożyczalni. Zapomniał poprosić żonę, kiedy wychodziła. Postanowiłam wyświadczyć mu tę przysługę, wzięłam książki i wyszłam. A przy okazji prosił mnie, żebym kupiła dla niego kilka drobiazgów — to miały być prezenty dla żony. Był bardzo miły i prosił, żebym na jego koszt wypiła herbatę u Bootsa. On mówi, że pielęgniarki zawsze piją herbatę — to taki jego stały żarcik, wie pan. Wyszłam dopiero po czwartej, a ponieważ w sklepach był tłok, bo to tuż przed świętami, tak się jakoś złożyło, że wróciłam dopiero po szóstej, ale biedaczysko spędził ten czas spokojnie. A nawet powiedział mi, że przespał prawie cały ten czas.

— A pani Gardner była już w domu?

— Tak. Zdaje mi się, że leżała wtedy.

— Jest bardzo przywiązana do męża, prawda?

— Ona go ubóstwia. Naprawdę, myślę, że wszystko by dla niego zrobiła. To bardzo wzruszające i

nieczęsto się zdarza. Widziałam już całkiem inne przypadki. Na przykład w zeszłym miesiącu...

Lecz inspektor Narracott nader zręcznie wykręcił się od wysłuchiwania plotek z zeszłego miesiąca. Spojrzał na zegarek i zawołał:

— Wielki Boże! Spóźnię się na pociąg. Stąd do stacji nie jest daleko, prawda?

— Do Świętego Dawida tylko trzy minuty piechotą, jeżeli chodzi panu o tę stację. A może pan odjeżdża z Queen Street?

— Muszę pędzić — powiedział inspektor. — Może pani łaskawie przeprosi panią Gardner, że nie zdążyłem się z nią pożegnać. Bardzo mi przyjemnie, że mogłem z panią chwilkę pogawędzić.

Pielęgniarka była tylko troszeczkę urażona.

„Całkiem przystojny mężczyzna — powiedziała do siebie, gdy drzwi zamknęły się za inspektorem. — Naprawdę całkiem przystojny. I ma taki miły, sympatyczny sposób bycia”.

Z lekkim westchnieniem poszła na górę do swego pacjenta.

# Rodzina Pearsonów

Następnym krokiem inspektora Narracotta było złożenie raportu swemu przełożonemu, nadinspektorowi Maxwellowi.

Maxwell z zainteresowaniem wysłuchał opowieści inspektora.

— To będzie poważna sprawa — powiedział z namysłem — zajmie czołowe miejsca w dziennikach.

— Zgadzam się z panem, panie nadinspektorze.

— Musi pan działać ostrożnie. Tu nie można popełniać błędów. Ale myślę, że jest pan na właściwym tropie. Trzeba dotrzeć do tego Jamesa Pearsona jak najszybciej i dowiedzieć się, co robił wczoraj po południu. To prawda, co pan mówi, że nazwisko jest dość pospolite, ale mamy tu też zbieżność imienia. Oczywiście fakt, że podpisał się otwarcie w spisie gości własnym imieniem i nazwiskiem, wskazuje, że nie było w tym żadnej premedytacji. Nie byłby aż tak głupi, gdyby sprawy miały się inaczej. Wygląda mi to na kłótnię i nagłe zadanie ciosu. Jeżeli jest winien, musiał się dowiedzieć, że wuj nie żyje, później, wieczorem. A jeżeli tak, to dlaczego wymknął się nic nie mówiąc nikomu, aby odjechać pociągiem o szóstej rano? Nie, to nie wygląda dobrze. Oczywiście, mógł to być prosty zbieg okoliczności. Musi pan tę sprawę wyjaśnić tak szybko, jak tylko się da.

— Tak właśnie myślałem, panie nadinspektorze. Najlepiej będzie, jak pojedę do miasta pociągiem o pierwszej czterdzieści pięć. Prędzej czy później muszę też zamienić parę słów z tą kobietą, z tą Willett, która wynajęła dom od kapitana. W tym jest coś podejrzanego. Ale teraz nie dostanę się do Sittaford, drogi są zasypane śniegiem. A w każdym razie ona nie mogła mieć bezpośredniego związku z tym przestępstwem. W czasie, kiedy zostało popełnione morderstwo, ona i córka zajmowały się... hm... wywoływaniem duchów. A przy okazji muszę wspomnieć, że zdarzyła się bardzo dziwna rzecz.

Inspektor opowiedział o wydarzeniu, o którym usłyszał od majora Burnaby'ego.

— Co za zwariowana historia! — wykrzyknął nadinspektor. — Czy myśli pan, że ten stary mówi prawdę? Takie rzeczy zmyślają sobie po fackie ludzie, którzy wierzą w duchy i tym podobne brednie.

— Mnie się wydaje, że mówił prawdę — odrzekł z uśmiechem inspektor, wyraźnie ubawiony taką możliwością. — Miałem wiele trudności, nim to z niego wydobyłem. On sam nie wierzy w takie rzeczy, wprost przeciwnie. Jak na starego żołnierza przystało, to wszystko dla niego brednie i bzdury.

Nadinspektor skinął głową ze zrozumieniem.

— No, bardzo to dziwne, ale do niczego nas nie prowadzi — stwierdził.

— Wobec tego jadę do Londynu tym o pierwszej czterdzieści pięć.

Maxwell skinął głową.

Po przyjeździe do miasta Narracott udał się natychmiast pod wskazany adres przy Cromwell Street 21. Powiedziano mu, że pan Pearson jest w biurze. Na pewno wróci koło siódmej.

Narracott kiwnął głową tak niedbale, jakby mu mało zależało na tej informacji.

— Wpadnę jeszcze raz, jak będę mógł — powiedział. — To nic ważnego. — I odszedł spieszenie, nie podając swego nazwiska.

Postanowił, że nie pójdzie do biura Towarzystwa Ubezpieczeń, odwiedzi natomiast w Wimbletonie panią Martinową Dering, z domu pannę Sylwię Pearson.

W willi Zakątek nie widziało się niedostatku. „Nowy i tandetny” — tak określił go w myślach inspektor.

Panią Dering zastał w domu. Nieco wyzywająca pokojówka odziana w sukienkę koloru lila wprowadziła go do przeładowanego meblami salonu. Podał jej swą urzędową wizytówkę, prosząc, aby wręczyła ją pani.

Pani Dering zjawiła się prawie natychmiast z wizytówką w ręku.

— Sądzę, że przychodzi pan w związku ze śmiercią biednego wuja Josepha — powitała go. — To wstrząsające, naprawdę wstrząsające! Ja sama panicznie się boję włamywaczy. Właśnie w zeszłym tygodniu kazałam założyć dwie dodatkowe zasuwę na tylnych drzwiach i nowe patentowe zamki na oknach.

Inspektor wiedział od pani Gardner, że Sylwia Dering ma dopiero dwadzieścia pięć lat, ale wyglądała na ponad trzydzieści. Była niska, jasnowłosa i jakby anemiczna, twarz jej miała wyraz strapiony i znękaný. Mówiła tym jęklwym tonem, który jest chyba najbardziej irytującym dźwiękiem, jaki może wydać ludzki głos. Ciągnęła, nie dopuszczając inspektora do słowa.

— Jeśli coś w ogóle mogę zrobić, aby panu jakoś pomóc, to oczywiście będę niezmiernie rada, ale myśmy prawie nigdy nie widywali wuja Josepha. To nie był miły człowiek. Jestem pewna, że nawet nie potrafiłby być miły. Nie był kimś, do kogo można by się zwrócić w potrzebie. Zawsze czegoś się czepiał i krytykował. Nie miał pojęcia o literaturze i o tym, jak wiele ona znaczy. Sukces, panie inspektorze, prawdziwy sukces nie zawsze mierzy się pieniędzmi.

Wreszcie przerwała i inspektor, któremu jej uwagi otworzyły pole do pewnych domysłów, doczekał się swojej kolei w rozmowie.

— Pani bardzo szybko dowiedziała się o tej tragedii, pani Dering.

— Dostałam telegram od ciotki Jennifer.

— Rozumiem.

— Ale przypuszczam, że napiszą o tym w wieczornych gazetach. To straszne, prawda?

— Domyślam się, że nie widywała pani swego wuja w ostatnich latach.

— Widziałam go tylko dwa razy od czasu mojego zamążpójścia. Przy takiej okazji zachował się naprawdę bardzo ordynarnie wobec Martina. Oczywiście, wuj był filistrem w pełnym tego słowa znaczeniu. Obchodził go tylko sport. Jak mówiłam, zupełnie nie doceniał literatury.

„Małżonek prosił o pożyczkę i spotkał się z odmową” — pomyślał inspektor.

— A teraz w kwestii formalnej, pani Dering, czy może mi pani powiedzieć, co pani porabiała wczoraj po południu?

— Co porabiałam? Cóż za dziwne pytanie, panie inspektorze. Przez większą część popołudnia grałam w brydża, a poza tym odwiedziła mnie znajoma i spędziła ze mną wieczór, ponieważ męża nie było w domu.

— Nie było go w domu, tak? Czy wyjechał?

— Był na uroczystej kolacji dla literatów — wyjaśniła pani Dering z ważną miną. — Jadł obiad z amerykańskim wydawcą, a potem wieczorem miał to przyjęcie.

— Rozumiem.

Wszystko wydawało się jasne i proste. Pytał dalej:

— Jak mi się zdaje, pani młodszy brat mieszka w Australii?

— Tak.

— Ma pani jego adres?

— O tak. Mogę go znaleźć, jeśli pan sobie życzy. To taka dziwna nazwa, w tej chwili nie pamiętam. Gdzieś w Nowej Południowej Walii.

— A pani starszy brat?

— Jim?

— Tak. Będę chciał się z nim zobaczyć.

Pani Dering pośpiesznie podała mu adres. Był taki sam, jak adres uzyskany już od pani Gardner.

Następnie, uważając, że nic więcej nie zostało do powiedzenia, inspektor zakończył rozmowę.

Spojrząwszy na zegarek stwierdził, że gdy powróci do miasta, będzie godzina siódma — odpowiednia pora, jak sądził, aby zastać w domu pana Jamesa Pearsona.

Ta sama wyniosła starsza osoba otworzyła mu drzwi pod numerem dwadzieścia jeden.

— Tak, pan Person jest teraz w domu. Może pan się pofatyguje na drugie piętro.

Zaprowadziła go na górę, zapukała do drzwi i przyciszonym, przeprasającym głosem powiedziała: „Jakiś pan do pana”. Po czym usunęła się na bok, aby inspektor mógł wejść.

Na środku pokoju stał młody człowiek w stroju wieczorowym. Był przystojny, nawet urodziwy, pomijając pewien rys słabości w wyrazie ust i niepewne spojrzenie. Wydawał się zmęczony, stroskany i wyglądał jak po nie przespanej nocy.

Spojrzał pytająco na wchodzącego inspektora.

— Jestem inspektor Narracott z oddziału śledczego... — lecz inspektor nie zdążył nawet dokończyć zdania.

Z ochryłym krzykiem młody człowiek opadł na krzesło, położył ręce na stole, oparł na nich głowę i wyrzekł półgłosem:

— O mój Boże! Zaczęło się!

Po minucie lub dwóch uniósł głowę i powiedział:

— No więc, dalej, niech pan robi swoje, dlaczegóż by nie? Inspektor Narracott przybrał postawę człowieka flegmatycznego i niezbyt rozgarniętego.

— Prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci pańskiego wuja, kapitana Josepha Trevelyana. Chciałbym spytać, czy pan ma coś w tej sprawie do powiedzenia?

Młody człowiek podniósł się z wolna i wyrzekł cichym, zduszonym głosem:

— Czy pan... czy pan przyszedł mnie aresztować?

— Nie, proszę pana, nie. Gdybym miał pana aresztować, wypowiedziałbym zwyczajową formułę ostrzegawczą. Po prostu proszę, żeby mi pan powiedział, co pan robił wczoraj po południu. Może pan odpowiedzieć na moje pytanie lub nie, jak pan uważa.

— A jeśli nie odpowiem na nie, to będzie wykorzystane przeciwko mnie. O tak, ja znam wasze sztuczki. Więc pan już odkrył, że byłem tam wczoraj?

— Podpisał się pan swoim imieniem i nazwiskiem w rejestrze hotelowym, panie Pearson.

— Och, chyba nie ma sensu się wypierać. Byłem tam, owszem, a czemu nie?

— No właśnie... — rzekł łagodnie inspektor.

— Pojechałem tam, żeby zobaczyć się z wujem.

— Czy to było umówione?

— Jak to umówione?

— Czy pański wuj wiedział, że pan przyjeżdża?

— Ja... ja, nie, nie wiedział. To było... To mi nagle przyszło do głowy.

— Bez żadnego powodu?

— Ja... jaki powód? Nie, dlaczego miałby być jakiś powód? Ja po prostu... chciałem zobaczyć wuja.

— Rozumiem, proszę pana. I zobaczył go pan? Nastąpiła cisza — bardzo długa cisza. Każdy rys twarzy młodego człowieka wyrażał niezdecydowanie. Obserwując go Narracott uczył, jak ogarnia go coś na kształt współczucia. Czy ten chłopak nie widzi, że jego jawne niezdecydowanie jest w istocie przyznaniem się do winy?

Na koniec Jim Pearson wziął głęboki oddech.

— Ja... chyba będzie najlepiej, jak od razu do wszystkiego się przyznam. Tak, widziałem się z nim. Już na stacji pytałem, jak się dostać do Sittaford. Powiedziano mi, że to wykluczone. Drogi są całkowicie nieprzejezdne. Mówiłem im, że to pilne.

— Pilne? — podchwycił cicho inspektor.

— Ja po prostu... bardzo chciałem się z wujem zobaczyć.

— Na to wygląda, proszę pana.

— A portier ciągle trząśł głową i mówił, że to niemożliwe. Wymieniłem nazwisko wuja i od razu twarz mu się rozjaśniła, i powiedział, że teraz akurat wuj mieszka w Exhampton; i udzielił mi szczegółowych wskazówek, jak trafić do domu, który odnajmował.

— I to było o której godzinie, proszę pana?

— Chyba około pierwszej. Poszedłem do zajazdu pod Trzema Koronami, wynająłem pokój i zjadłem tam obiad. Potem wyszedłem... poszedłem zobaczyć się z wujem.

— Zaraz potem?

— Nie, nie zaraz.

— O której to było godzinie?

— No... trudno mi tak dokładnie określić.



— Wpół do czwartej? Czwarta? Wpół do piątej?

— Ja... Ja... — coraz bardziej się jąkał. — Chyba nie było aż tak późno.

— Pani Belling, właścicielka zajazdu, powiedziała, że wyszedł pan o wpół do piątej.

— Tak? Myślę... myślę, że się pomyliła. Nie mogło być aż tak późno.

— I co dalej?

— Trafiłem do domu wuja, porozmawiałem z nim i wróciłem do zajazdu.

— Jak pan wszedł do domu wuja?

— Zadzwoiłem i on sam otworzył mi drzwi.

— Zdziwił się, gdy pana zobaczył?

— Tak... no, tak. Był trochę zdziwiony.

— Jak długo pozostawał pan u wuja, panie Pearson?

— Kwadrans, dwadzieścia minut. Ale proszę posłuchać, on był cały i zdrow, kiedy odchodziłem. Absolutnie cały i zdrow. Przysięgam.

— A o której wyszedł pan od niego?

Młody człowiek spuścił oczy. Znów w jego głosie pojawiło się wahanie. — Nie wiem dokładnie.

— A ja myślę, że pan wie, panie Pearson.

Zdecydowany ton inspektora zrobił swoje. Młody człowiek odpowiedział cicho:

— Było kwadrans po piątej.

— Pan wrócił do Trzech Koron za kwadrans szósta. Droga od domu wuja do zajazdu mogła panu zająć najwyżej siedem, osiem minut.

— Nie wróciłem tam od razu. Chodziłem po mieście.

— W tę mroźną pogodę? W śnieżycy?

— Wtedy nie padał śnieg. Zaczął padać dopiero później.

— Rozumiem. A jak wyglądała pana rozmowa z wujem?

— Ach, to nie było nic szczególnego. Chciałem po prostu pogadać ze staruszką, odwiedzić go, wie pan, coś w tym rodzaju.

„Marny z niego kłamca — pomyślał inspektor. — Już ja bym lepiej potrafił”. Głośno zaś powiedział:

— Dobrze. A teraz, czy mogę pana zapytać, dlaczego wyjechał pan z Exhampton zaraz po usłyszeniu wiadomości o zamordowaniu wuja, nic nikomu nie mówiąc o waszym pokrewieństwie?

— Przestraszyłem się — odrzekł szczerze młody człowiek. — Dowiedziałem się, że zamordowano go mniej więcej w tym czasie, kiedy się z nim rozstałem. Przecież, do licha, to wystarczy, żeby wystraszyć każdego, prawda? Wpadłem w panikę i uciekłem stamtąd pierwszym pociągiem. Och, pewnie się zachowałem jak idiota. Ale pan wie, jak to bywa, kiedy człowiek jest roztrzęsiony. A w tych okolicznościach każdy byłby roztrzęsiony.

— I to wszystko, co pan ma do powiedzenia?

— Tak... no tak... naturalnie.

— Wobec tego chyba nie będzie pan miał nic przeciw temu, aby pójść ze mną w celu spisania zeznań, po czym odczytamy panu tekst i pan go podpisze.

— Czy to wszystko?

— Możliwe, proszę pana, że zajdzie konieczność zatrzymania pana aż do rozprawy.

— O mój Boże! — zawołał Jim Pearson. — Czy nikt mi nie może pomóc?

W tym momencie drzwi otworzyły się i do pokoju weszła młoda kobieta.

Była to, jak zauważył od razu spostrzegawczy inspektor Narracott, zupełnie wyjątkowa młoda kobieta. Może nie uderzająco piękna, ale jej twarz miała w sobie coś niezwykłego, co przykuwało uwagę i nie pozwalało o niej zapomnieć, gdy raz się ją dostrzegło. Roztaczała jakąś atmosferę rozsądku, savoir faire, niezwykłej determinacji i uroku, który fascynował i pociągał.

— Och, Jim! — wykrzyknęła. — Co się stało?

— Wszystko się skończyło, Emilio — powiedział młody człowiek. — Oni myślą, że zamordowałem wuja.

— Kto tak myśli? — spytała Emilia.

Młody człowiek wskazał gestem na inspektora.

— To jest inspektor Narracott — powiedział i nieudolnie zaprezentował: — Panna Emilia Trefusis.

— O! — powiedziała Emilia Trefusis.

Obrzuciła inspektora Narracotta badawczym spojrzeniem bystrych orzechowych oczu.

— Jim jest strasznym idiotą — oznajmiła — ale nie ma zwyczaju mordować ludzi.

Inspektor nie odrzekł nic.

— Przypuszczam — ciągnęła Emilia, zwracając się do Jima — że wygadywałeś tu okropnie nieostrożne rzeczy. Gdybyś trochę uważniej czytał gazety, wiedziałbyś, że nigdy nie wolno rozmawiać z policjantem; chyba że masz dobrego adwokata, który siedzi obok ciebie i wysuwa sprzeciw za każdym słowem. Więc co się stało? Czy pan go aresztuje, panie inspektorze?

Inspektor Narracott wytłumaczył jasno, według zasad obowiązującej procedury, co dokładnie zamierza zrobić.

— Emilio! — zawołał młody człowiek. — Chyba nie wierzysz, że ja to zrobiłem? Nigdy w to nie uwierzysz, prawda?

— Nigdy, kochanie — odrzekła uspokajającym tonem Emilia. — Oczywiście, że nie. — I dodała łagodnie, po namyśle: — Ty nie miałbyś na tyle odwagi.

— Czuję się, jakbym nie miał jednej przyjaznej duszy na świecie — jęknął Jim.

— A właśnie że masz — odparła Emilia. — Masz mnie. Głowa do góry, Jim. Spójrz na te migocące brylanciki na trzecim palcu mojej lewej ręki. Tu oto stoi wierna narzeczona. Idź z panem inspektorem, a całą resztę zostaw mnie.

Jim Pearson wstał, ciągle jeszcze z osłupiałą miną. Włożył płaszcz leżący na krześle, a inspektor Narracott podał mu kapelusz ze stojącego obok biurka. Gdy ruszali do drzwi, inspektor powiedział grzecznie:

— Do widzenia pani.

— Do zobaczenia, panie inspektorze — odrzekła słodko Emilia. Gdyby inspektor Narracott znał lepiej pannę Emilię Trefusis, wiedziałby, że w tych słowach kryje się wyzwanie.

# Emilia wkracza do akcji

Dochodzenie w sprawie przyczyny zgonu kapitana Trevelyana przeprowadzono w poniedziałek rano. Była to nieciekawa, pozbawiona sensacji procedura, gdyż rozprawa, ku rozczarowaniu wielu osób, została prawie natychmiast odroczone o tydzień. W czasie weekendu Exhampton stało się sławne. Wiadomość, że siostrzeniec zmarłego został zatrzymany w związku z morderstwem, przeniosła całą sprawę ze skromnych wzmianek na ostatnich stronach gazet do zapowiadanych ogromnymi literami reportaży na czołowych miejscach. Pan Charles Enderby mógł sobie po raz wtóry pogratulować wyjątkowo korzystnej sytuacji, w jakiej się znalazł czystym trafem, z okazji nagrody w totalizatorze piłkarskim.

Dziennikarz postanowił sobie, że przyczepi się teraz do majora Burnaby'ego jak pijawka i pod pretekstem fotografowania jego domku zdobędzie wyłączne informacje o mieszkańcach Sittaford i ich stosunkach ze zmarłym.

Nie uszło uwagi pana Enderby'ego podczas lunchu, że przy małym stoliku obok drzwi siedzi bardzo atrakcyjna dziewczyna. Pan Enderby zastanawiał się, co taka kobieta może robić w Exhampton. Była dobrze ubrana — w stylu niby skromnym, a jednak wyzywającym — i nie wyglądała na krewną zmarłego, a jeszcze mniej na osobę, określaną mianem ciekawskiej.

„Ciekaw jestem, jak długo tu pozostanie? — myślał pan Enderby. — Trochę szkoda, że dziś po południu jadę do Sittaford. Znów mam pecha. No, ale chyba nie można mieć obu rzeczy naraz”.

Jednak wkrótce po lunchu pana Enderby'ego spotkała miła niespodzianka. Stał na schodkach Trzech Koron, obserwując szybko topniejący śnieg i ciesząc się sennymi promieniami zimowego słońca, gdy dotarł do jego świadomości głos — nadzwyczaj czarujący głosik, który zwracał się do niego.

— Przepraszam, czy mógłby mi pan powiedzieć... Czy w Exhampton jest coś ciekawego do obejrzenia?

Charles Enderby szybko stanął na wysokości zadania.

— Jest tu zamek, jak mi się zdaje — powiedział. — Nic wielkiego, ale jest. Jeżeli pani pozwoli, pokażę pani drogę.

— To byłoby bardzo miłe z pana strony — odrzekła dziewczyna. — Jeżeli pan na pewno nie jest zbyt zajęty...

Charles Enderby z miejsca odrzucił przypuszczenie, że mógłby być zajęty. Wyruszyli razem.

— Mam przyjemność z panem Enderbym, jeśli się nie mylę? — spytała dziewczyna.

— Tak. A skąd pani wie?

— Pokazała mi pana pani Belling.

— A, rozumiem.

— Nazywani się Emilia Trefusis. Widzi pan... chciałabym prosić pana o pomoc.

— O pomoc dla pani? — powiedział Enderby. — Ależ oczywiście, tylko...

— Wie pan, ja jestem zaręczona z Jimem Pearsonem.

— Aha! — rzekł pan Enderby. W głowie zarysowały mu się nowe dziennikarskie możliwości.

— A policja chce go aresztować. Wiem, że tak jest. Proszę pana, ja wiem, że Jim tego nie zrobił. Jestem tu po to, aby udowodnić, że on tego nie zrobił. Ale muszę mieć kogoś do pomocy. Nic nie da się zrobić bez mężczyzny. Mężczyźni tak wiele wiedzą i potrafią zdobywać informacje na tyle sposobów, które są po prostu niedostępne dla kobiet.

— No, cóż... tak, przypuszczam, że to prawda — przyznał Enderby z odcieniem zadowolenia.

— Przyglądałam się tym wszystkim dziennikarzom przez cały ranek — ciągnęła Emilia. — Tylu z nich ma takie głupie twarze. Wybrałam pana, bo pan wydał mi się jedynym inteligentnym człowiekiem.

— Och, coś takiego. Wie pani, to chyba przesada. — Pan Enderby wydawał się jeszcze bardziej zadowolony.

— Chciałabym panu zaproponować — rzekła Emilia Trefusis — coś w rodzaju partnerstwa. Myślę, że byłoby to korzystne dla obu stron. Są pewne rzeczy, które chciałabym zbadać, dowiedzieć się o nich. A w tym pan, jako dziennikarz, może mi pomóc. Chciałabym...

Emilia urwała. Prawdę mówiąc, chciałaby zatrudnić pana Enderby'ego jako osobistego prywatnego detektywa. Żeby chodził tam, gdzie mu każe, pytał o to, co ona chce, i w ogóle stał się jej wiernym niewolnikiem. Lecz zdawała sobie sprawę, że musi przedstawić tę propozycję w sposób dla niego pochlebny i przyjemny. Chodziło wyłącznie o to, żeby ona była szefem, lecz sprawę trzeba przeprowadzić taktownie.

— Chciałabym — powiedziała — mieć uczucie, że mogę na panu polegać.

Miała przemiły głos, jedwabisty i kuszący. Gdy wygłosiła to ostatnie zdanie, w piersi pana Enderby'ego zrodziło się postanowienie, że ta urocza, bezbronna dziewczyna będzie mogła na nim polegać w całej rozciągłości.

— To musi być dla pani okropne — wyrzekł pan Enderby i ujmując jej dłoń uściśnił ją gorąco. — Ale wie pani — ciągnął, gdyż obudziło się w nim dziennikarskie sumienie — mój czas nie należy całkiem do mnie. To znaczy, muszę być tam, gdzie mnie posyłają, i tak dalej.

— Tak — przyznała Emilia. — Pomyślałam o tym i widzi pan, w tym znowu ja okażę się panu pomocna. Przecież jestem tym, co nazywają „wyłącznym źródłem informacji”, prawda? Może pan co dzień przeprowadzać ze mną wywiady, może pan wkładać w moje usta wszystko, co zdaniem pana spodoba się czytelnikom. Narzeczona Jima Pearsona. Dziewczyna, która gorąco wierzy w jego niewinność. Wspomnienia o jego dzieciństwie dostarczone przez jego ukochaną. Między nami mówią, nic nie wiem o jego dzieciństwie, ale to nieważne, pan rozumie.

— Uważam — oznajmił pan Enderby — że pani jest cudowna. Po prostu cudowna.

— A poza tym — ciągnęła Emilia, wykorzystując swoją przewagę — w sposób naturalny mam dostęp do krewnych Jima. Mogę pana wprowadzić jako jednego z moich przyjaciół tam, gdzie inaczej zamknięto by panu zapewne drzwi przed nosem.

— Wiem aż za dobrze, jak to jest — odparł z przekonaniem pan Enderby, któremu te słowa przypomniały różne afronty.

Otwierała się przed nim cudowna perspektywa. Miał szczęście w całej tej sprawie. Najpierw nagroda szczęśliwym trafem zdobyta przez majora, a. teraz to!

— Umowa stoi! — rzekł z zapalem.

— Dobrze. — Emilia przeszła teraz szybko do rzeczy. — A więc, jakie jest nasze pierwsze posunięcie?

— Dziś po południu jadę do Sittaford. — Opowiedział o szczęśliwym zbiegu okoliczności, który postawił go w korzystnej sytuacji wobec majora Burnaby’ego. — Bo widzi pani, to taki stary piernik, co nienawidzi dziennikarzy jak zarazy. Ale nie można przecież wyrzucić na zbity pysk faceta, który przed chwilą wręczył ci czek na pięć tysięcy funtów, prawda?

— To byłoby niezręczne — przyznała Emilia. — No więc, jeżeli pan jedzie do Sittaford, jadę z panem.

— Wspaniale — powiedział pan Enderby. — Tylko nie wiem, czy tam będzie gdzie się zatrzymać. O ile mi wiadomo, jest tam tylko Rezydencja Sittaford i kilka małych domków, zamieszkanymi przez ludzi takich jak Burnaby.

— Znajdziemy coś — rzekła Emilia. — Ja zawsze coś znajdę.

Enderby całkowicie w to wierzył. Emilia miała ten typ osobowości, który szybuje triumfalnie ponad wszelkimi przeszkodami.

W tym momencie dotarli już do ruin zamku, lecz nie zwracając na nie uwagi przysiedli na fragmencie muru, w niezbyt zasługującym na tę nazwę słońcu, i Emilia zaczęła rozwijać swoje koncepcje.

— Patrzę na to, proszę pana, bez sentymentów, jak na sprawę do załatwienia. Przede wszystkim musi mi pan uwierzyć, że Jim nie popełnił morderstwa. Nie mówię tego, ponieważ jestem w nim

zakochana, albo dlatego, że uważam, iż ma piękny charakter czy coś w tym guście. To po prostu doświadczenie. Widzi pan, ja żyłam samotnie właściwie od szesnastego roku życia. Nigdy nie miałam licznych kontaktów z kobietami i o nich wiem bardzo niewiele, lecz dużo wiem o mężczyznach. Dziewczynie nigdy się nie powiedzie w życiu, jeżeli nie potrafi dość dokładnie ocenić mężczyzny i tego, czego można się po nim spodziewać. A mnie się powiodło. Pracuję jako modelka u Lucie, a może pan być pewny, że osiągnięcie tego to niełatwy wyczyn. Więc, jak mówiłam, potrafię ocenić właściwie charakter mężczyzny. Jim ma raczej słaby charakter, ogólnie biorąc. Zresztą nie jestem pewna — ciągnęła Emilia, zapominając na chwilę o swojej roli wielbicielki silnych mężczyzn — czy nie polubiłam go właśnie dlatego. Mam poczucie, że potrafię nim pokierować i coś z niego zrobić. Jest dużo rzeczy, nawet przestępstw, do których, jak sądzę, mógłby się posunąć, gdyby go coś popchnęło, ale nie do morderstwa. On po prostu nie potrafiłby chwycić worka z piaskiem i trzasnąć nim w kark starego człowieka. A gdyby spróbował, na pewno by chybił i uderzył w niewłaściwe miejsce. Jim jest... jest łagodnym stworzeniem, proszę pana. Nawet nie lubi zabijać os! Zawsze próbuje wypędzić osę przez okno tak, żeby nie zrobić jej krzywdy, a ona go wtedy gryzie. Zresztą nie warto o tym mówić. Musi mi pan uwierzyć na słowo i zacząć od założenia, że Jim jest niewinny.

— Czy pani sądzi, że ktoś umyślnie próbuje go zrobić w to przestępstwo? — zapytał Charles Enderby w najlepszym dziennikarskim stylu.

— Nie sądzę. Widzi pan, nikt nie wiedział o tym, że Jim przyjedzie tutaj, żeby zobaczyć się z wujem. Oczywiście człowiek nigdy nie jest pewny, ale ja powiedziałabym, że to zbieg okoliczności i pech. Naszym zadaniem jest odnaleźć kogoś innego, kto miałby jakiś motyw, aby zabić kapitana Trevelyana. Policja jest pewna, że to nie „robota zewnętrzna”, to znaczy, nie żaden włamywacz. Wyłamanie szklanych drzwi było sfirowane.

— Czy powiedziała to pani policja?

— Właściwie tak — powiedziała Emilia.

— Co to znaczy „właściwie”?

— Powiedziała mi to pokojówka, a jej siostra jest żoną posterunkowego Gravesa, więc naturalnie wie, co myśli policja.

— No tak — rzekł pan Enderby. — A więc to nie była robota zewnętrzna. To była robota wewnętrzna.

— Właśnie — potwierdziła Emilia. — Policja, to jest inspektor Narracott, który, nawiasem mówiąc, jest chyba bardzo rozsądnym człowiekiem, zaczął od zbadania, kto skorzysta na śmierci kapitana Trevelyana. Więc mając Jima, który, że się tak wyrażę, aż się prosi, aby go wytypować, nie będą sobie zbytnio zawracali głowy, żeby szukać gdzie indziej. I to ma być nasze zadanie.

— Ale by była sensacja — zakrzyknął pan Enderby — gdybyśmy razem, pani i ja, wykryli prawdziwego mordercę! Ekspert kryminalny z „Daily Wire” — tak by mnie zaczęto nazywać. Ale to zbyt piękne, żeby było prawdziwe — dodał z nagłym zwątpieniem. — Takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach.

— Nonsens — odparła Emilia. — Mnie się zdarzają.

— Pani jest po prostu cudowna — powiedział raz jeszcze Enderby.

Emilia wyciągnęła notesik.

— A teraz zapiszemy wszystko metodycznie. Jim, a także jego brat, siostra i ciotka Jennifer korzystają w równym stopniu w wypadku śmierci kapitana Trevelyana. Oczywiście Sylwia, to siostra Jima, nie skrzywdziłaby nawet muchy, ale nie byłabym tak pewna co do jej męża. To podły brutal. Wie pan, taki artystyczny drań, ma romanse z kobietami i tym podobne sprawy. Bardzo prawdopodobne, że znalazł się w dołku finansowym. Pieniądze, które by odziedziczyli, należałyby w istocie do Sylwii, ale dla niego to wszystko jedno. Bardzo prędko wyciągnąłby je od niej.

— To widocznie bardzo nieprzyjemny osobnik — zauważył pan Enderby.

— O, tak. Przystojny, w wyzywającym stylu. Kobiety rozmawiają z nim po kątach o seksie. Prawdziwi mężczyźni go nie cierpią.

— Więc mamy tu podejrzanego numer jeden — rzekł pan Enderby, również zapisując uwagę w notesie. — Trzeba zbadać, co porabiał w piątek. Łatwo to zrobić pod pozorem wywiadu z popularnym powieściopisarzem, związanym z tym przestępstwem. Co pani o tym sądzi?

— Świetnie — powiedziała Emilia. — Jest jeszcze Brian, młodszy brat Jima. Podobno jest w Australii, ale równie dobrze mógł tu wrócić. Przecież ludzie czasem wracają bez uprzedzenia.

— Moglibyśmy wysłać do niego telegram.

— Wyślemy. Myślę, że ciotkę Jennifer można z tego wyłączyć. Słyszałam, że to cudowna osoba. Z charakterem. A jednak mimo wszystko nie była tak daleko stąd, zaledwie w Exeter. Mogłaby tu przyjechać, zobaczyć się z bratem, a on mógłby powiedzieć coś bardzo paskudnego o jej mężu, którego ona uwielbia, i wtedy mogłaby wpaść we wściekłość, chwycić worek z piaskiem i rąbnąć.

— Czy pani naprawdę tak przypuszcza? — spytał z powątpiewaniem pan Enderby.

— Nie, tak naprawdę to nie. Ale nigdy nic nie wiadomo. A poza tym jest jeszcze ten ordynans. W testamencie dostał tylko sto funtów i wydaje się w ogóle przyzwoity. Ale i tutaj nic nie wiadomo. Jego żona jest siostrzenicą pani Belling. Zna pan panią Belling, tę właścicielkę Trzech Koron. Myślę, że wypłaczę się na jej ramieniu, gdy wrócę do zajazdu. Wygląda na macierzyńską i romantyczną istotę. Sądzę, że będzie mi bardzo współczuć, że mojemu chłopcu grozi więzienie, i może wymknie się jej coś użytecznego. A poza tym jest przecież Rezydencja Sittaford. Wie pan, co mnie uderzyło? Coś dziwnego.

— Nie. Co takiego?

— Te kobiety, panie Willett. Te, które wynajęły od kapitana Trevelyana dom z umeblowaniem w środku zimy. To bardzo dziwaczne posunięcie.



— Tak, to dziwne — zgodził się pan Enderby. — Może się za tym kryć coś, co ma związek z przeszłością kapitana Trevelyana. Ta afera z seansem też była dziwna — dodał. — Zamierzam opisać to w mojej gazecie. Zbiorę opinie na ten temat od sir Olivera Lodge'a i sir Arthura Conan Doyle'a, od paru aktorek i jeszcze innych osób.

— Jaka afera z seansem?

Pan Enderby opowiedział wszystko z lubością. W sprawach dotyczących tego morderstwa nie było nic, czego by się już nie zdołał dowiedzieć!

— Trochę dziwne, co? — zakończył. — To znaczy, zmusza człowieka do myślenia i tak dalej. Może coś w tym wszystkim jest. Pierwszy raz spotkałem się z czymś tak autentycznym.

Emilia lekko zadrżała.

— Nie cierpię rzeczy nadprzyrodzonych — powiedziała.

Tym razem jednak rzeczywiście wydaje się, że coś w tym jest. Ale to takie... jakieś okropne.

— Te historie z seansami nigdy nic nie wnoszą, prawda? Jeżeli ten stary potrafił się tam dostać i powiedzieć, że nie żyje, dlaczego nie mógł powiedzieć, kto go zamordował? To by uprościło sprawę.

— Mam przeczucie, że klucz do tego może znajdzie się w Sittaford — powiedziała w zamyśleniu Emilia.

— Tak. Uważam, że powinniśmy tam przeprowadzić gruntowne dochodzenie — rzekł Enderby. — Wynająłem samochód i ruszam tam mniej więcej za pół godziny. Dobrze by było, żeby pani pojechała ze mną.

— Pojadę — odparła Emilia. — A co z majorem Burnabym?

— Lezie piechotą — rzekł Enderby. — Wyruszył zaraz po śledztwie. Myślę, że chyba chciał się wykręcić od mojego towarzystwa w drodze do domu. Nikt się nie będzie dla przyjemności taplać w błocie przez całą trasę.

— A czy samochód będzie mógł przejechać?

— O, tak. Dziś jest pierwszy dzień, kiedy daje się przejechać samochodem.

— A więc — rzekła Emilia wstając — już czas, żebyśmy wrócili do Trzech Koron. Ja spakuję walizkę i odegram scenę płaczu na piersi pani Belling.

— Proszę się nie martwić — powiedział niezbyt mądrze Enderby. — Proszę wszystko zdać na mnie.

— Właśnie to zamierzam zrobić. — W odpowiedzi Emilii nie było ani odrobiny prawdy. — To

cudownie mieć kogoś, na kim można całkowicie polegać!

Emilia Trefusis była rzeczywiście bardzo inteligentną młodą damą.

# Aresztowanie

Zaraz po powrocie do Trzech Koron Emilia miała szczęście natknąć się na panią Belling, która stała u wejścia do holu.

— O, pani Belling! — wykrzyknęła dziewczyna. — Wyjeżdżam dziś po południu.

— Tak, proszę pani? Tym pociągiem o czwartej do Exeter?

— Nie, jadę do Sittaford.

— Do Sittaford?

Oblicze pani Belleng wyrażało najwyższą ciekawość.

— Tak. I chciałam zapytać, czy pani wie, gdzie mogłabym się zatrzymać.

— Chce się pani tam zatrzymać? Ciekawość rosła.

— Tak, to jest... och, pani Belling, czy możemy gdzieś pójść do jakiegoś pokoju, żebym mogła przez chwilę z panią porozmawiać w cztery oczy?

Pani Belling z niejakim pośpiechem zaprowadziła Emilię do swego prywatnego sanktuarium. Był to zaciszny pokoik, w którym na kominku płonął wspaniały ogień.

— Nie powie pani o tym nikomu, prawda? — zaczęła Emilia, wiedząc dobrze, że ze wszystkich możliwych wstępów do rozmowy ten najpewniej budzi zainteresowanie i sympatię.

— Nie, proszę pani, na pewno nie powiem nikomu — rzekła pani Belling. Jej oczy rozbłyły ciekawością.

— Widzi pani, pan Pearson... wie pani...

— Ten młody pan, który zatrzymał się tu w piątek? Ten, co go aresztowała policja?

— Aresztowała? Chce pani powiedzieć, że naprawdę go aresztowali?

— Tak, panienko. Załedwie pół godziny temu.

Emilia zbladła jak ściana.

— Czy... czy pani jest tego pewna?

— O, tak, proszę pani. Nasza Amy dowiedziała się o tym od sierżanta.

— Ależ to straszne! — krzyknęła Emilia. Spodziewała się tego, ale nie poprawiło to sytuacji. — Widzi pani, pani Belling, ja... jestem z nim zaręczona. I on tego nie zrobił! O Boże, jakież to wszystko okropne!

I w tym momencie Emilia rozpląkała się. Już wcześniej mówiła Charlesowi Enderby'emu, że zamierza wybuchnąć płaczem, lecz w tej chwili przeraziła ją łatwość, z jaką popłynęły łzy. Płacz na zawołanie to niełatwa sztuka. A te łzy były bardzo — za bardzo prawdziwe. To ją przestraszyło. Nie wolno jej tak się poddawać. Poddawanie się było dla Jima zupełnie bezużyteczne. Musi być zdecydowana, logiczna i trzeźwo myśląca. To cechy, które w tej rozgrywce będą się liczyć. Bezradne łkania nigdy jeszcze nikomu nie pomogły.

Mimo wszystko, co za ulga móc się wypłakać! Ostatecznie płacz leżał w jej planach. Łzy były bezsprzecznie paszportem do współczucia i pomocy ze strony pani Belling. Więc czemu nie wypłakać się porządnie, skoro już się zaczęło? Może w tej powodzi łez wszystkie jej zmartwienia, wątpliwości i skrywane obawy znajdą ujście i odpłyną precz?

— No, no, moja droga, nie rozpaczaj tak — mówiła pani Belling.

Objęła Emilię pulchnym, macierzyńskim ramieniem i gładziła ją pocieszająco,

— Ja od początku mówiłam, że on tego nie zrobił. Taki naprawdę sympatyczny młody pan. To najpewniej sprawka jakiegoś wędrownego złodzieja. No, nie martw się dziecino, wszystko się dobrze skończy, przekonasz się. — Ja go tak kocham! — zawodziła Emilia. Kochany Jim, kochany, słodki, chłopięcy, niezaradny, niepraktyczny Jim. Można być pewnym, że zawsze robi nie to, co trzeba, i w niewłaściwym momencie. Jakże mógł mieć szansę w walce ze zrównoważonym, zdecydowanym inspektorem Narracottem?

— Musimy go uratować — szlochała.

— Oczywiście, uratujemy go, uratujemy — pocieszała ją pani Belling.

Emilia wytarła energicznie oczy, po raz ostatni pociągnęła nosem, przełknęła łzy i podnosząc głowę zapytała ostro:

— Gdzie mogę się zatrzymać w Sittaford?

— W Sittaford? Koniecznie chce pani tam jechać?

— Tak. — Emilia zdecydowanie kiwnęła głową.

— No, to... — pani Belling rozważała problem. — Niewiele tam mają w tym Sittaford. Jest ten duży dom, Rezydencja Sittaford, zbudowany przez kapitana Trevelyana, a teraz wynajmuje go ta pani z Południowej Afryki. I jeszcze sześć domków, które kapitan wybudował, a pod numerem piątym mieszka Curtis, były ogrodek Rezydencji Sittaford, i pani Curtis. Ona w lecie wynajmuje pokoje, kapitan jej na to pozwolił. Nigdzie indziej nie mogłaby się pani zatrzymać, nic innego tam nie ma. Jest jeszcze kowal i poczta, ale Mary Hibbert ma sześcioro dzieci i mieszka u nich szwagierka, a żona kowala spodziewa się ósmego dziecka, więc u nich nie ma ani jednego kąta. Ale jak pani się

dostanie do Sittaford? Wynajęła pani samochód?

— Pojadę razem z panem Enderbym.

— Aha. A on gdzie się zatrzyma, ciekawa jestem?

— Myślę, że też będzie musiał się zatrzymać u pani Curtis. Czy znalazłyby się dla nas dwa pokoje?

— Nie wiem, czy to będzie wypadało takiej młodej panie jak pani.

— On jest moim kuzynem — odparła Emilia.

Czuła, że w żadnym wypadku nie może pozwolić, aby poczucie przyzwoitości zepsuło jej szansę u pani Belling. Twarz pani Belling rozjaśniła się.

— No, w takim razie wszystko w porządku — uznała łaskawie. — A całkiem możliwe, że gdyby u pani Curtis nie było wygodnie, umieściliby panią w dużym domu.

— Przepraszam, że się tak idiotycznie zachowałam — powiedziała Emilia, raz jeszcze ocierając oczy.

— To przecież naturalne, moja droga. I lepiej się pani po tym czuje.

— Rzeczywiście — przyznała Emilia zgodnie z prawdą. — Czuję się znacznie lepiej.

— Dobrze jest się wyplakać i napić herbaty. Nic lepszego pod słońcem. I zaraz pani dostanie filiżankę doskonałej herbaty, moja droga, nim pani wyruszy w tę jazdę na zimnie.

— Och, dziękuję, naprawdę nie trzeba...

— Mniejsza z tym, co trzeba, i tak pani dostanie — oświadczyła pani Belling, wstając energicznie i kierując się ku drzwiom.

— I proszę powiedzieć ode mnie Amelii Curtis, że ma się panią opiekować i pilnować, żeby pani porządnie jadła i nie martwiła się.

— Pani jest taka dobra — powiedziała Emilia.

— A co więcej, będę miała uszy i oczy otwarte tu na miejscu — rzekła pani Belling, podejmując się z ochotą odegrania swojej roli w tym romansie. — Słyszę dużo różnych szczegółów, które nigdy nie dochodzą do uszu policji. A jak coś usłyszę, zaraz pani przekażę, panienko.

— Naprawdę, zrobi to pani?

— Tak, zrobię to. Niech pani się nie martwi, kochana, wyciągniemy pani kawalera z kłopotów.

— Muszę iść i spakować rzeczy — powiedziała Emilia wstając.

— Przyślę pani herbatę do pokoju — obiecała pani Belling.

Emilia poszła na górę, do walizki wrzuciła rzeczy, przemyła oczy zimną wodą i mocno się upudrowała.

„Ależ zrobiłaś z siebie brzydactwo!” — nawymyślała sobie w lustrze. Dodała jeszcze pudru i trochę różu. „Ciekawe — powiedziała w duchu. — Czuję się o wiele lepiej. To było warte zapachniętej twarzy”.

Zadzwoniła. Pokojówka (sympatyczna szwagierka posterunkowego Gravesa) zjawiała się natychmiast. Emilia ofiarowała jej funta i poprosiła gorąco o przekazywanie wszelkich Informacji, jakie mogłaby uzyskać okreśną drogą z kręgów policyjnych. Dziewczyna chętnie przyrzekła.

— Do pani Curtis w Sittaford? Na pewno, proszę pani. Zrobię wszystko, na pewno. My tu wszyscy współczujemy pani bardziej, niż mogę to wyrazić. Przez cały czas powtarzam sobie „pomyśl tylko, a gdyby chodziło o Freda i o ciebie?” Tak sobie mówię. Chyba bym oszalała, naprawdę. Co tylko usłyszę, proszę pani, zaraz pani przekażę. — Jesteś aniołem — powiedziała Emilia. — To tak, jak w tej książce, którą kupiłam niedawno za sześć pensów u Woolwortha, nazywała się „Morderstwo Syringi”. A wie pani, co ich naprowadziło na ślad prawdziwego mordercy? Kawalek wosku do pieczętowania! Pani narzeczony jest naprawdę przystojny, no nie? Całkiem niepodobny do swojej fotografii w gazetach. Na pewno zrobię wszystko, co będę mogła, proszę pani, dla pani i dla niego.

W ten sposób po przełknięciu filiżanki herbaty przepisanej przez panią Belling Emilia opuściła Trzy Korony w aureoli romantycznej bohaterki.

— Jeszcze jedno — powiedziała do Enderby’ego, gdy staruszek ford ruszał z miejsca. — Jest pan moim kuzynem. Proszę o tym nie zapominać.

— Dlaczego?

— Na prowincji mają takie czyste duszyczki — rzekła Emilia. — Uznałam, że tak będzie lepiej.

— Świetnie. — W obliczu takiej okazji pan Enderby stanął na wysokości zadania. — Wobec tego — rzekł — powinienem ci mówić po imieniu, Emilio.

— W porządku, kuzynie. A jak tobie na imię?

— Charles.

— W porządku, Charles.

Samochód podążył drogą prowadzącą do Sittaford.

# Sittaford

Krajobraz Sittaford, jaki ukazał się po raz pierwszy oczom Emilii, był fascynujący. Około dwóch mil za Exhampton skręcili w wiejską drogę, prowadzącą wśród wrzosowisk do wioski, położonej tuż na ich skraju. Stała tam kuźnia i budynek poczty, w którym mieścił się również sklepik ze słodyczami. Od tego punktu jechali wąską uliczką, aż dotarli do miejsca, gdzie ciągnął się rząd nowo zbudowanych, małych, parterowych domków z kamienia. Przy drugim z nich samochód się zatrzymał, a kierowca oznajmił, że tu mieszka pani Curtis.

Pani Curtis była małą, szczupłą, siwowłosą osobką, energiczną i trochę jędzowatą. Bardzo się przejęła wiadomością o morderstwie, która dopiero dziś rano dotarła do Sittaford.

— Tak, oczywiście, mogę panią przyjąć na mieszkanie, a pani kuzyna także, jeżeli może poczekać, aż poprzesuвам trochę gratów. Nie będą państwo mieli nic przeciw temu, jak sądzę, żeby jadać razem z nami? Ach, kto by przypuszczał! Kapitan Trevelyan zamordowany i robi się dochodzenie, i w ogóle! A my tu odcięci od świata już od piątku rano, a kiedy dzisiejszego ranka przyszła wiadomość, to aż mnie poraziło. „Kapitan nie żyje — powiedziała do Curtisa — to najlepszy dowód, jak dziś zło panoszy się na świecie”. Ale ja tu państwa trzymam na progu! Proszę, niech pani wejdzie, a ten pan także. Imbryk mam na ogniu i zaraz dostaną państwo herbaty. Musicie umierać z pragnienia po tej jeździe, choć oczywiście jest cieplej niż było. U nas śnieg sięgał ośmiu i dziesięciu stóp.

Tonąc w powodzi jej gadaniny, Emilia i Charles Enderby podążyli za gospodynią na swoje nowe kwatery. Emilii dostał się mały, kwadratowy pokój, nieskazitelnie czysty, z oknami wychodzącymi na zbocze Wzgórza Sittaford. Pokój Charlesa, frontowy — maleńka, podłużna norka — mieścił łóżko, mikroskopijną komódkę i umywalkę.

— Mamy szczęście, że znaleźliśmy się tutaj — zauważył Enderby, gdy kierowca wyszedł po złożeniu walizki na łóżku i otrzymaniu należności i podziękowania. — Niech mnie kaczka kopnie, jeżeli w ciągu najbliższego kwadransa nie dowiemy się o wszystkich mieszkańcach Sittaford wszystkiego, co można wiedzieć.

Dziesięć minut później siedzieli na dole w wygodnej kuchni, gdzie po zawarciu znajomości z panem Curtisem, burkliwym, siwym staruszką, posilali się mocną herbatą, chlebem z masłem, dewońską śmietanką i jajkami na twardo. Jedząc i pijąc słuchali. W przeciągu pół godziny dowiedzieli się wszystkiego, co można było wiedzieć o mieszkańcach tej małej osady.

Pierwsza z kolei, niejaka panna Percehouse, zamieszkała pod numerem 4, stara panna w niewiadomym wieku i nieobliczalna w swoich humorach, sprowadziła się sześć lat temu, według komunikatu pani Curtis po to, aby tu umrzeć.

— Ale może pani wierzyć lub nie, panienko, powietrze w Sittaford mamy takie zdrowe, że od razu, jak tu zamieszkała, zdrowie się jej poprawiło. To czyste, cudowne powietrze, radość dla płuc. Panna Percehouse ma siostrzeńca, który często do niej przyjeżdża — ciągnęła pani Curtis — i akurat teraz

jest u niej. Pilnuje, żeby pieniądze nie wymknęły się rodzinie, dlatego tu siedzi. To straszne nudy o tej porze roku dla młodego człowieka. Ale przecież można się zabawiać na różne sposoby, a jego obecność to zrządzenie opatrności dla młodej pani z Rezydencji Sittaford. Biedactwo, taka młoda, co za pomysł, żeby ją tu sprowadzać do tej wielkiej stodoły w środku zimy. Jakież te matki bywają samolubne! A ona jest w dodatku bardzo ładna. Pan Ronald Garfield odwiedza ją, kiedy tylko może, tak żeby się nie wydawało, że zaniedbuje pannę Percehouse.

Charles Enderby i Emilia wymienili spojrzenia. Charles pamiętał, że Ronald Garfield, jak mu powiedziano, należał do grupki biorącej udział w seansie spirytystycznym.

— A domek po tej stronie naszego, numer 6 — ciągnęła pani Curtis — został niedawno wynajęty. Ten dżentelmen nazywa się Duke. To znaczy, jeżeli można go nazwać dżentelmenem. Może tak, może nie. Trudno powiedzieć, ale ludzie dzisiaj nie są tak uważający, jak dawniej. Przyjęto go bardzo serdecznie. To jakiś nieśmiały pan. Z wyglądu chyba wojskowy, ale z zachowania nie całkiem. Nie tak jak major Burnaby: jak się na niego spojrzy, od razu widać, że to oficer i dżentelmen.

Pod numerem 3 mieszka pan Rycroft, taki mały, starszy pan. Mówią, że kiedyś jeździł do dalekich krajów po ptaki dla Muzeum Brytyjskiego. To przyrodnik, tak się ich nazywa. Często wychodzi z domu i wędruje po wrzosowiskach, kiedy tylko pogoda sprzyja. I ma piękny zbiór książek. Jego mieszkanie to prawie same półki na książki.

Numer 2 to pan kapitan Wyatt. Kaleka. Ma służącego Hindusa. Biedak jest bardzo wrażliwy na zimno. To znaczy służący, nie kapitan. Nic dziwnego, pochodzi przecież z dalekich ciepłych krajów. Takie tam u nich gorąco, że aż strach. Jakby się wchodziło do pieca.

Domek numer 1 należy do majora Burnaby'ego. Mieszka sam, całkiem sam, a ja do niego chodzę co dzień wcześniej rano, żeby posprzątać. To bardzo dokładny i schludny pan, i bardzo wymagający. Z kapitanem Trevelyanem zawsze trzymali się razem, jak dwaj bracia. To była przyjaźń na całe życie. I obaj mieli na ścianach takie dziwne głowy z zamorskich krajów.

Ale co do pani Willett i panny Willett, to nikt nie umie ich rozgryźć. Tam jest duża forsa! Dostawca, Amos Parker z Exhampton, mówił mi, że ich tygodniowy rachunek wynosi osiem albo i dziesięć funtów z górą. Nie uwierzylibyście państwo, ile w tym domu zjada się jajek! Przywiozły sobie służące z Exeter, ale dziewczynom nie podoba się tutaj i chcą odejść, a ja wcale się im nie dziwię. Pani Willett wozi je do Exeter swoim samochodem dwa razy na tydzień i dzięki temu i dla dobrego wyżywienia zgodziły się zostać, ale jakby mnie ktoś pytał, jest w tym coś dziwnego, żeby tak się zagrzebać na wsi — i to taka elegancka pani! No, czas już, żebym posprzątała po herbacie.

Odetchnęła głęboko, a wraz z nią Charles i Emilia. Ten rwący potok informacji całkowicie ich oszołomił. Charles odważył się zadać jeszcze jedno pytanie.

— Czy major Burnaby już wrócił? — zagadnął. Pani Curtis zatrzymała się z tacą w ramionach.

— Tak, ależ tak, proszę pana, przemaszerował jak zawsze, mniej więcej pół godziny przed państwa przyjazdem. Mówię: „A to co? Chyba pan nie szedł piechotą całą drogę od samego Exhampton?” A on ostro, jak zawsze: „A czemuż by nie? Jeżeli człowiek ma dwie nogi, nie trzeba mu



czterech kółek. Robię to przecież co tydzień, jak pani wiadomo, pani Curtis”. „O tak, panie majorze, ale dziś to nie to samo. Taki cios jak to morderstwo, a w dodatku śledztwo, to dziw, że pan ma jeszcze siły na takie chodzenie”. Ale on tylko odchrząknął i poszedł dalej. Tylko że źle wygląda. To cud, że przeżył ten piątkowy wieczór. Ja powiadam, że to dzielnie jak na jego wiek. Taki marsz piechotą, trzy mile w śnieżycy. Mówcie państwo, co chcecie, ale dzisiejsza młodzież nie dorównuje tym starym. Ten pan Ronald Garfield nigdy by tego nie zrobił.

Moim zdaniem, a to samo mówi pani Hibbert z poczty i pan Pound, nasz kowal, pan Garfield nie powinien był go puszczać samego w taką drogę. Powinien był pójść razem z nim. Gdyby major Burnaby zginął w tej śnieżycy, wszyscy by powiedzieli, że to wina pana Garfielda. Taka jest prawda.

Z triumfującą miną zniknęła w czeluściach kuchni wśród brzęku naczyń.

Pan Curtis w zadumie przesunął wiekową fajkę z prawej strony ust na lewą.

— Kobiety — wyrzekł — dużo gadają. — Umilkł na chwilę, a potem wymruczał: — A w tej gadaninie bez pojęcia nie ma ani krzty rozeznania ani prawdy.

Emilia i Charles milcząco przyjęli to oświadczenie. Widząc, że na ciąg dalszy się nie zanosi, Charles przytaknął:

— Bardzo słusznie, tak, bardzo słusznie!

— Aha! — powiedział pan Curtis i zapadł w błogie kontemplacyjne milczenie.

Charles wstał.

— Chyba już pójde odwiedzić starego Burnaby’ego — stwierdził. — Powiem mu, że sesja fotograficzna odbędzie się jutro rano.

— Pójde z tobą — rzekła Emilia. — Chcę się dowiedzieć, co on naprawdę myśli o Jimie i w ogóle o całej tej zbrodni.

— Czy masz jakieś gumki albo coś w tym rodzaju? Jest strasznie mokro po tych opadach.

— Kupiłam śniegowce w Exhampton — odrzekła Emilia.

— Jaka z ciebie praktyczna dziewczyna! Myślisz o wszystkim.

— Niestety — powiedziała Emilia — takie zalety nie pomogą ci w wykryciu mordercy. Mogłyby pomóc w popełnieniu morderstwa — dodała po chwili namysłu.

— No, tylko mnie nie zamorduj — odparł pan Enderby. Wyszli razem. Pani Curtis natychmiast wróciła do pokoju.

— Poszli do majora — oznajmił pan Curtis.

— Aha! — zawołała pani Curtls. — No i co ty o tym myślisz? Czy są w sobie zakochani, czy nie? Małżeństwo między kuzynami może mieć bardzo złe skutki. Dzieci głuchonieme albo niedorozwinięte i wiele różnych innych nieszczęść. On się w niej podkochuje, to widać. A ona? Trudno odgadnąć, co czuje. To sprytna sztuka, zupełnie jak Belinda, córka mojej ciotecznej babki Sary. Potrafi ująć sobie ludzi, a zwłaszcza mężczyzn. Ciekawam, o co jej tu chodzi. Wiesz, co ja myślę?

Pan Curtis coś mruknął.

— Chodzi jej o tego młodego pana, którego policja przymknęła po tym morderstwie. Moim zdaniem jej o niego chodzi. I przyjechała, żeby powęszyć i zbadać, co dałoby się wykryć. I zapamiętaj moje słowa — ciągnęła pani Curtis, trzaskając naczyńiami — jeżeli tu w ogóle coś jest do wykrycia, ona to wykryje!

# Pani i panna Willett

Gdy Charles i Emilia wyruszyli w odwiedzinę do majora Burnaby'ego, inspektor Narracott siedział w salonie Rezydencji Sittafort, usiłując wyrobić sobie opinię o pani Willett.

Nie mógł wcześniej przeprowadzić z nią rozmowy, gdyż drogi były nieprzejezdne aż do dzisiejszego ranka. Nie bardzo wiedział, czego ma się spodziewać, ale na pewno nie przewidział tego, co tu zastał. To pani Willett objęła panowanie nad sytuacją, a nie on.

Wpadła do pokoju pędem, rzeczowa i zdecydowana. Zobaczył wysoką kobietę o szczupłej twarzy i byстрым spojrzeniu. Miała na sobie nieco zbyt wyszukany kostium z jedwabnej dzianiny, troszkę nieodpowiedni jak, na wieś, jedwabne pończochy, cienutkie jak pajęczyna, i lakierki na wysokich obcasach. Dłonie jej zdobiło kilka cennych pierścionków, a szyję liczne sznury bardzo dobrej i kosztownej imitacji pereł.

— Pan inspektor Narracott? — zagadnęła. — Oczywiście, pan będzie chciał przeszukać dom. Co za straszna tragedia! Ledwie mogę w to uwierzyć. Dowiedziałyśmy się o tym dopiero dziś rano, pan rozumie. Byłyśmy strasznie wstrząśnięte. Proszę, niech pan usiądzie, panie inspektorze. A to moja córka, Violetta.

Prawie nie zauważył dziewczyny, która weszła za matką, a przecież była to bardzo ładna dziewczyna — wysoka, jasnowłosa, o dużych niebieskich oczach.

Pani Willett usiadła.

— Czy mogłabym panu w czymś pomóc, panie inspektorze? Bardzo słabo znałam biednego kapitana Trevelyana, ale jeśli jest coś, czego by pan sobie życzył...

Inspektor rzekł powoli:

— Dziękuję pani. Oczywiście, nigdy nie wiadomo, co może okazać się użyteczne, a co nie.

— Rozumiem to doskonale. Może w tym domu znajdzie się coś, co mogłoby rzucić światło na tę smutną sprawę, choć raczej w to wątpię. Kapitan Trevelyan zabrał stąd wszystkie swoje rzeczy osobiste. Obawiał się nawet, biedaczysko, że mogłabym coś zmaistrować przy jego sprzęcie wędkarskim — zaśmiała się cicho.

— Pani go nie znała.?

— Przed wynajęciem tego domu? O to panu chodzi? Och, nie. Potem zapraszałam go kilka razy, ale nigdy się nie zjawiał. Biedak, był strasznie nieśmiały. Właśnie to mu przeszkadzało. Znałam dziesiątki mężczyzn takich jak on. Mówi się o nich „wrogowie kobiet” i różne inne głupstwa, a tymczasem to tylko nieśmiałość. Gdybym mogła bliżej go poznać — orzekła pani Willett — zaraz wybiłabym mu z

głowy te fanaberie. Taki człowiek potrzebuje tylko odrobiny zachęty.

Inspektor Narracott zaczynał pojmować, dlaczego kapitan Trevelyan tak twardo bronił się przed swoimi lokatorkami.

— Zapraszałyśmy go obłe — ciągnęła pani Willett. — Prawda, Violetto?

— O tak, mamó.

— To był w głębi serca taki typowy prosty marynarz — mówiła pani Willett. — Wszystkie kobiety kochają marynarzy, panie inspektorze.

W tym momencie inspektor zorientował się, że jak dotąd, rozmową kieruje wyłącznie pani Willett. Był przekonany, że jest to nadzwyczaj inteligentna kobieta. Mogła być tak niewinna, na jaką wyglądała, z drugiej strony jednak mogła nią nie być.

— Jest pewien szczegół, co do którego pragnąłbym uzyskać informację — powiedział i urwał.

— Tak, panie inspektorze?

— Major Burnaby, jak pani niewątpliwie wiadomo, odkrył ciało. Doprowadził do tego pewien incydent, który wydarzył się w pani domu.

— To znaczy?

— To znaczy wirujący stolik... Słucham?

Odwrócił się nagle.

Jakiś cichy dźwięk wydarł się z ust dziewczyny.

— Biedna Violetta — rzekła jej matka. — Była tym strasznie zdenerwowana, my wszyscy zresztą też. To coś zupełnie niepojętego. Ja nie jestem przesądna, ale naprawdę to była rzecz wprost niezrozumiała.

— A więc to zdarzyło się naprawdę? Pani Willett otworzyła szeroko oczy.

— Czy się zdarzyło? Oczywiście, że tak. Wtedy myślałam, że to żart; żart bardzo okrutny i w bardzo złym guście. Podejrzewałam młodego Ronalda Garfielda...

— Och, mamó, nie. Jestem pewna, że on tego nie zrobił.

Zaklinał się, że nie.

— Mówię, co myślałam wtedy, Violetto. Jak można było myśleć inaczej? To mógł być tylko żart.

— Ciekawe — powiedział z wolna inspektor. — Panią to bardzo zdenerwowało?

— Wszystkich nas zdenerwowało. Aż do tej chwili wszystko było żartem, zabawą. Wie pan, jak to jest. Dobra zabawa na zimowy wieczór. A potem nagle taka rzecz! Bardzo mnie to rozgniewało.

— Rozgniewało?

— No oczywiście. Myślałam, że ktoś umyślnie żarty sobie stroi, tak jak mówiłam, dla zabawy.

— A teraz?

— Teraz?

— Tak. Co pani myśli teraz?

Pani Willett rozłożyła ręce wymownym gestem.

— Nie wiem, co o tym myśleć. To... niesamowite.

— A pani, panno Willett?

— Ja? — dziewczyna wyraźnie drgnęła. — Ja... ja nie wiem. Nigdy tego nie zapomnę. Śni mi się po nocach. Już nigdy się nie odważę na zabawę w wirujące stoliki.

— Przypuszczam, że pan Rycroft uznałaby to za wydarzenie autentyczne — powiedziała jej matka. — On wierzy w takie rzeczy. Naprawdę sama jestem skłonna uwierzyć. Czym to wytłumaczyć, jeżeli nie prawdziwym przesłaniem duchów?

Inspektor potrząsnął głową. Temat seansu spirytystycznego miał być tylko pretekstem. Następną uwagę rzucił tonem umyślnie obojętnym.

— Czy nie uważa pani, że ta okolica jest bardzo ponura zimą?

— Och, my jesteśmy w niej zakochane. To taka odmiana. Widzi pan, pochodzimy z Południowej Afryki.

Powiedziała to żywo i naturalnie.

— Naprawdę? A z której części Południowej Afryki?

— Och, z Cape. Violetta nigdy przedtem nie była w Anglii. Jest zachwycona. Uważa, że śnieg jest szalenie romantyczny. A ten dom jest naprawdę bardzo wygodny.

— Co sprawiło, że przybyły panie do tej części kraju? Jego głos wyrażał umiarkowaną ciekawość.

— Czytałyśmy wiele książek o Devonshire, a zwłaszcza o Dartmoor. Jedną czytałyśmy na statku. To było o tych sławnych jarmarkach w Widdecombe. Zawsze coś mnie ciągnęło, żeby zobaczyć Dartmoor.

— A jak pani zdecydowała się na Exhampton? To niezbyt znane miasteczko.

— Więc... czytałyśmy te książki, jak panu mówiłam, i na statku był młodzieniec, który opowiadał o Exhampton z wielkim entuzjazmem.

— Jak się nazywał? — spytał inspektor. — Czy pochodził z tych okolic?

— Zaraz, zaraz, jak on się nazywał? Chyba Cullen. Nie, Smythe. To głupie z mojej strony, naprawdę nie pamiętam. Wie pan, jak to jest na statku, panie inspektorze: nawiązuje się miłe znajomości i planuje się, że znów się zobaczymy, a w tydzień po zejściu na ląd nawet nie pamięta się nazwisk tych ludzi! — Zaśmiała się. — Ale to był taki miły chłopiec; niezbyt urodziwy, z rudawymi włosami, ale miał śliczny uśmiech.

— I dlatego postanowiła pani wynająć w tych stronach dom? — uśmiechnął się inspektor.

— Tak, czy to nie szaleństwo z naszej strony?

„Sprytnie — pomyślał Narracott. — Zdecydowanie sprytnie”. — Zaczynał poznawać metody pani Willett. Zawsze przenosiła bitwę na terytorium wroga. — Więc napisała pani do pośredników nieruchomości z prośbą o oferty domów do wynajęcia?

— Tak, i przysłano nam informacje o Rezydencji Sittaford. Okazało się, że to właśnie coś, czego szukamy.

— Nie byłby on w moim guście o tej porze roku — zaśmiał się inspektor.

— Może w naszym też nie, gdybyśmy mieszkały w Anglii — odparowała bystrze pani Willett. Inspektor wstał.

— Skąd pani wzięła nazwisko i adres pośrednika w Exhampton? — spytał. — To chyba nie było łatwe.

Chwila ciszy. Pierwsza w czasie tej rozmowy. Inspektorowi wydało się, że dostrzega w oczach pani Willett cień niepokoju, a nawet złości. Trafił na coś, na co nie miała przygotowanej odpowiedzi. Zwróciła się do córki.

— Jak na to wpadłyśmy, Violetto? Nie mogę sobie przypomnieć.

Wyraz oczu dziewczyny też się zmienił. Był w nich strach.

— Ach tak, już wiem! — zawołała pani Willett. — Delfridges. Biuro informacji. Oni są świetni. Zawsze się tam udaję, gdy chcę się czegoś dowiedzieć. Spytałam ich o nazwisko najlepszego agenta w tych stronach i podali mi je.

„Szybka — pomyślał inspektor. — Bardzo szybka. Ale tym razem nie dość szybka. Tu cię złapałem, moja pani”.

Pobieźnie przeszukał dom. Nic tam nie było, żadnych dokumentów, żadnych zamkniętych na klucz szuflad i szafek.

Pani Willett towarzyszyła mu, rozmawiając z ożywieniem. Pożegnał się z nią, grzecznie dziękując.

Gdy odchodził, mignęła mu za jej ramieniem twarz dziewczyny. Nie sposób było się pomylić — na tej twarzy malował się strach. Strach bardzo widoczny w chwili, gdy uważała, że nikt na nią nie patrzy.

Pani Willett ciągle mówiła.

— Niestety, mamy tu jeden bardzo poważny problem. Problem służby domowej. Służące nie znoszą mieszkania na wsi. Moje dziewczęta grożą już od pewnego czasu, że odejdą, a ta wiadomość o morderstwie całkiem je rozstroiła. Nie wiem, co zrobić. Może do służby zgodziliby się mężczyźni. Tak mi radzono w biurze pośrednictwa pracy w Exeter.

Inspektor odpowiedział coś machinalnie. Nie słuchał potoku jej wymowy. Zastanawiał się nad wyrazem twarzy dziewczyny, który udało mu się dostrzec. „Pani Willett jest bystra, ale jeszcze nie dość bystra — rozważał, kierując się do drzwi. — Jeżeli panie Willett nie miały nic wspólnego ze śmiercią kapitana Trevelyana, czego bała się Violetta Willett?”

Postanowił wystrzelić ostatni nabój. Już z jedną nogą za progiem odwrócił się.

— A przy okazji... znają panie młodego Pearsona?

Tym razem pauza była wyraźna. Śmiertelna cisza trwała prawie sekundę. Potem odezwała się pani Willett.

— Pearson? — powtórzyła. — Nie przypominam...

Nie zdążyła dokończyć. Za jej plecami rozległo się dziwne ochryple westchnienie, a potem łoskot padającego ciała. Inspektor zawrócił i w okamgnieniu znalazł się w pokoju.

Violetta Willett zemdląca.

— Biedne dziecko! — wykrzyknęła pani Willett. — To te napięcia i szok. Ten straszny seans spirytystyczny, a na koniec morderstwo. Ona nie jest zbyt silna. Dziękuję bardzo, panie inspektorze. Tak, na sofę. Może pan będzie łaskaw zadzwonić. Nie, chyba już nic pan nie może pomóc. Bardzo dziękuję.

Inspektor schodził podjazdem. Usta miał zaciśnięte w surowym grymasie.

Wiedział, że Jim Pearson był zaręczony z tą uroczą dziewczyną, którą poznał w Londynie.

Dlaczego więc Violetta Willett miałaby zemdleć, gdy usłyszała jego nazwisko? Jaki istniał związek między Jimem Pearsonem i paniami Willett?

Za bramą zatrzymał się niezdecydowany. Następnie wyjął z kieszeni notesik. Miał w nim spis mieszkańców sześciu domków, zbudowanych przez kapitana Trevelyana, z krótkimi uwagami przy każdym nazwisku. Krótki i gruby palec wskazujący inspektora zatrzymał się przy domku numer 6. „Tak — powiedział do siebie. — Najlepiej zacząć od niego”. Ruszył zwawym krokiem, kierując się w głąb alejki, i zakołatał energicznie do drzwi domku numer 6. Mieszkał tam pan Duke.



# Wizyta u majora Burnaby'ego

Pan Enderby poprowadził Emilię ścieżką wiodącą do domku majora Burnaby'ego i wesoło poruszył kołatką u drzwi. Otworzyły się prawie natychmiast i na progu stanął zaczerwieniony major.

— A, to pan — zauważył bez zbytniego entuzjazmu w głosie i szykował się do dalszej perory w tym tonie, gdy dostrzegł Emilię i twarz mu się zmieniła.

— To panna Emilia Trefusis — oznajmił Charles z taką miną, jakby prezentował atutowego asa. — Bardzo pragnie się z panem zobaczyć.

— Czy mogę wejść? — spytała Emilia z najśłodszy uśmiechem.

— Ależ tak, z pewnością. Oczywiście. Tak, oczywiście. Jąkając się major wycofał się do pokoju, który służył tu za salonik, i jął wyciągać krzesła i odsuwać stoliki.

Emilia, swoim zwyczajem, przeszła od razu do rzeczy.

— Widzi pan, panie majorze, jestem zaręczona z Jimem, z Jimem Pearsonem, wie pan. I naturalnie strasznie się o niego niepokoję.

Major w trakcie odsuwania jakiegoś stolika zamarł z otwartymi ustami.

— O Boże — powiedział. — To ciężka sprawa. Droga pani, jakże pani współczuję, trudno to wyrazić.

— Panie majorze, proszę odpowiedzieć szczerze. Czy pan uważa, że on jest winien? Proszę się nie krępować, jeżeli pan tak uważa, proszę powiedzieć. Wolę sto razy usłyszeć prawdę niż kłamstwa.

— Nie. Nie uważam, żeby był winien — rzekł major głośno i stanowczo. Mocno trzepnął w poduszkę raz i drugi i usiadł naprzeciw Emilii. — To przyzwoity chłopak. Wie pani, może trochę słaby charakter. Proszę się nie obrażać, ale uważam, że to taki typ młodzieńca, który mógłby się wykoleić, gdyby trafił na pokusę. Ale morderstwo — nigdy. I proszę pamiętać, że ja wiem, co mówię. W swoim czasie przez moje ręce przeszło wielu młodych oficerów. Dziś jest taka moda, żeby sobie pokpiwać z emerytowanych oficerów, ale mimo to my niejedno wiemy, panno Emilio.

— Nie wątpię w to — powiedziała Emilia. — Jestem panu ogromnie wdzięczna za to, co pan powiedział.

— A może państwo... napiją się whisky z wodą sodową? — zaproponował major. — Obawiam się, że nic poza tym nie mam — dodał tonem usprawiedliwienia.

— Nie, dziękuję, panie majorze — odparła Emilia.

— To może samej wody sodowej?

— Nie, dziękuję.

— Wypadałoby poczęstować państwa herbatą — rzekł niechętnie major.

— Piliśmy już herbatę — wtrącił Charles. — U pani Curtis — dodał.

— Panie majorze — rzekła Emilia — jak pan myśli, kto mógł to zrobić? Czy panu coś przychodzi do głowy?

— Nie. Niech diabli... to jest... niech to licho porwie. Nie mam pojęcia — powiedział major. — Byłem pewien, że to jakiś włamywacz, ale teraz policja mówi, że tak nie mogło być. Cóż, to ich zawód. Sądzę, że oni wiedzą najlepiej. Mówią, że nikt się nie włamał. Ale i tak to przechodzi moje wyobrażenie, panno Emilio. O ile mi wiadomo, Trevelyan nie miał żadnego wroga, nigdzie na świecie.

— A gdyby miał jakiegoś wroga, pan by przecież o tym wiedział — dodała Emilia.

— Tak, chyba więcej wiem o Trevelyanie niż większość jego krewnych.

— I nic panu nie przychodzi do głowy, nic, co by nam pomogło? — spytała Emilia.

Major szarpał swój krótki wąs.

— Wiem, co pani ma na myśli. Tak jak w książkach, powinien gdzieś kryć się jakiś drobny incydent, który zapamiętałem i który dostarczyłby nam klucza. Cóż, z przykrością stwierdzam, że nic takiego nie ma. Trevelyan prowadził spokojne życie. Dostawał niewiele listów, a pisał jeszcze mniej. Nie było w jego życiu żadnych komplikacji z kobietami, tego jestem pewien. Nie, to przekracza moje możliwości, panno Emilio.

Wszyscy troje umilkli.

— A co z tym jego służącym? — spytał Charles.

— Służył u niego od lat. Absolutnie oddany.

— Ostatnio się ożenił — zauważył Charles.

— Ożenił się z bardzo przyzwoitą, zacną dziewczyną.

— Panie majorze — zaczęła Emilia. — Proszę mi wybaczyć pytanie, ale czemu pan wtedy tak od razu pomyślał, że mu się coś stało?

Major potarł nos z zażenowaniem, jakie okazywał zawsze, gdy tylko wspomiano seans spirytystyczny.

— Tak, nie mogę zaprzeczyć. Wystraszyłem się. Wiedziałem, że to wszystko bzdury, a jednak...

— Jakoś pan wyczuł, że to nie bzdury? — podsunęła Emilia.

Major skinął głową.

— Dlatego się zastanawiam... — zaczęła Emilia.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią uważnie.

— Nie bardzo wiem, jak mam wyrazić to, co bym chciała... ciągnęła. — Chodzi mi o to: pan twierdzi, że nie wierzy w te całe hece z wirującymi stolikami, a jednak mimo okropnej pogody i absurdalności — pana zdaniem — tego wszystkiego, czuł się pan tak niespokojny, że musiał pan wyruszyć w drogę mimo śnieżycy, aby zobaczyć na własne oczy, że kapitan jest cały i zdrow. Czy więc nie sądzi pan, że tak było dlatego, iż wyczuwał pan coś w tej atmosferze? — Widząc niezrozumienie na twarzy majora ciągnęła z wysiłkiem. — Chodzi mi o to, że może coś tkwiło w umyśle kogoś innego i pan to jakoś wyczuł.

— No, nie wiem — rzekł major. Znów potarł nos. — Oczywiście — dodał tonem wyjaśnienia — kobiety traktują te rzeczy bardziej serio.

— Kobiety! — powtórzyła Emilia. — Tak — mruknęła cicho do siebie — jestem przekonana, że było tak, jak mówię. — Zwróciła się nagle do majora Burnaby'ego. — Jakie one są, te panie Willett?

— Och, doprawdy — major szukał odpowiedzi. Najwyraźniej nie miał zdolności do opisywania ludzi. — No, są bardzo uprzejme, wie pani, bardzo życzliwe i tak dalej.

— A dlaczego zachciało się im wynajmować taki dom jak Rezydencja Sittaford o tej porze roku?

— Nie mam pojęcia — odrzekł major. — Nikt z nas tego nie wie — dodał.

— A pan nie sądzi, że to bardzo dziwne? — upierała się Emilia.

— Naturalnie, że dziwne. Ale ludzie mają różne gusta. Tak mówił inspektor.

— To nonsens — odparła Emilia. — Ludzie nie robią nic bez powodu.

— No, nie wiem — rzekł major ostrożnie. — Niektórzy tak. Pani nie robiłaby nic bez powodu. Ale niektórzy... — westchnął i potrząsnął głową.

— Jest pan pewien, że nie znały dawniej kapitana Trevelyana?

Major odrzucił ten pomysł z pogardą. Trevelyan na pewno by mu o tym powiedział. Nie, on się tak samo dziwił, jak każdy.

— A więc on też uważał, że to dziwne?

— Oczywiście. Powiedziałem już pani, że dziwiliśmy się wszyscy.

— A jaki był stosunek pani Willett do kapitana Trevelyan? — spytała Emilia. — Czy starała się go unikać?

Major zachichotał.

— O, bynajmniej. Dręczyła go do upadłego, żeby zechciał je odwiedzić.

— Aha. — Emilia zastanawiała się przez chwilę. — Więc może wynajęła Rezydencję Sittaford po to, by zawrzeć znajomość z kapitanem Trevelyanem?

— Hm... — major wyraźnie rozważał tę myśl. — Tak, mogło tak być. Trochę kosztowny sposób nawiązywania znajomości.

— Nie wiem — odrzekła Emilia. — Kapitan Trevelyan nie był człowiekiem, do którego łatwo by było zbliżyć się w inny sposób.

— Nie, nie był łatwy — zgodził się przyjaciel zmarłego.

— Więc zastanawiam się... — powiedziała Emilia.

— Inspektorowi też to przychodziło do głowy — dodał Burnaby.

Emilia poczuła nagle złość do inspektora Narracotta. Wszystko co dotąd wymyśliła, już wcześniej wymyślił inspektor. To drażniło młodą kobietę, która szczyciła się tym, że jest bystrzejsza od innych.

Wstała i wyciągnęła rękę.

— Dziękuję bardzo — powiedziała po prostu.

— Rad bym pani więcej pomóc — rzekł major. — Jestem człowiekiem prostodusznym i zawsze taki byłem. Gdybym był sprytniejszy, może zdobyłbym jakiś klucz do tej tajemnicy. W każdym razie proszę na mnie liczyć, gdyby pani czegoś potrzebowała.

— Dziękuję — odpowiedziała Emilia. — Będę o tym pamiętać.

— Do widzenia, panie majorze! — zawołał Enderby. — Wpadnę rano ze swoim aparatem fotograficznym, pamięta pan?

Burnaby odchrząknął.

Emilia i Charles wrócili do pani Curtis.

— Chodźmy do mojego pokoju. Chcę z tobą porozmawiać.

Usiadła na jedynym krześle, a Charles na łóżku. Emilia zdjęła kapelusz i z rozmachem rzuciła go w

ką.

— A teraz słuchaj — rzekła. — Myślę, że mam pewien punkt zaczepienia. Mogę mieć rację albo nie, ale w każdym razie to jest pomysł. Sądzę, że wiele się wiąże z tą historią wirującego stolika. Brałeś udział w takich rzeczach, prawda?

— O tak, od czasu do czasu. Nic poważnego, no wiesz.

— Oczywiście. To taka rozrywka na deszczowe popołudnie, kiedy wszyscy się nawzajem oskarżają o popychanie stolika. No, jeżeli brałeś w tym udział, wiesz, co tam się dzieje. Stolik zaczyna wystukiwać po literze na przykład jakieś nazwisko. Bardzo często ktoś rozpoznaje je od razu i chciałby uniknąć dalszego ciągu, ale przez cały czas podświadomie wykonuje ruchy, które nazywa się „popychaniem”. To znaczy, robi się mimowolny ruch, drgnięcie, gdy nadchodzi następna litera, i sprawa załatwiona. A im bardziej chcesz temu przeszkodzić, tym częściej to się zdarza.

— Tak, to prawda — zgodził się pan Enderby.

— Ja nie wierzę ani przez chwilę w duchy i takie rzeczy, ale przypuśćmy, że jedno z grających wiedziało, iż w tej chwili ktoś morduje kapitana Trevelyana...

— Och, doprawdy — zaprotestował Charles. — To strasznie naciągane.

— No, to nie musi być aż takie prymitywne. Ale myślę, że coś w tym jest. Po prostu rozpatrujemy pewną hipotezę, to wszystko. Zakładamy, że ktoś wiedział o śmierci kapitana Trevelyana i absolutnie nie mógł ukryć tej informacji. Stolik go zdradził.

— Bardzo pomysłowe — powiedział Charles. — Ale nie wierzę ani przez chwilę, że tak było.

— Załóżmy, że to prawda — rzekła stanowczo Emilia. — Uważam, że w czasie śledztwa należy wypróbować różne założenia.

— Och, mogę się z tym zgodzić — powiedział pan Enderby. — Będziemy zakładali, że tak jest. Co tylko sobie życzysz.

— Należy więc — ciągnęła Emilia — przyjrzeć się bardzo uważnie ludziom, którzy brali udział w seansie. Zacznijmy od majora Burnaby’ego i pana Rycrofta. To chyba całkiem nieprawdopodobne, żeby któryś z nich miał wspólnika mordercę. Natępnie pan Duke. Tylko że na razie nic o nim nie wiemy. Niedawno tu się sprowadził i oczywiście mógłby okazać się niebezpiecznym nieznanym; gangsterem lub coś w tym rodzaju. Postawmy krzyżyk przy jego nazwisku. A teraz panie Willett. Charles, to są jakieś strasznie tajemnicze osoby.

— Ale co mogłyby zyskać na śmierci kapitana Trevelyana?

— Na pozór nic. Ale jeżeli moja teoria jest słuszna, musi być jakiś związek. Musimy ten związek wykryć.

— Racja — rzekł pan Enderby. — A jeżeli to całkiem fałszywy trop?

— Wtedy będziemy musieli zacząć wszystko od nowa — oświadczyła Emilia.

— Słuchaj! — wykrzyknął nagle Charles.

Podniósł rękę, po czym podszedł do okna i otworzył je. Emilia również usłyszała odgłos, który zwrócił jego uwagę. Był to daleki dźwięk wielkiego dzwonu.

Gdy stali zasłuchani, z dołu rozległ się podniecony głos pani Curtis.

— Słyszysz pani dzwon, panienko? Słyszysz pani? Emilia otworzyła drzwi.

— Słyszysz pani? Jak głośno, jak wyraźnie! Coś podobnego!

— Co to takiego?

— To dzwon z więzienia Princetown, panienko, prawie dwanaście mil stąd. To znaczy, że uciekł jakiś więzień. George! George! Gdzie on się podziewa? Słyszysz ten dzwon? Więzień uciekł!

Jej głos ucichł, gdy oddaliła się do kuchni.

Charles zamknął okno i znów usiadł na łóżku.

— Jaka szkoda, że takie przypadki zdarzają się nie w porę — zauważył beznamiętnie. — Gdyby ten więzień uciekł w piątek, pasowałoby to pięknie do naszego mordercy. Nie trzeba byłoby szukać dalej. Głodny, zdesperowany kryminalista włamuje się do domu! Trevelyan broni swej twierdzy jak prawdziwy Anglik, a zdesperowany przestępca łup go w głowę! Jakie to proste.

— Co by było, to by było — powiedziała z westchnieniem Emilia.

— A zamiast tego — dokończył Charles — ucieka w trzy dni po fackie. To jest... beznadziejnie prozaiczne. Pokiwał głową ze smutkiem.

# Pan Rycroft

Następnego ranka Emilia obudziła się wcześniej. Jako rozsądna młoda kobieta zdawała sobie sprawę, że na współpracę z panem Enderby szansę o tak wczesnej porze są niewielkie. Czuła się jednak niespokojna i nie mogąc uleżeć bezczynnie wyruszyła na szybki spacer alejką w kierunku przeciwnym niż poprzedniego dnia. Minęła bramę Rezydencji Sittaford po prawej stronie. Potem droga skręciła ostro w prawo i biegła stromo pod górę, aż do rozległych połaci wrzosowisk, gdzie przekształciła się w ścieżkę porośłą trawą, a w końcu całkiem zanikła. Ranek był piękny — chłodny i rześki, a widok wspaniały. Emilia szła dalej pod górę, aż dotarła na sam wierzchołek Wzgórza Sittaford — szarej skały o fantastycznych kształtach. Z jego wysokości patrzyła w dół na bezmiar wrzosowisk, ciągnących się nieprzerwanie jak okiem sięgnąć, bez śladów jakichkolwiek siedzib i dróg. W dole, po przeciwnej stronie Wzgórza, widniały szarawe zwały granitowych głazów i skał. Emilia podziwiała je przez kilka minut, po czym obróciła się, aby obejrzeć widok od północy, tam, skąd przyszła. U jej stóp leżało Sittaford — grupka zabudowań, rzuconych na stok wzgórza: kwadratowa szara bryła Rezydencji Sittaford, a za nią domki niby kropeczki. Dalej w dolinie leżało Exhampton.

„Powinno się wszystko widzieć lepiej, gdy patrzy się z takiej wysokości — pomyślała, trochę zakłopotana. — A to wygląda tak, jakbym zajęła dach z domku dla lalek i zajrzała do środka”.

Nagle poczuła żal, że nie spotkała się ze zmarłym choć jeden raz. Trudno wyrobić sobie opinię o człowieku, którego się nigdy nie widziało. Trzeba polegać na sądach innych ludzi, a Emilii nigdy jeszcze nie przyszło do głowy, że cudze oceny mogą być trafniejsze niż jej własne. Wrażenia innych osób są całkiem bezużyteczne. Może równie trafne jak własne, ale w działaniu nie można się nimi kierować. Tak jak w walce niepodobna atakować z cudzego stanowiska.

Medytując z irytacją nad tymi sprawami, Emilia niecierpliwie westchnęła i zmieniła pozycję. Była tak zatopiona w myślach, że zapomniała o najbliższym otoczeniu i nagle zaskoczona ujrzała o kilka stóp od siebie niskiego starszego pana, który, trochę zadyszany, stał trzymając grzecznie kapelusz w rękę.

— Przepraszam — powiedział. — Panna Trefusis, jeśli się nie mylę?

— Tak — odrzekła Emilia.

— Nazywam się Rycroft. Proszę mi wybaczyć, że ośmieliłem się panią zagadnąć, ale w naszej małej społeczności najdrobniejsza wiadomość od razu się rozchodzi i naturalnie o pani wczorajszym przybyciu tutaj już wszyscy wiedzą. Mogę panią zapewnić, że każdy z nas współczuje pani głęboko w tej sytuacji. Pragniemy wszyscy, jak tu jesteśmy, pomóc pani, na ile tylko zdołamy.

— To bardzo miło z państwa strony — powiedziała Emilia.

— Bynajmniej, bynajmniej — odrzekł pan Rycroft. — Piękna kobieta w nieszczęściu... wybaczy

pani to staroświeckie wyrażenie. Lecz mówiąc serio, droga pani, proszę na mnie liczyć w każdej sytuacji, w której mogę się na coś przydać. Ależ stąd piękny widok, nieprawdaż?

— Cudowny — przytaknęła Emilia. — Te wrzosowiska to cudowne miejsce.

— Czy pani wie, że zeszłego wieczoru uciekł z Princetown jakiś więzień?

— Tak. Czy go złapano?

— Zdaje się, że jeszcze nie. Ale, niestety, na pewno złapią wkrótce tego biedaka. O ile się orientuję, od dwudziestu lat nikomu jeszcze nie udało się ucieczka z Princetown.

— Z której strony leży Princetown?

Pan Rycroft wyciągnął rękę i wskazał na południową stronę wrzosowisk.

— Tam, około dwunastu mil stąd w prostej linii przez wrzosowiska. Drogą szesnaście mil.

Emilia lekko zadrżała. Myśl o człowieku rozpaczliwie uciekającym przed pościgiem wstrząsnęła nią. Pan Rycroft obserwując ją skinął głową.

— Tak — powiedział. — Ja czuję to samo. To ciekawe, jak coś się w nas instynktownie buntuje na myśl o polowaniu na człowieka, a przecież wszyscy ci ludzie w Princetown to niebezpieczni i groźni zbrodniarze. I pani, i ja zrobilibyśmy wszystko, aby przyczynić się do osadzenia takich ludzi w tym właśnie miejscu. — Zaśmiał się lekko, jakby chciał się usprawiedliwić. — Musi mi pani wybaczyć. Bardzo mnie interesuje problem przestępczości. To fascynujące studium. Dwie dziedziny, którym się poświęciłem, to ornitologia i kryminologia. — Przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej: — Dlatego też, jeśli pani pozwoli, chciałbym połączyć z panią siły w tej materii. Od dawna daremnie marzę o tym, by zetknąć się z bliska z jakimś przestępstwem i móc je zbadać. Czy zaufa mi pani, panno Emilio, i pozwoli mi oddać moje doświadczenie do pani dyspozycji? Dużo na ten temat czytałem i rozmyślałem.

Emilia przez chwilę milczała. Mogła sobie pogratulować: wszystko układało się po jej myśli. Oto zaofiarowano jej informacje z pierwszej ręki o wszystkim, co działo się w Sittaford. „Pozycja do ataku” — powtórzyła sformułowanie, jakie niedawno jej się nasunęło. Uzyskała już jeden sposób podejścia od majora Burnaby’ego: rzeczowy, prosty, bezpośredni. Poznanie faktów i całkowite pomijanie różnych subtelności. Teraz oferowano jej inny sposób, który, być może, otwierał całkiem odmienne perspektywy. Ten mały, wysuszony, zwiędły człowieczek czytał i prowadził dogłębne studia, zdobył dokładną znajomość ludzkiej natury i objawiał tę nienasyconą, penetrującą ciekawość życia typową dla człowieka myślącego w przeciwieństwie do człowieka czynu.

— Proszę, niech mi pan pomoże — rzekła po prostu. — Jestem taka zgnębiona i nieszczęśliwa.

— Na pewno. Mogę to sobie wyobrazić, drogie dziecko. A zatem, o ile rozumiem sytuację, najstarszy siostrzeniec Trevelyana został aresztowany bądź zatrzymany, dowody przeciw niemu wydają się proste i oczywiste, ja zaś pragnę wyrobić sobie własne zdanie. Musi mi pani na to pozwolić.



— Naturalnie — zgodziła się Emilia. — Dlaczegoż by pan miał uwierzyć w jego niewinność, skoro pan nic o nim nie wie?

— Bardzo rozsądnie powiedziane — rzekł pan Rycroft. — Naprawdę pani sama stanowi bardzo interesujące studium. A pani nazwisko, Trefusis, czy to nazwisko kornwalijskie, tak jak naszego biednego przyjaciela Trevelyana?

— Tak — odparła Emilia. — Mój ojciec był Kornwalijszczykiem, a matka Szkotką.

— Aha! — zawołał pan Rycroft. — Bardzo interesujące. Lecz wróćmy teraz do naszego problemu. Z jednej strony zakładamy, że młody Jim bardzo potrzebował pieniędzy, że przyjechał do wuja, że prosił go o pieniądze, że wuj mu odmówił, że w chwili złości chwycił walek leżący pod oknem i uderzył wuja w głowę. To morderstwo bez premedytacji, głupie, irracjonalne i bardzo nieudolne. Z drugiej strony, może rozstał się z wujem w gniewie, a wkrótce potem zjawił się jakiś osobnik i popełnił morderstwo. Pani w to właśnie wierzy, a ja — ujmując sprawę trochę inaczej — mam nadzieję, że tak było. Wcale sobie nie życzę, żeby to właśnie pani narzeczony okazał się mordercą, gdyż z mojego punktu widzenia byłoby to po prostu nieciekawe. A więc stawiam na innego konia. Zbrodnię popełnił ktoś inny. Takie będzie nasze założenie i od razu zajmujemy się nader ważnym ogniwem w naszym rozumowaniu. Czy ten ktoś inny wiedział, że przed chwilą wybuchła tu kłótnia? Czy to faktycznie przyspieszyło akt morderstwa? Rozumie pani, o co chodzi? Ktoś planuje zabójstwo kapitana Trevelyana i korzysta z okazji wiedząc, że podejrzenie musi paść na Jima.

Emilia rozważała ten punkt widzenia.

— W tym przypadku... — zaczęła z wolna.

Pan Rycroft dokończył jej myśl.

— W tym przypadku — powiedział żywo — morderca musiałby być osobą blisko związaną z kapitanem Trevelyanem. Musiałby mieszkać w Exhampton. Według wszelkiego prawdopodobieństwa musiałby znajdować się w tym domu podczas ich kłótni lub też po niej. A ponieważ nie jesteśmy teraz w sądzie i możemy swobodnie operować nazwiskami, od razu przychodzi nam na myśl służący Evans jako osoba, która mogłaby spełniać nasze warunki. Człowiek, który mógł znajdować się w domu w czasie sprzeczki lub po niej, podsłuchać ją i skorzystać z okazji. Naszym następnym zadaniem będzie wykrycie, czy Evans odniósłby jakiegokolwiek korzyści ze śmierci swojego pana.

— Zdaje się, że otrzymuje niewielki legat — rzekła Emilia.

— To może stanowić wystarczający motyw, ale niekoniecznie. Musimy się dowiedzieć, czy Evans miał jakieś poważne kłopoty pieniężne. Musimy również wziąć pod uwagę panią Evans. Jak mi wiadomo, od niedawna istnieje także pani Evans. Gdyby pani studiowała kryminologię, zobaczyłaby pani, jak ciekawe są skutki związków małżeńskich między krewnymi, zwłaszcza w okręgach wiejskich. Są w Broadmoor co najmniej cztery kobiety, miłe na pozór, lecz wykazujące ciekawe zaburzenia charakteru, wyrażające się tym, iż życie ludzkie niewiele albo nic dla nich nie znaczy. Nie, nie możemy pominąć pani Evans.

— Co pan myśli o tej historii z wirującym stolikiem?

— A to jest bardzo ciekawe. Niezwykle ciekawe. Przyznam się pani, że jestem pod silnym wrażeniem tego incydentu. Jak pani może już słyszała, wierzę w zjawiska metapsychiczne. Do pewnego stopnia wierzę też w seanse spirytystyczne. Sporządziłem już raport z tego wydarzenia i wysłałem do Towarzystwa Badań Metapsychicznych. Dobrze udokumentowany i zdumiewający przypadek. Pięcioro uczestników seansu i żadne z nich nie mogło mieć najmniejszego pojęcia ani podejrzenia, że kapitan Trevelyan został zamordowany.

— Czy nie myśli pan...

Emilia umilkła. Nie śmiała sugerować panu Rycroftowi, że jej zdaniem jedna z tych pięciu osób mogła być winna, ponieważ była o tym uprzedzona. Przecież on sam był jednym z nich! Oczywiście ani na chwilę nie podejrzewała, aby pan Rycroft mógł mieć jakikolwiek związek z tą tragedią. Jednak czuła, że taka sugestia nie byłaby całkiem taktowna. Rozwinęła więc swą teorię bardziej określną drogą.

— Wszystko to bardzo mnie zainteresowało, proszę pana. Jak pan zauważył, to zdumiewający wypadek. Czy nie sądzi pan, że ktoś z obecnych, oczywiście pomijając pana, mógłby posiadać zdolności telepatyczne?

— Moja droga pani, ja nie mam zdolności telepatycznych. Nie mam żadnych uzdolnień w tym kierunku. Jestem wyłącznie obserwatorem, który bardzo się tymi sprawami interesuje.

— A ten pan Garfield?

— Miły chłopiec — odrzekł pan Rycroft — ale niczym szczególnym się nie odznacza.

— Zapewne dość zamożny?

— Goły jak święty turecki — powiedział pan Rycroft. — Mam nadzieję, że poprawnie użyłem tego wyrażenia. Przyjeżdża tutaj, aby przymilać się ciotce, po której się czegoś, że tak powiem, „spodziewa”. Panna Percehouse to bardzo bystra dama i chyba się domyśla, co oznacza jego przymilność. Ale ma poczucie humoru, raczej sardoniczne, więc pozwala mu się obsługiwać,

— Chciałabym ją poznać — rzekła Emilia.

— Tak, koniecznie musi ją pani poznać. Na pewno sama się o to upomni. Ciekawość, droga pani, ciekawość...

— Proszę mi powiedzieć coś o paniach Willett — powiedziała Emilia.

— Są urocze — odparł pan Rycroft — nadzwyczaj urocze. Oczywiście w stylu kolonialnym. Brak autentycznej pewności siebie, pani rozumie, o co mi chodzi. Trochę zbyt przesadne w swej gościnności. Wszystko trochę zbyt ostentacyjne. Panna Violetta to urocza dziewczyna.

— Dziwny wybór miejsca na zimę — zauważyła Emilia.

— Tak, bardzo dziwaczny, prawda? Ale ostatecznie nie brak tu logiki. Ludzi mieszkających w Australii lub w Afryce Południowej zachwyca myśl o tradycyjnych świętach Bożego Narodzenia wśród śniegu i lodu.

„Ciekawa jestem — pomyślała Emilia — która z nich mu to powiedziała”. Przyszło jej do głowy, że człowiek niekoniecznie musi uciekać do zapadłej włoski na wrzosowisku, aby uczestniczyć w tradycji Bożego Narodzenia wśród śniegu i lodu. Widocznie pan Rycroft nie widział nic podejrzanego w wyborze miejsca na zimę przez panie Willett. Ale być może — tłumaczyła sobie — to naturalne dla kogoś zajmującego się ornitologią i kryminologią! Panu Rycroftowi Sittaford najwidoczniej wydawało się idealnym miejscem zamieszkania, więc nie potrafił sobie wyobrazić, że mogłoby być nieodpowiednie dla innych ludzi.

Zeszli powoli ze wzgórza i podążali teraz alejką wśród domków.

— Kto mieszka w tym domu? — spytała nagle Emilia.

— Kapitan Wyatt. Inwalida. Obawiam się, że jest raczej nietowarzystki.

— Czy przyjaźnił się z kapitanem Trevelyanem?

— W każdym razie niezbyt blisko. Trevelyan tylko składał mu od czasu do czasu oficjalną wizytę. Prawdę mówiąc, Wyatt gości nie lubi. To gburowaty facet.

Emilia zamilkła. Zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby jednak wejść tam jako gość. Nie zamierzała rezygnować ze zbadania wszystkich możliwych pozycji do ataku.

Nagle przypomniała sobie jeszcze jednego uczestnika seansu, o którym dotąd się nie wspominało.

— A co z panem Duke? — zagadnęła żywo.

— Jak to co z nim?

— No, kim on jest?

— Właściwie — odrzekł z wolna pan Rycroft — tego nikt nie wie.

— To dziwne! — wykrzyknęła Emilia.

— Prawdę mówiąc, wcale nie. Widzi pani, Duke jest osobą całkowicie pozbawioną tajemniczości. Przypuszczam, że jedyną tajemnicą jest jego pochodzenie społeczne. Może niezbyt... rozumie pani. Ale to bardzo solidny, dobry człowiek — dodał pośpiesznie.

Emilia nic nie odpowiedziała.

— Oto moja chatka — rzekł pan Rycroft, zatrzymując się. — Może mnie pani zaszczyli i zechce ją odwiedzić?

— Bardzo chętnie — odparła Emilia.

Podeszli ścieżką do domku. Jego wnętrze było urocze. Cały pokój okalały półki z książkami.

Emilia chodziła od półki do półki, odczytując z zaciekawieniem tytuły książek. Część z nich dotyczyła zjawisk okultystycznych, drugą część stanowiły nowoczesne powieści kryminalne, lecz najliczniej reprezentowany był dział poświęcony kryminologii i najświetniejszym na świecie procesom sądowym. Ornitologia zajmowała stosunkowo niewiele miejsca.

— Jestem tu wszystkim po prostu zachwycona — powiedziała. — Ale muszę już iść. Pan Enderby pewnie już wstał i czeka na mnie. Prawdę mówiąc nie jadłam jeszcze śniadania. Zamówiliśmy u pani Curtis śniadanie na wpół do dziesiątej, a widzę, że już jest dziesiąta. Będę okropnie spóźniona. Ale to dlatego, że pan jest taki interesujący i tyle mi okazuje pomocy.

— Co tylko będę mógł — mamrotał pan Rycroft pod wrażeniem uwodzicielskiego spojrzenia Emilii. — Może pani na mnie liczyć. Jesteśmy przecież partnerami.

Emilia podała mu rękę i z uczuciem uściśnęła jego dłoń.

— To takie cudowne — powiedziała, powtarzając zwrot, który jak zdążyła odkryć w swym niedługim życiu, okazywał się niezmiennie skuteczny — wiedzieć, że istnieje ktoś, na kim można naprawdę polegać!

# Panna Percehouse

Gdy Emilia wróciła, czekał na nią Charles oraz jajka na bekonie.

Ucieczka więźnia nadal wprawiała panią Curtis w stan gorączkowego podniecenia.

— Dwa lata minęły od ostatniej ucieczki — mówiła — i znaleźli go w ciągu trzech dni. Złapali go koło Moretonhampstead.

— Myśli pani, że będzie uciekał w tym kierunku? — spytał Charles.

Pani Curtis, wyrazicielka miejscowej opinii, zaprzeczyła tej sugestii.

— Oni nigdy w tym kierunku nie uciekają, tu wszędzie gołe wrzosowiska, a poza nimi tylko małe miasteczka. Najpewniej skieruje się na Plymouth, ale i tak go złapią, zanim tam dotrze.

— Można by znaleźć dobrą kryjówkę między tymi skałkami po drugiej stronie Wzgórza — wtrąciła Emilia.

— Racja, panienko, tam jest kryjówka. Nazywają ją Jaskinią Wróżki. Jest tam wejście tak ciasne między dwiema skałami, jak sobie tylko można wyobrazić, ale w środku się rozszerza. Mówią, że ukrywał się tam kiedyś jeden z żołnierzy króla Karola przez całe dwa tygodnie, a jedzenie donosiła mu służąca z pobliskiej farmy.

— Muszę obejrzeć tę Jaskinię Wróżki — powiedział Charles.

— Zdziwi się pan, jak trudno ją znaleźć. Latem wielu turystów szuka jej czasem godzinami i nie może znaleźć, ale gdyby to się panu udało, proszę tam koniecznie zostawić szpileczkę na szczęście.

— Zastanawiam się — mówił Charles, gdy po śniadaniu przechadzali się z Emilią w małym ogródku — czy nie powinienem się udać do Princetown. Zdumiewające, jak mogą się potoczyć sprawy przy odrobinie szczęścia. Ja na przykład zacząłem od zwykłego wręczenia nagrody za piłkarskiego totka i zanim się obejrzałem, trafiła mi się ucieczka więźnia i morderstwo. Cudownie!

— A co ze zdjęciami domku majora Burnaby'ego, które miałeś robić?

Charles spojrział na niebo.

— Hm — powiedział — chyba powiem, że pogoda się nie nadaje. Muszę trzymać się mojego *raison d'être*, by jak najdłużej przebywać w Sittaford, a pogoda rzeczywiście robi się mglista. Aha, właśnie wysłałem wywiad z tobą, mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu?

— Oczywiście, że nie — odruchowo odrzekła Emilia. — A co ja tam niby powiedziałam?

— Och, to co ludzie zawsze lubią czytać — rzucił pan Enderby. — Nasz specjalny wysłannik przedstawia wywiad z panną Emilią Trefusis, narzeczoną pana Jamesa Pearsona, zatrzymanego przez policję pod zarzutem morderstwa. A potem moja opinia o tobie: dzielna i piękna dziewczyna.

— Dziękuję — powiedziała Emilia.

— Ostrzyżona na pół męsko — ciągnął Charles.

— A to po co?

— Przecież jesteś tak ostrzyżona.

— Oczywiście, że jestem — powiedziała Emilia. — Ale po co o tym pisać?

— Czytelniczki lubią wiedzieć takie rzeczy — odparł Charles Enderby. — To był wspaniały wywiad. Pojęcia nie masz, jakie piękne, wzruszające kobiece myśli wygłaszałaś, o tym jak trzeba trwać przy swoim ukochanym, nawet jeśli cały świat sprzysięgnie się przeciwko niemu. Emilia lekko się wzdrygnęła.

— Czyja naprawdę takie rzeczy wygadywałam?

— Masz coś przeciw temu? — spytał niespokojnie pan Enderby.

— Ależ nie — rzekła Emilia. — Używaj sobie, kochanie.

Pan Enderby zrobił zaskoczoną minę.

— Nie przejmuj się — powiedziała Emilia — to tylko cytat. Miałam taki napis na śliniaczku, kiedy byłam małą, na moim niedzielnym śliniaczku. Ten na co dzień miał napis: „Nie bądź łakomczuszką”.

— A, rozumiem. Zamieściłem także bardzo zgrabny ustęp o karierze morskiej kapitana Trevelyana i małą wzmiankę o zrabowaniu posążków egzotycznych bóstw i o możliwości zemsty jakiegoś ich kapłana; no wiesz, takie parę słów.

— No tak, widzę, że solidnie przepracowałeś ten ranek — powiedziała Emilia.

— A co ty porabiałaś? Wstałaś rano Bóg wie kiedy. Emilia zaczęła opisywać swoje spotkanie z panem Rycroftem.

Nagle urwała. Enderby spojrzął przez ramię za jej wzrokiem i dostrzegł tryskającego zdrowiem młodego człowieka o różowej cerze, który opierał się o furtkę i wydawał różne przeproszające odgłosy, aby zwrócić na siebie uwagę.

— Przepraszam — powiedział młody człowiek — strasznie mi przykro, że państwa niepokoję i w ogóle. Wiem, że to strasznie głupio z mojej strony, ale przysłała mnie ciocia.

— Aha? — powiedzieli jednocześnie pytającym tonem Emilia i Charles, którym to wyjaśnienie niewiele mówiło.

— No właśnie — rzekł młody człowiek. — Prawdę mówiąc moja ciotka to kawał tyrana. Jak coś powie, to tak musi być, wiedzą państwo, o co chodzi. Oczywiście, sarn uważam, że to strasznie niegrzecznie przychodzić o takiej porze, ale gdybyście znali moją ciotkę... A jeżeli spełnicie państwo jej życzenie., to za kilka minut ją poznacie.

— Czy pańska ciotka to panna Percehouse? — przerwała mu Emilia.

— O, właśnie — powiedział młody człowiek z wyraźną ulgą. — To państwo o niej już słyszeli? Pewno stara pani Curtis coś nagadała. Ależ ona ma długi język, prawda? Choć trzeba przyznać, że niezła z niej kobiecina. Więc to jest tak, że moja ciotka powiedziała, że chce się z panią zobaczyć, i kazała mi przyjść do pani, i to powiedzieć. Przesyła ukłony i tak dalej, i czy nie sprawi to pani zbyt dużego kłopotu... Jest inwalidką i sama nie może wychodzić, i byłoby bardzo uprzejmie z pani strony... no i takie tam rzeczy, wie pani. Nie muszę tego wszystkiego powtarzać. Oczywiście to z jej strony tylko ciekawość i jeżeli pani powie, że panią boli głowa czy że ma pani pilne listy do napisania, to nic się nie stanie i nie ma się czym przejmować.

— Ależ ja chcę ją odwiedzić — powiedziała Emilia. — Zaraz z panem pójdę. Pan Enderby musi teraz odwiedzić majora Burnaby'ego.

— Naprawdę muszę? — spytał cicho pan Enderby.

— Musisz — powiedziała stanowczo Emilia.

Odprawiła go krótkim skinieniem głowy i ruszyła drogą z nowym znajomym.

— Mam przyjemność rozmawiać z panem Garfieldem, prawda? — spytała.

— Tak jest. Powinienem był się przedstawić.

— Nic nie szkodzi — powiedziała Emilia — nietrudno zgadnąć.

— Jak wspaniale z pani strony, że tak od razu zgodziła się pani przyjść — powiedział pan Garfield. — Niejedna dziewczyna strasznie by się obraziła. Ale pani wie, jak to jest ze starszymi osobami.

— Pan tutaj mieszka na stałe, prawda?

— Na litość boską, nie! — wykrzyknął Ronnie Garfield ze zgrozą. — Czy widziała pani kiedyś taką zakazaną dziurę? Nie ma tu nawet kina. Aż dziw, że nikt nikogo nie morduje...

Urwał przerażony tym, co powiedział.

— Ojej, przepraszam! Co za głupiec ze mnie, zawsze wyskoczę z czymś takim. Ja nie chciałem, naprawdę nie chciałem.

— Wiem, że pan nie chciał — uspokoiła go Emilia.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział pan Garfield. Otworzył furtkę, Emilia weszła i podążyła ścieżką prowadzącą do domku, bliźniaczo podobnego do pozostałych. W saloniku wychodzącym na ogród stał tapczan, a na tapczanie leżała starsza pani o szczupłej, pobrużdżonej zmarszczkami twarzy, w której najciekawszy był nos — jeden z najostrzejszych i najbardziej dociekliwych nosów, jakie Emilia widziała w życiu. Staruszka z pewnym wysiłkiem uniosła się na łokciu.

— A więc przyprowadziłeś ją — powiedziała. — Bardzo miło z twojej strony, moja droga, że zechciałaś przyjść i odwiedzić starą kobietę. Ale wiesz, jak to jest z człowiekiem przykutym do łóżka. Do wszystkiego chciałoby się wtrącić swoje trzy grosze, a jak nie możesz do nikogo pójść, to ktoś musi przyjść do ciebie. I nie myśl, że to tylko ciekawość, to coś więcej. Ronnie, wyjdź teraz i pomaluj mebelki ogrodowe. W szopie przy końcu ogródka. Dwa fotele koszykowe i ławkę. Farba jest tam przygotowana.

— Już się robi, ciociu Karolino.

Posłuszny siostrzeniec zniknął.

— Proszę usiąść — powiedziała panna Percehouse.

Emilia usiadła na wskazanym krześle. Dziwne, ale od pierwszej chwili poczuła sympatię do tej despotycznej, schorowanej starszej pani, jakby nawiązała się między nimi jakaś nić porozumienia.

„Oto ktoś — myślała — kto zmierza, prosto do celu, stawia na swoim — rządzi, kim się da. Zupełnie jak ja, z tym, że ja jestem niebrzydka, a ona musi wszystko osiągać siłą charakteru”.

— Jak rozumiem, jest pani zaręczona z siostrzeńcem Trevelyana — powiedziała panna Percehouse. — Tyle o pani słyszałam, a teraz, kiedy panią poznałam, doskonale rozumiem, do czego pani zmierza. I życzę pani powodzenia.

— Dziękuję — powiedziała Emilia.

— Nie znoszę płaczliwych kobiet — powiedziała panna Percehouse. — Lubię takie, które się nie poddają, tylko działają. — Spojrzała ostro na Emilię. — Pewnie pani się nade mną lituje, że leżę tutaj i nigdy nie wstanę, i nie zacznę chodzić.

— Nie — powiedziała Emilia z namysłem. — Wcale nie. Sądzę, że tak czy inaczej zawsze można mieć coś z życia, gdy bardzo się tego pragnie.

— Absolutna racja — powiedziała panna Percehouse. — Trzeba spojrzeć na życie pod innym kątem, to wszystko.

— Pozycja do ataku — szepnęła Emilia.

— Co pani powiedziała?



Emilia przedstawiła jak mogła najlepiej teorię, którą wymyśliła tego ranka, i jej zastosowanie w wiadomej sprawie.

— Niezłe — panna Percehouse kiwnęła głową. — A więc, moja droga, do roboty. Nie jestem na tyle głupia, żeby nie domyślić się, że przybyła pani do tej wioski, aby się czegoś dowiedzieć o tutejszych mieszkańcach, i czy to, co pani odkryje, może mieć jakiś związek z morderstwem. No cóż, jeżeli chce się pani czegoś dowiedzieć o tych ludziach, mogę to pani powiedzieć.

Emilia nie traciła czasu. Zwięzłe i rzeczowo przystąpiła od razu do sedna.

— Major Burnaby? — spytała.

— Typowy emerytowany oficer o wąskich horyzontach i ograniczonych poglądach. Usposobienie zazdrośnika. Łatwowierny w sprawach finansowych. Typ człowieka, który inwestuje w jakiś nierealny projekt na morzach południowych, a nie widzi, co się dzieje pod jego własnym nosem. Długi swe spłaca natychmiast i nie znosi ludzi, którzy nie wycierają nóg.

— Pan Rycroft? — pytała Emilia.

— Dziwaczny mały człowieczek, okropnie egocentryczny. Stuknięty. Uważa się za Bóg wie co. Przypuszczam, że ofiarował pani swą pomoc w rozwiązaniu sprawy chwaląc się swą wspaniałą znajomością kryminologii.

Emilia przyznała, że tak rzeczywiście było.

— Pan Duke? — kontynuowała.

— Nic nie wiem o tym człowieku, a przecież powinnam. Bardzo przeciętny typ. Powinnam coś o nim wiedzieć, a nie wiem. Dziwne. To tak jak wtedy, gdy ma się nazwisko na końcu języka, a za żadne skarby nie można sobie go przypomnieć.

— Panie Willett? — spytała Emilia.

— Ach, panie Willett! — panna Percehouse dźwignęła się znów na łokciu z pewnym ożywieniem. — A co z paniami Willett? Więc powiem coś pani o nich, moja droga. Może to się przyda, może nie. Proszę podejść do mojego biurka i wyciągnąć małą górną szufladkę, tę po lewej stronie, tak, właśnie tę. I proszę mi przynieść czystą kopertę, która tam jest.

Emilia przyniosła kopertę.

— Nie twierdzę, że to jest ważne, może nie jest — powiedziała panna Percehouse. — Każdy posługuje się kłamstwem dla takich czy innych celów i pani Willett ma do tego takie samo prawo jak każdy inny.

Wzięła kopertę i wsunęła dłoń do środka.

— Wszystko ci opowiem, moje dziecko. Kiedy panie Willett zjawią się tu ze swoimi eleganckimi

ubiorami, pokojówkami i nowoczesnymi kuframi, obie przyjechały samochodem Fordera, a pokojówki i kufry furgonetką. I ponieważ wszystko to można było oczywiście nazwać wydarzeniem, wyglądałam przez okno, gdy przejeżdżały, i zauważyłam, jak od jednego z kufrów oderwała się kolorowa nalepka i poszybowała na mój teren. A ja niczego bardziej nie znoszę niż walających się papierków czy różnych śmieci, więc posłałam Ronniego, aby ją podniósł, i już ją miałam wyrzucić, gdy uderzyło mnie, że jest bardzo ładna i barwna i mogę jej użyć do albumu nalepianek, jakie robię dla szpitala dziecięcego. Nie myślałabym o tym więcej, gdyby pani Willett nie podkreślała stanowczo, że Violetta nigdy nie wyjeżdżała z Południowej Afryki, a ona sama zna tylko Południową Afrykę, Anglię i Riwierę.

— No ł? — spytała Emilia.

— No właśnie. Proszę, spójrz na to.

Panna Percehouse wepchnęła Emilii do ręki nalepkę bagażową z napisem „Hotel Mendel, Melbourne”.

— Australia — rzekła panna Percehouse — nie jest Afryką Południową. Przynajmniej nią nie była w moich latach. Zapewne to nic ważnego, ale zawsze coś. I jeszcze coś ci powiem. Słyszałam, jak pani Willett woła córkę. Wołała na nią „kuii”, co jest chyba typowe dla Australii, a nie dla Afryki Południowej. Dlatego mówię, że to dziwne. Gdyby pani przyjechała z Australii, dlaczego nie miałyby się pani do tego przyznać?

— To naprawdę ciekawe — powiedziała Emilia. — I ciekawe, że przybyły, aby tu zamieszkać akurat w okresie zimowym.

— To się rzuca w oczy — powiedziała panna Percehouse. — Czy już je pani poznała?

— Nie. Chciałam do nich pójść dzisiaj rano, ale nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

— Dostarczę pani pretekstu — odparła rześko panna Percehouse. — Proszę mi przynieść moje wieczne pióro, papier listowy i kopertę. O, właśnie tak. Chwileczkę, niech się zastanowię.

Zastanawiała się przez chwilę i nagle bez najmniejszego ostrzeżenia podniosła głos do przenikliwego krzyku.

— Ronnie, Ronnie, Ronnie! Czy ten chłopiec ogłuchł? Dlaczego nie przychodzi, kiedy się go woła? Ronnie! Ronnie!

Ronnie z pędzlem w ręku przybiegł zwałym truchtem.

— Czy coś się stało, ciociu Karolino?

— A cóż by się miało stać? Po prostu cię wołałam. Jakie ciasto podano wczoraj u pani Willett do podwieczorku?

— Ciasto?

— Ciasto, kanapki, cokolwiek. Ależ ty jesteś powolny, chłopcze. Co podano do jedzenia na podwieczorek?

— Było ciasto kawowe — mówił Ronnie bardzo zaintrygowany — i trochę kanapek z pasztetem...

— Ciasto kawowe — powiedziała panna Percehouse. — Wystarczy. — Zaczęła pisać energicznie. — Możesz wracać do malowania, Ronnie. Nie objaj się, nie stercz tu z otwartymi ustami. Usunięto ci trzeci migdał, gdy miałeś osiem lat, więc nie masz już żadnej wymówki.

Zaczęła pisać.

*„Droga Pani, dowiedziałam się, że było u Pani wczoraj na podwieczorek przepyszne ciasto kawowe. Czy zechciałaby Pani uprzejmie podać mi na nie przepis? Wiem, że moja prośba Pani nie zdziwi — z wyjątkiem jedzenia życie kaleki jest tak mało urozmaicone.*

*Panna Trefusis uprzejmie obiecała dostarczyć ten mój liścik, bo Ronnie jest dziś rano zajęty.*

*Cóż za okropna wieść o tym więźniu, nieprawdaż?*

*Z wyrazami szacunku*

*Karolina Percehouse*

Włożyła list do koperty, zakleiła i zaadresowała.

— Proszę bardzo, moja panno. Na progu będzie się tam pewno roić tłum reporterów. Widziałam, jak cała ich gromada jechała uliczką samochodem Fordera. Proszę poprosić panią Willett, powiedzieć, że przynosi pani liścik ode mnie, i dostanie się pani do środka. Nie muszę dodawać, aby miała pani oczy i uszy otwarte i wykorzystwała jak najlepiej tę wizytę, bo i tak pani to robi.

— Jaka pani miła — powiedziała Emilia. — Naprawdę.

— Pomagam tym, co sami sobie potrafią pomóc — odparła panna Percehouse. — A przy okazji, jeszcze nie spytała mnie pani, co sędzę o Ronniem. Zakładam, że znajduje się na pani liście. To dobry chłopak na swój sposób, ale żałośnie słaby. Przykro powiedzieć, ale zrobiłby prawie wszystko dla pieniędzy. Widzi pani, co on znosi ode mnie? I nie ma na tyle oleju w głowie, żeby zrozumieć, że polubiłabym go dziesięć razy więcej, gdyby od czasu do czasu przeciwstawił mi się i posłał mnie do diabła.

Ostatnią osobą, jaka została na liście, jest kapitan Wyatt. Podejrzewam, że pali opium. To chyba największy złośnik w całej Anglii. Czy czegoś jeszcze chciałaby się pani dowiedzieć?

— Nie sędzę — powiedziała Emilia. — To, co mi pani powiedziała, jest całkowicie

wyczerpująco.

# Emilia odwiedza Rezydencję Sittaford

Idąc szybko uliczką Emilia zwróciła uwagę raz jeszcze, że pogoda znów się zmienia: mgła otaczała już wszystko.

„Jak okropnie jest mieszkać w Anglii — pomyślała Emilia. — Gdy nie pada śnieg czy deszcz albo nie wieje, to jest mgła. A jeżeli nawet świeci słońce, jest tak zimno, że nie czuje się palców u rąk i nóg”.

Rozmyślania te przerwał rozlegający się tuż nad jej prawym uchem trochę ochryply głos.

— Przepraszam, ale czy przypadkiem nie widziała pani bullterierki?

Emilia drgnęła i odwróciła się. Znad furtki wychylał się wysoki, szczupły mężczyzna o bardzo ciemnej cerze, przekrwionych oczach i siwych włosach. Podpierał się kulą i wpatrywał w Emilię z niezmiernym zainteresowaniem. Bez trudu odgadła, że jest to kapitan Wyatt, kaleki właściciel domku numer 3.

— Nie, nie widziałam — odparła.

— Wyleciała na dwór — mówił kapitan Wyatt. — Przywiązane stworzenie, ale zupełnie głupia. Przy tych wszystkich samochodach i innych...

— Nie wiedziałam, że jeździ tą uliczką wiele samochodów — powiedziała Emilia.

— W lecie jeżdżą autokary — stwierdził ponuro kapitan Wyatt. — Poranna wycieczka z Exhampton za trzy i pół szylinga. Wjeżdżają na Wzgórze Sittaford, z postojem w połowie drogi na lekki posiłek.

— No tak, ale przecież teraz nie jest lato — powiedziała Emilia.

— Niemniej właśnie dopiero co przejeżdżał tędy samochód. Chyba to reporterzy chcieli zerknąć na Rezydencję Sittaford.

— Czy znał pan dobrze kapitana Trevelyana? — spytała Emilia.

Uważała, że pytanie o bullterierkę było zwykłym wybiegiem ze strony kapitana Wyatta, podyktowanym zrozumiałą ciekawością. Zdawała sobie w pełni sprawę, że jest obecnie głównym obiektem zainteresowania w Sittaford, i było rzeczą naturalną, że kapitan Wyatt, podobnie jak inni, chciał jej się przyjrzeć.

— Nie wiem, czy dobrze — odparł kapitan Wyatt. — Sprzedał mi ten domek.

— Tak? — spytała Emilia zachęcająco.

— To sknera, oto czym był — powiedział kapitan Wyatt. — Zgodnie z umową miał tak przygotować domek, aby odpowiadał gustowi nabywcy, a kiedy wybrałem kolor cytrynowy zamiast czekoladowego na obramowania okien, chciał, żebym pokrył połowę kosztów, twierdząc, że umowa przewiduje jednolity kolor dla wszystkich domków.

— Pan go nie lubił — zauważyła Emilia.

— Zawsze się z nim kłóciłem — powiedział kapitan Wyatt. Po chwili namysłu dodał: — Ale ja się z każdym kłóczę. W takim miejscu jak to trzeba nauczyć ludzi, żeby zostawili człowieka w spokoju. Ciągłe pukanie do drzwi, wpadanie do środka i szczebiotanie. Lubię widywać ludzi, kiedy jestem w odpowiednim nastroju, ale musi to być mój nastrój, a nie ich. Nie będzie ten Trevelyan z tą swoją miną pana na włościach wpadał do mnie, kiedy mu się podoba. Ale teraz już nikt, ani jedna dusza do mnie nie zagląda — dodał z satysfakcją.

— O! — powiedziała Emilia.

— Dlatego najlepiej jest mieć kolorowych służących — ciągnął kapitan Wyatt. — Oni rozumieją rozkazy. Abdul! — ryknął.

Wysoki Hindus w turbanie wyszedł z domu i czekał na rozkazy.

— Proszę wejść i czymś się poczęstować — powiedział kapitan Wyatt. — Zobacz pani mój mały domek.

— Bardzo mi przykro — powiedziała Emilia — ale muszę się śpieszyć.

— Och, nie, wcale pani nie musi — naciskał kapitan Wyatt.

— Właśnie że muszę — powiedziała Emilia. — Mam umówione spotkanie.

— Nikt dzisiaj nie rozumie sztuki życia — orzekł kapitan Wyatt. — Cały ten nonsens: umówione spotkania, śpieszenie się na pociąg, ustalanie godziny na wszystko... Moja zasada brzmi: wstawaj równo ze słońcem, jedz posiłki, kiedy masz na nie ochotę, i nigdy się nie krępuj jakąś godziną czy datą. Mógłbym nauczyć ludzi jak żyć, gdyby tylko zechcieli mnie słuchać.

Jak zauważyła Emilia, wyniki tego zachwalanego trybu życia nie napawały optymizmem. Nigdy nie widziała takiego wraku ludzkiego jak kapitan Wyatt. Uznawszy, że jego ciekawość została na razie wystarczająco zaspokojona, powołała się jeszcze raz na umówione spotkanie i ruszyła w drogę.

Do Rezydencji Sittaford prowadziły solidne dębowe drzwi, przy nich znajdował się zgrabny dzwonek do pociągania, a u dołu ogromna druciana wycieraczka; na drzwiach wisiała wypolerowana do blasku mosiężna skrzynka na listy. Emilia nie mogła nie zauważyć, że wszystko to świadczy o komforcie i wysokiej stopie życiowej. Typowa, schludnie odziana pokojówka otworzyła drzwi.

Emilia domyśliła się, że dziennikarska plaga musiała nawiedzić dom już przed nią, gdyż pokojówka natychmiast oznajmiła sztywnym tonem:

— Pani Willett nikogo dziś rano nie przyjmuje.

— Przyniosłam liścik od panny Percehouse — powiedziała Emilia.

To wyraźnie zmieniło sytuację. Pokojówka zawahała się chwilę, lecz wkrótce zmieniła zdanie.

— Proszę, zechce pani wejść.

Emilia weszła do pomieszczenia, które agenci mieszkaniowi określają jako „elegancki hol” i stamtąd do dużego salonu. Na kominku płonął ogień; pokój nosił ślady kobiecej obecności: a to jakieś szklane tulipany, to znów wymyślny worek na robótki, dziewczęcy kapelusz i pierrot z bardzo długimi nogami. Nie zauważyła jednak nigdzie żadnych fotografii.

Obejrząwszy wszystko, co było do obejrzenia, Emilia rozgrzewała sobie dłonie przed kominkiem, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju weszła młoda dziewczyna mniej więcej w jej wieku. Bardzo ładna dziewczyna, ubrana kosztownie i elegancko, ale Emilia nigdy nie widziała nikogo w stanie tak silnego napięcia nerwowego. Panna Willett nie okazywała go jednak na zewnątrz, starając się przybrać wygląd osoby, która czuje się zupełnie swobodnie.

— Dzień dobry — powiedziała zbliżając się i podając rękę. — Tak mi przykro, że mama nie zeszła, ale spędza ranek w łóżku.

— Ależ to ja przepraszam, przykro mi, że przyszłam o niewłaściwej porze.

— Skądże znowu, kucharka już pisze przepis na ciasto. Jest nam bardzo miło, że panna Percehouse go dostanie. Czy zatrzymała się pani u niej?

Emilia pomyślała, uśmiechając się w duchu, że jest to może jedyny dom w Sittaford, gdzie nie wiadomo dokładnie, ani kim jest, ani dlaczego się tu znalazła. W Rezydencji Sittaford istniał wyraźny podział na pracodawców i pracowników. Służba mogła coś o niej wiedzieć, ich panie najwyraźniej nie.

— Nie zatrzymałam się u panny Percehouse — powiedziała Emilia. — Mieszkam u pani Curtis.

— Oczywiście, przecież jej domek jest taki strasznie mały i jej siostrzeniec, Ronnie, mieszka u niej, nieprawdaz? Nie byłoby dla pani miejsca. Czyż panna Percehouse nie jest wspaniałą osobą? Zawsze sobie powtarzam: co za siła charakteru, ale prawdę powiedziawszy trochę się jej boję.

— Jest strasznie despotyczna, prawda? — przyznała Emilia pogodnie. — Ale jaka to ogromna przyjemność być despotą, szczególnie gdy nikt się przeciw temu nie buntuje.

Panna Willett westchnęła.

— Gdybym to ja potrafiła przeciwstawiać się ludziom — powiedziała. — Miałyśmy okropny ranek, reporterzy strasznie dali się nam we znaki.

— Ach, tak — powiedziała Emilia. — To jest dom kapitana Trevelyana, prawda? — Tego

człowieka, którego zamordowano w Exhampton.

Starła się dociec właściwe] przyczyny zdenerwowania Violetty Willett. Dziewczyna najwyraźniej była na skraju załamania. Czegoś się bała, i to bardzo. Dlatego też Emilia celowo wymieniła nazwisko kapitana Trevelyana. Violetta nie zareagowała na nie w widoczny sposób, ale przecież mogła się spodziewać takiego pytania.

— Tak, czy to nie okropne?

— Proszę mi powiedzieć, to znaczy o ile możemy o tym rozmawiać...

— Ależ tak, tak, oczywiście, że tak, dlaczego nie?

„Coś jest naprawdę nie w porządku z tą dziewczyną — pomyślała Emilia. — Ona prawie nie wie, co mówi. Co tak ją przestraszyło dziś rano?”

— Bo chciałam zapytać o ten wirujący stolik — ciągnęła Emilia. — Przypadkowo się o tym dowiedziałam i wydało mi się to niezmiernie interesujące... To znaczy niezmiernie makabryczne.

„Dziewczęca ekscytacja — pomyślała. — Oto moja linia postępowania”.

— Och, to było potworne — powiedziała Violetta. — Ten wieczór... nigdy go nie zapomnę! Oczywiście uważaliśmy, że ktoś po prostu oszukuje, ale był to żart wyjątkowo wstrętny.

— Tak?

— Nigdy nie zapomnę, jak zapaliliśmy światło. Wszyscy mieli takie dziwne miny. Z wyjątkiem pana Duke'a i majora Burnaby'ego; obydwaj należą do ludzi opanowanych i nigdy by się nie przyznali, że coś takiego mogłoby na nich wywrzeć jakieś wrażenie. Ale widać było, że major Burnaby jest jednak bardzo wstrząśnięty. Sądzę, że właśnie on uwierzył w to bardziej niż ktokolwiek inny. Ale biedny mały pan Rycroft wyglądał tak, jakby miał dostać ataku serca czy czegoś w tym rodzaju, choć powinien być przyzwyczajony do takich zjawisk, skoro zajmuje się badaniami metapsychicznymi, a jeżeli chodzi o Ronniego, Ronniego Garfielda, wie pani, wyglądał, jakby zobaczył ducha, jakby naprawdę widział ducha. Nawet mama była ogromnie wytrącona z równowagi, nigdy przedtem nie widziałam jej aż tak poruszonej.

— Musiało to rzeczywiście wyglądać upiornie — powiedziała Emilia. — Żałuję, że nie mogłam tego zobaczyć.

— To było naprawdę okropne. Udawaliśmy, wie pani, że to zabawa, ale wcale tak nie wyglądało. I potem major Burnaby nagle postanowił pójść do Exhampton i wszyscy staraliśmy się go zatrzymać, i mówiliśmy mu, że zginie w śnieżnych zaspach, ale poszedł. I siedzieliśmy wszyscy zmartwieni, jak już podszedł, czując się okropnie. A potem, wczoraj wieczór, nie, wczoraj rano nadeszła ta wiadomość.

— Czy sądzi pani, że to był duch kapitana Trevelyana? — zapytała Emilia przerażonym głosem. — Czy jakieś jasnowidzenie, czy telepatia?



— Och, nie wiem. Ale nigdy, nigdy nie będę już się śmiała z tych rzeczy.

Weszła pokojówka i podała pannie Willett na tacce złożoną kartkę papieru. Violetta rozwinęła kartkę, zerknęła na nią i wręczyła ją Emilii.

— Proszę bardzo — powiedziała. — Właściwie to zdążyła pani w samą porę. Ta sprawa z morderstwem wytrąciła służące z równowagi. Uważają, że niebezpiecznie jest mieszkać na tym odludziu. Mama zdenerwowała się na nie wczoraj wieczorem i kazała wszystkim spakować rzeczy. Wyjeżdżają po lunchu. Zamiast nich będą u nas dwaj mężczyźni: kucharz i lokaj, a zarazem szofer. To jest znacznie lepsze rozwiązanie.

— Służące bywają niemądre — powiedziała Emilia.

— Właśnie. Przecież kapitan Trevelyan nawet nie został zabity w tym domu.

— Co skłoniło panie do zamieszkania tutaj? — spytała Emilia, starając się, aby pytanie wyrażało po prostu dziewczęcą ciekawość, a nie przebiegłość.

— No cóż, uważaliśmy, że będzie tu całkiem zabawnie — powiedziała Violetta.

— Nie sądzą panie, że jest tu raczej nudno?

— O nie, ja kocham wieś.

Ale jej oczy unikały spojrzenia Emilii. Przez krótką chwilę miała minę podejrzliwą i zastraszoną. Poruszyła się niespokojnie na krześle i Emilia wstała z ociąganiem.

— Muszę już iść — powiedziała. — Dziękuję pani bardzo. Mam nadzieję, że pani mama wkrótce poczuje się dobrze.

— Och, mama czuje się zupełnie dobrze. To tylko ta służba i kłopot z nią związany.

— Oczywiście.

Emilii udało się zręcznie podrzucić swe rękawiczki na mały stoliczek, korzystając z nieuwagi gospodyni. Violetta Willett towarzyszyła jej do drzwi frontowych, rozstały się, wymieniając grzecznościowe formułki.

Pokojówka, która otworzyła Emilii drzwi, otwierała je kluczem, ale gdy Violetta zamknęła je za wychodzącym gościem,

Emilia nie usłyszała zgrzytu klucza. Wobec tego od bramy zawróciła wolno w kierunku domu.

Odwiedziny potwierdziły jej teorię co do Rezydencji Sittaford. Działo się tu coś dziwnego. Emilia nie sądziła, aby Violetta była w to bezpośrednio wplątana — chyba że okazała się wyjątkowo zręczną aktorką. Ale coś tu było nie w porządku i to coś musiało mieć jakiś związek z zaistniałą tragedią. Jakieś ogniwo musi wiązać panie Willett i kapitana Trevelyan, i to ogniwo może być

kluczem do tajemnicy Sittaford.

Podeszła do drzwi frontowych, delikatnie nacisnęła klamkę i przekroczyła próg. Zatrzymała się w pustym holu, niepewna co robić dalej. Miała pretekst — rękawiczki zostawione celowo w salonie. Stała nieruchomo, nasłuchując. Żadnego dźwięku, z wyjątkiem cichego szmeru głosów na piętrze. Emilia skradała się jak najciszej do schodów i zatrzymała się, patrząc w górę. Następnie bardzo ostrożnie zaczęła wchodzić na stopnie. Sprawa była ryzykowna, nie mogła przecież udawać, że jej rękawiczki same powędrowały na piętro, ale popychało ją palące pragnienie podsłuchania czegoś z toczącej się na górze rozmowy. Zdaniem Emilii nowocześni budowniczowie nigdy nie dopasowują dokładnie drzwi — dlatego można było na dole usłyszeć szmer głosów z góry. Tak więc, gdyby się dotarło do samych drzwi, usłyszeć by można całą toczącą się w pokoju rozmowę. Następny stopień — jeszcze jeden... Dwa głosy kobiece — bez wątpienia należące do Violetty i jej matki.

Nagle rozmowa się urwała, rozległy się kroki... Emilia wycofała się pośpiesznie.

Gdy Violetta Willett otworzyła drzwi pokoju matki i zeszła ze schodów, ze zdumieniem odkryła stojącego w holu niedawnego gościa. Emilia rozglądała się wokół z miną zagubionej psiny.

— Moje rękawiczki — wyjaśniła. — Musiałam je zostawić, więc wróciłam.

— Na pewno są w salonie — powiedziała Violetta.

Weszły do salonu i oczywiście tuż obok miejsca, gdzie siedziała Emilia, leżały na małym stoliczku zagubione rękawiczki.

— Och, dziękuję pani — powiedziała Emilia. — Co za bezmyślność z mojej strony. Zawsze zostawiam gdzieś rzeczy.

— A przy tej pogodzie rękawiczki są niezbędne — stwierdziła Violetta. — Jest tak zimno.

Jeszcze raz rozstały się przy drzwiach w holu, lecz tym razem Emilia usłyszała odgłos przekręcanego w zamku klucza.

Miała o czym myśleć idąc podjazdem, bo gdy otworzyły się drzwi na piętrze, usłyszała wyraźnie jedno zdanie — mówiła je wzburzonym i płaczącym tonem starsza kobieta:

— O mój Boże! Już nie mogę tego znieść. Czy noc nigdy nie nadejdzie?

# Teorie

Po powrocie Emilia nie zastała w domu swego towarzysza. Jak wyjaśniła jej pani Curtis, udał się gdzieś z kilkoma młodymi dżentelmenami, natomiast do młodej pani nadeszły dwa telegramy. Emilia wzięła je, otworzyła i wsadziła do kieszeni swetra, podczas gdy pani Curtis śledziła je chciwym wzrokiem.

— Nic złego się nie stało, mam nadzieję? — spytała pani Curtis.

— Ach, nie — odpowiedziała Emilia.

— Jak dostaję telegram, to zawsze mało co nie zemdleję —oznajmiła pani Curtis.

— Tak, to bardzo denerwujące — zgodziła się Emilia.

Nie miała w tej chwili ochoty na nic innego, jak znaleźć się sama. Chciała ułożyć i uporządkować swoje spostrzeżenia. Poszła do swego pokoju, wzięła ołówek i notatnik i rozpoczęła pracę według własnego systemu. Po dwudziestu minutach pan Enderby przerwał jej to zajęcie.

— Halo, halo, halo! Jesteś już nareszcie. Prasa uganiała się za tobą cały ranek, ale wszędzie akurat im znikaaś. W każdym razie dowiedzieli się ode mnie, że nie wolno cię niepokoić. Jeżeli chodzi o ciebie, to tylko ja mam wyłączność. — Usiadł na krześle, gdyż Emilia zajmowała łóżko, i zachichotał. — Nie ma w tym ani zawiści, ani złośliwości z mojej strony. To ja im dostarczam towar. Znam każdego i mam do tego prawo. Wszystko to jest zbyt piękne, aby było prawdziwe. Szczypię się stale i czuję, że lada moment się obudzę. Aha, zauważyłaś jaka gęsta mgła?

— Nie przeszkodzi mi w udaniu się po południu do Exeter —powiedziała Emilia.

— Chcesz pojechać do Exeter?

— Tak, muszę się tam spotkać z moim adwokatem, wiesz, to pan Dacres, ten, co podjął się obrony Jima. Chce się ze mną zobaczyć. I kiedy tam będę, chyba odwiedzę ciocię Jen—nifer — to ciotka Jima. Zresztą Exeter to tylko pół godziny drogi stąd.

— Zakładasz, że mogła wpaść pociągiem, rąbnąć braciszka w głowę i nikt by nie zauważył jej nieobecności?

— Zdaję sobie sprawę, że jest to mało prawdopodobne, ale wszystko trzeba sprawdzić. Wcale bym nie chciała, żeby to była ciotka Jennifer. Bardzo bym nie chciała. Wolalabym, żeby to był Martin Dering. Nie znoszę ludzi jego pokroju, uważa się za mego szwagra, a publicznie robi rzeczy, za które nie można niestety dać mu w twarz.”

— To taki typ?

— Właśnie taki. Nadaje się doskonale na mordcę. Stale dostaje telegramy od bukmacherów i traci pieniądze na wyścigach. Irytujące, że ma tak dobre alibi, powiedział mi to pan Dacres. Wydawca i obiad literacki, szacowne wydarzenia nie do obalenia.

— Obiad literacki — powiedział Enderby. — Piątek wieczorem. Martin Dering... niech sobie przypomnę... Martin Dering... Ależ tak, jestem tego prawie pewien. Do diabła, jestem tego całkiem pewien. Ale mogę rozstrzygnąć sprawę telegrafując do Carruthersa.

— O czym ty mówisz? — spytała Emilia.

— Posłuchaj. Jak wiesz, przyjechałem do Exhampton w piątek wieczór. A od mojego kolegi, też dziennikarza nazwiskiem

Carruthers, miałem dostać pewne informacje; gdyby zdążył, miał wpaść do mnie około wpół do szóstej, przed udaniem się na jakiś literacki obiad (to gruba ryba), a gdyby nie zdążył, miał mi przekazać wiadomość do Exhampton. No cóż, nie zdążył, ale wiadomość mi przesłał.

— Co to wszystko ma wspólnego z naszą sprawą? — spytała Emilia.

— Bądź cierpliwa, już przechodzę do rzeczy. Mój facet był trochę wstawiony, kiedy to pisał, popił sobie na obiedzie, i po podaniu wiadomości, na której mi zależało, uraczył mnie bez potrzeby smakowitym opisem obiadu. No wiesz, jakie były przemowy i jak się wygłupił jakiś sławny powieściopisarz i dramaturg. I dodał, że miał fatalne miejsce przy stole. Po obu stronach miał puste miejsca, po jednej miała siedzieć Ruby McAlmott, ta okropna baba od bestsellerów, a po drugiej ten specjalista od seksu, Martin Dering. Tak więc przesunął się bliżej pewnego poety, dobrze znanego w Blackheath, i jakoś sobie radził. Widzisz teraz, do czego zmierzam?

— Charles! Mój kochany! — Emilia z emocji wpadła w ton liryczny. — Jak cudownie! Więc tego brutalą w ogóle nie było na obiedzie?

— Właśnie.

— Na pewno dobrze zapamiętałaś nazwisko?

— Jestem tego pewien. List niestety podarłem, ale w każdej chwili mogę zatelegrafować do Carruthersa, aby się upewnić. Jestem jednak przekonany, że się nie mylę.

— Jest jeszcze oczywiście wydawca — powiedziała Emilia. — Ten, z którym spędził popołudnie. Ale to chyba wydawca, który miał właśnie wracać do Ameryki, a jeżeli tak, sprawa wygląda podejrzanie. To znaczy, wygląda tak, jakby wybrał kogoś, kogo o nic nie można spytać bez zadania sobie wielkiego trudu.

— Naprawdę sądzisz, że trafiliśmy w dziesiątkę? — spytał Charles Enderby.

— Na to wygląda. Myślę, że najlepiej będzie udać się z tym wprost do tego przemiłego inspektora Narracotta i po prostu opowiedzieć mu o tych nowych faktach. Przecież nie możemy złapać amerykańskiego wydawcy, który jest teraz na statku, na jakiejś Mauretanii, Berengarii czy jeszcze

innym. To zadanie dla policji.

— Słowo daję, jeżeli to wyjdzie... Co za bomba! — wykrzyknął pan Enderby. — Jeżeli to wyjdzie, „Daily Wire” nie może mi zapłacić mniej niż...

Emilia bezlitośnie przerwała te marzenia o wierszówce.

— Nie wolno nam tracić głowy — powiedziała — i zapominać o innych ważnych rzeczach. Muszę pojechać do Exeter i chyba nie będę tu mogła wrócić wcześniej niż jutro. Ale mam dla ciebie zadanie.

— Jakie zadanie?

Emilia opisała swą wizytę u pań Willett i przytoczyła dziwne słowa usłyszane na odchodnym.

— Musimy się bezwzględnie dowiedzieć, co tam się zdarzy tej nocy. Coś wisi w powietrzu.

— Co za niezwykła sprawa!

— Prawda? Ale oczywiście może to być po prostu jakiś zbieg okoliczności. A może i nie; zwróć uwagę, że z domu usunięto służbę. Coś dziwnego wydarzy się tam dziś w nocy i musisz być na miejscu, aby zobaczyć, co się stanie.

— Mówisz, że mam spędzić całą noc dygocąc pod jakimś krzakiem w ogrodzie?

— No cóż, poświęcisz się przecież, nieprawdaż? Dziennikarze nieraz robią różne rzeczy dla dobra sprawy.

— Kto ci tak powiedział?

— Nieważne kto, wiem i już. Zrobisz to, prawda?

— No cóż, tak — powiedział Charles. — Nie mogę niczego przegapić. Jeżeli dziś w nocy ma się zdarzyć coś dziwnego w Rezydencji Sittaford, będę na miejscu.

Emilia opowiedziała mu następnie o nalepce na bagażu.

— Zastanawiające — stwierdził pan Enderby. — W Australii przebywa ten trzeci Pearson, nieprawdaż? Ten najmłodszy. Oczywiście może to być bez znaczenia, ale... no cóż, może i istnieje jakiś związek.

— Hm — powiedziała Emilia. — To chyba wszystko. A jakie wieści z twojej strony?

— A więc — zaczął Charles — mam pewien pomysł.

— Tak?

— Problem w tym, że nie wiem, jak ci się spodoba.

— Co przez to rozumiesz?

— Że nie będziesz zła, gdy ci powiem, dobrze?

— Nie sędzę. To znaczy mam nadzieję, że potrafię rozsądnie i spokojnie wszystkiego wysłuchać.

— A więc chodzi o to — Charles Enderby przyglądał się jej niepewnie — nie myśl, że chcę cię obrazić, czy coś w tym rodzaju, chodzi o to, czy uważasz, że temu twojemu chłopcu można ufać, że mówi samą prawdę?

— Chcesz powiedzieć, że on naprawdę zamordował wuja. Możesz tak uważać, jeżeli ci to odpowiada. Powiedziałam ci na początku, iż tak oczywisty punkt widzenia jest do przyjęcia, ale powiedziałam także, że wychodzimy z założenia, iż on tego nie zrobił.

— Nie chodzi mi o to — powiedział Enderby. — Zgadzam się z twoim założeniem, że to nie on załatwił starego. Chodzi o to, do jakiego stopnia jego własna relacja o tym, co się zdarzyło, jest prawdziwa? Mówił, że udał się tam, pogawędził ze starszym panem i wyszedł zostawiając go żywego i zdrowego.

— Tak.

— Więc przyszło mi właśnie do głowy... nie sądzisz, że to możliwe? Że poszedł tam i odkrył właśnie, że wuj nie żyje. Myślę, że mógł się przestraszyć, wpadł w panikę i nie chciał się przyznać, że to zobaczył.

Charles niepewnie przedstawiał swoją teorię i odetchnął z ulgą, gdy Emilia się nie obraziła. Zamyśliła się natomiast i zmarszczyła brwi z wysiłku.

— Nie będę udawać — powiedziała. — Jest to możliwe. Nie pomyślałam o tym przedtem. Wiem, że Jim nie zamordowałby nikogo, ale mógł się przerazić, powiedzieć jakieś głupie kłamstwo, a teraz, oczywiście, musi się go trzymać. Tak, to całkiem możliwe.

— Najgorsze, że nie możesz go teraz o to zapytać. Nie pozwolą ci się z nim zobaczyć sam na sam, prawda?

— Poślę do niego pana Dacresa — rzekła Emilia. — O ile mi wiadomo, z adwokatem są osobne widzenia. Najgorsze u Jima jest to, że jest tak okropnie uparty; jak raz coś powie, to trzyma się tego do końca.

— A ja będę się trzymał mojej teorii — dodał ze zrozumieniem pan Enderby.

— Rada jestem, że wskazałeś mi taką możliwość, Charles, nie przyszło mi to do głowy. Szukaliśmy kogoś, kto przyszedł po wyjściu Jima, ale jeżeli stało się to przedtem...

Zamilkła pogrążona w myślach. Dwie teorie prowadziły w przeciwnych kierunkach. Zgodnie z

pierwszą, którą sugerował pan Rycroft, kluczowym punktem była kłótnia Jima z wujem. Druga zaś teoria nie brała Jima w ogóle pod uwagę. Pierwsza rzecz, którą należy zrobić — myślała Emilia — to spotkać się z doktorem, który zbadał ciało. Gdyby się okazało, że kapitan mógł zostać zamordowany, powiedzmy, o godzinie czwartej, zmieniłoby to znacznie problem alibi. Następna rzecz do zrobienia — należy skłonić adwokata, aby stanowczo przekonał swego klienta o absolutnej konieczności mówienia prawdy na ten temat.

Podniosła się z łóżka.

— Najpierw — powiedziała — musisz się dowiedzieć, jak mogę się dostać do Exhampton. O ile wiem, ten człowiek z kuźni ma jakiś samochód. Czy możesz tam pójść i umówić się z nim? Wyruszę natychmiast po lunchu. Pociąg do Exeter odchodzi dziesięć po trzeciej. To mi da dość czasu, aby najpierw zobaczyć się z doktorem. Która jest teraz godzina?

— Wpół do pierwszej — pan Enderby sprawdził czas na zegarku.

— No to pójdziemy razem i załatwimy ten samochód — powiedziała Emilia. — I jeszcze jedno, zanim wyjadę z Sittaford.

— Mianowicie?

— Chcę odwiedzić pana Duke'a. To jedyna osoba w Sittaford, której jeszcze nie poznałam. A był przecież uczestnikiem tego seansu.

— I tak mijamy jego dom po drodze do kuźni.

Domek pana Duke'a był ostatni w rzędzie. Emilia i Charles otworzyli furtkę i szli ścieżką do wejścia. I wówczas wydarzyło się coś zadziwiającego. Drzwi otworzyły się i z domu wyszedł jakiś mężczyzna, a był nim inspektor Narracott.

On również był zdziwiony i, jak się wydało Emilii, zakłopotany.

Panna Trefusis porzuciła swój pierwotny zamiar.

— Tak się cieszę, że pana spotykam, panie inspektorze — powiedziała. — Jeżeli można, chciałabym porozmawiać z panem o kilku sprawach.

— Będę zachwycony, proszę pani. — Wyciągnął zegarek. — Ale obawiam się, że będzie pani musiała się streszczać. Samochód na mnie czeka, muszę natychmiast wracać do Exhampton.

— Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności! — wykrzyknęła Emilia. — Czy mógłby pan mnie tam podwieźć, panie inspektorze?

Inspektor odpowiedział raczej sztywno, że sprawi mu to wielką przyjemność.

— Mógłbyś przynieść moją walizkę, Charles? — poprosiła Emilia. — Czeka zapakowana.

Charles oddalił się pośpiesznie.

— To wielka niespodzianka, że panią tu spotykam — rzekł inspektor Narracott.

— Powiedziałałam przecież panu do zobaczenia — przypomniała Emilia.

— Nie zwróciłem wtedy na to uwagi.

— Nie pozbył się pan mnie na długo — powiedziała szczerze Emilia. — Wie pan, inspektorze, popełnił pan błąd. Jim nie jest człowiekiem, którego pan szuka.

— Naprawdę?

— I co więcej — ciągnęła Emilia — sędzę, że w głębi serca zgadza się pan ze mną.

— Dlaczego pani tak uważa?

— A co pan robił w domku pana Duke'a? — odpaliła Emilia.

Inspektor Narracott miał zakłopotaną minę i Emilia szybko wykorzystwała przewagę.

— Pan ma wątpliwości, inspektorze. Tak właśnie jest. Ma pan wątpliwości. Uważał pan, że złapał właściwego człowieka, a teraz nie jest już pan tego tak pewien i dlatego prowadzi pan dalsze badania. A ja mam panu do powiedzenia coś, co może się okazać pomocne. Powiem to panu w drodze do Exhampton.

Na ścieżce dały się słyszeć kroki i pojawił się Ronnie Garfield, zdyszany, z miną winowajcy, niby wagarowicz.

— Proszę pani — zaczął — może byśmy po południu poszli na spacer? Wie pani, wtedy, kiedy moja ciotka ucina sobie drzemkę.

— To niemożliwe — powiedziała Emilia. — Wyjeżdżam do Exeter.

— Och nie, naprawdę! Na dobre, mówi pani?

— Ależ nie. Jutro wracam.

— To cudownie!

Emilia wyjęła coś z kieszeni swetra i wręczyła mu.

— Proszę dać to cioci, dobrze? To przepis na ciasto kawowe, proszę jej powiedzieć, że zjawiłam się w ostatniej chwili, bo kucharka wyjeżdża dzisiaj, podobnie jak reszta służby. Proszę jej to koniecznie powiedzieć, na pewno ją to zainteresuje.

Wiatr przyniósł odległe wołanie: — Ronnie! Ronnie, Ronnie!



— To moja ciocia. — Ronnie poruszył się nerwowo. — Lepiej już pójde.

— Chyba tak — powiedziała Emilia. — Ma pan zieloną farbę na lewym policzku! — zawołała za nim.

Ronnie Garfield zniknął za ciotczyną furtką.

— Już jest mój chłopiec z walizką — powiedziała Emilia. — Chodźmy, inspektorze. Opowiem panu wszystko w samochodzie.

# Wizyta u ciotki Jennifer

Doktor Warren przyjął Emilię o wpół do drugiej. Energiczna, ładna dziewczyna natychmiast wzbudziła jego sympatię. Zadawała mu pytania rzeczowe i zwięzłe.

— Tak, proszę pani, wiem dokładnie, o co pani chodzi. Zdaje sobie pani sprawę, że wbrew temu, co pisze się w powieściach, niezmiernie trudno jest określić dokładnie czas śmierci. Widziałem ciało o godzinie ósmej. Mogę zdecydowanie stwierdzić, że kapitan nie żył przynajmniej od dwóch godzin. A o ile wcześniej niż dwie godziny, to trudno powiedzieć. Gdyby mi pani powiedziała, że zabito go o godzinie czwartej, powiedziałbym, że jest to możliwe, choć osobiście zakładałbym późniejszy termin. Z drugiej strony na pewno nie był martwy dłużej niż cztery i pół godziny — to maksymalna granica.

— Dziękuję — powiedziała Emilia — to wszystko, czego chciałam się dowiedzieć.

Złapała pociąg trzecia dziesiątka i następnie taksówką udała się wprost do hotelu, gdzie zatrzymał się pan Dacres.

Rozmowa była rzeczowa i spokojna. Pan Dacres znał Emilię od dzieciństwa i zajmował się jej sprawami po osiągnięciu przez nią pełnoletności.

— Musisz się przygotować na wstrząs, Emilio — powiedział. — Sprawa Jima Pearsona przedstawia się znacznie gorzej, niż nam się zdawało.

— Gorzej?

— Tak. Nie ma co owijać w bawełnę. Wyszły na jaw pewne fakty, które ukazują go w bardzo niekorzystnym świetle. Te fakty właśnie skłoniły policję do oskarżenia go o zbrodnię. Nie działałbym więc w twoim interesie, gdybym ukrywał je przed tobą.

— Proszę mi wszystko powiedzieć — rzekła Emilia.

Jej głos był spokojny i opanowany. Nie miała zamiaru okazywać swych uczuć, chociaż wiadomość ta nią wstrząsnęła. Rozum, a nie uczucie ma pomóc Jimowi. Musi zachować jasny umysł.

— Nie ulega wątpliwości, że Pearson gwałtownie i pilnie potrzebował pieniędzy. Nie mam w tej chwili zamiaru wnikać w etyczną stronę tej sytuacji. Najwyraźniej już przedtem „pożyczał” czasem pieniądze — że użyję tego omówienia — od swojej firmy, bez ich, że tak powiem, wiedzy. Miał żylkę do gry na giełdzie. Toteż, gdy nadarzyła się okazja zakupu akcji, co do których miał pewność, że pójdą w górę, a więc, że dywidendy wpłyną na jego konto za tydzień, uprzedził ten fakt, używając pieniędzy firmy. Transakcja się udała. Pearson zwrócił pieniądze i widocznie nie miał żadnych wątpliwości co do strony moralnej takiego posunięcia. Najwyraźniej powtórzył je jakiś tydzień temu, ale tym razem zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Księgi firmy sprawdzano w

pewnych określonych terminach, ale rym razem, dla takiej czy innej przyczyny, termin przyśpieszono i Pearson stanął przed bardzo nieprzyjemnym dylematem. Wiedział, jak zostanie oceniony jego postępek, ale nie był w stanie zgromadzić potrzebnej sumy. Przyznaje, że próbował bez skutku w różnych miejscach. Wobec tego, jako do ostatniej instancji, pojechał czym prędzej do Devonshire, aby wyłożyć wujowi całą sprawę i skłonić go do udzielenia mu pomocy. Kapitan Trevelyan kategorycznie odmówił. A więc, moja droga Emilio, nie możemy nic zrobić, aby zapobiec wyciągnięciu tych faktów na światło dzienne. Policja już je zna. I widzisz przecież, mamy tu silny motyw zbrodni. Z chwilą śmierci kapitana Treveljana Pearson z łatwością mógłby uzyskać potrzebną sumę od pana Kirkwooda, uniknąć nieszczęścia i prawdopodobnie rozprawy sądowej.

— Co za idiota — szepnęła Emilia bezradnie.

— Właśnie — stwierdził sucho pan Dacres. — Wydaje mi się, że naszą jedyną szansą jest udowodnienie, że Jim Pearson nic nie wiedział o zapisach w testamencie wuja.

Nastąpiła przerwa, podczas której Emilia rozważała tę możliwość. Potem powiedziała spokojnie:

— Obawiam się, że to niemożliwe. Cała trójka wiedziała: Sylwia, Jim i Brian. Często to omawiali śmiejąc się i żartując na temat bogatego wuja w Devonshire.

— O mój Boże — powiedział pan Dacres. — To bardzo niefortunne.

— Ale pan nie wierzy, że Jim jest winny? — spytała Emilia.

— Dziwne, ale nie — odpowiedział prawnik. — Jim Pearson jest na ogół bardzo nieskomplikowanym młodym człowiekiem. Nie cechuje go natomiast, jeśli pozwolisz, że tak to ujmę, Emilio, zbyt wysoki poziom uczciwości handlowej, ale ani przez chwilę nie uwierzę, że mógłby zabić wuja.

— To dobra nowina — powiedziała Emilia. — Oby policja myślała tak samo.

— No właśnie. Nasze odczucia i poglądy nie mają praktycznie znaczenia. Dowody przeciw niemu są niestety bardzo poważne. Nie mogę ukrywać przed tobą, moje drogie dziecko, że widoki na przyszłość nie są najlepsze. Proponowałbym Lorimera na obrońcę w sądzie. Jest doradcą królewskim i nazywają go człowiekiem do spraw beznadziejnych — dodał pogodnie.

— Chciałabym się dowiedzieć jednej rzeczy — powiedziała Emilia. — Widział pan oczywiście Jima?

— Naturalnie.

— Chcę, aby powiedział mi pan szczerze, czy Jim mówił prawdę co do innych faktów.

Przedstawiła pomysł, który podsunął jej Enderby. Prawnikiem przez chwilę rozważał tę teorię.

— Odnoszę wrażenie — zaczął — że mówi prawdę, kiedy opisuje swą rozmowę z wujem. Ale nie ulega wątpliwości, że jest bardzo przestraszony. Jeżeli wszedł przez oszklone drzwi i natknął się na

martwe ciało wuja, mógł się zapewne przerazić tak bardzo, że nie przyznał się do tego i wymyślił tę drugą historię.

— Tak właśnie myślałam — powiedziała Emilia. — Kiedy pan go zobaczy następnym razem, czy może pan go nakłonić, żeby powiedział prawdę? Może to całkowicie zmienić sytuację.

— Postaram się. Niemniej — dodał pan Dacres po chwili przerwy — sędzę, że twoje założenie jest błędne. Wiadomość o śmierci kapitana Trevelyana rozeszła się w Exhampton około ósmej trzydzieści. W tym czasie odchodził ostatni pociąg do Exeter, ale Jim Pearson odjechał pierwszym pociągiem rannym. Nawiasem mówiąc, było to absolutnie niemądre posunięcie, ponieważ zwróciło to na niego uwagę, czego by uniknął wyjeżdżając później. Gdyby, jak sugerujesz, odkrył ciało wuja w jakiś czas po wpół do piątej, sędzę, że natychmiast wyjechałby z Exhampton. Jeden pociąg odjeżdża tuż po szóstej, a drugi za kwadrans ósma.

— To jest argument — przyznała Emilia. — O tym nie pomyślałam.

— Wypytałem go dokładnie, jakim sposobem dostał się do domu wuja — ciągnął pan Dacres. — Mówi, że kapitan Trevelyan kazał mu zdjąć buty i zostawić je na progu. To by tłumaczyło brak mokrych śladów w holu.

— Czy nie mówił o jakichś odgłosach, jakichkolwiek, które nasunęłyby mu myśl, że w domu mógł być ktoś jeszcze?

— Nic takiego nie mówił. Ale zapytam go.

— Dziękuję — powiedziała Emilia. — Czy może pan wziąć dla niego krótki liścik, który zaraz napiszę?

— Wiesz, że korespondencja jest sprawdzana.

— Och, będę bardzo ostrożna. Podeszła do biurka i skreśliła kilka słów.

*Najdroższy Jimie!*

*Wszystko będzie dobrze, więc się nie martw. Pracuję jak ostatni niewolnik, aby odkryć prawdę.*

*Jakim idiotą byłeś, kochanie.*

*Całuję Cię*

*Emilia*

— Proszę — powiedziała.

Pan Dacres przeczytał liścik bez komentarza.

— Staralam się pisać bardzo wyraźnie — powiedziała Emilia — tak aby władze więzienne mogły z łatwością list przeczytać. A teraz muszę już iść.

— Nie wypijesz filiżanki herbaty?

— Dziękuję, nie. Nie mam czasu do stracenia. Chcę odwiedzić ciotkę Jennifer.

W domu Pod Wawrzynami Emilia dowiedziała się, że pani Gardner nie ma, ale wkrótce ma wrócić do domu. Emilia uśmiechnęła się do pokojówki.

— No, to wejdę i poczekam.

— Może zechce pani zobaczyć się z pielęgniarką, panią Davis?

Emilia zawsze była chętna do poznania kogoś nowego.

— Tak — powiedziała szybko.

Wykrochmalona i zaciekawiona pielęgniarka pojawiła się w kilka minut później.

— Witam panią — powiedziała Emilia. — Nazywam się Emilia Trefusis i jestem prawie kuzynką pani Gardner. To znaczy będę kuzynką, lecz mój narzeczony, Jim Pearson, został aresztowany, o czym chyba pani wie.

— Ach, jakież to okropne — powiedziała pielęgniarka. — Czytałyśmy o tym wszystko w gazetach dziś rano. Co za straszna sprawa. Cudownie to pani znosi, naprawdę cudownie.

W głosie pielęgniarki zabrzmiała lekka nuta dezaprobaty, sugerująca, że chociaż pielęgniarki dzięki swej sile charakteru są w stanie znosić wszystko, to po zwykłych śmiertelnikach należy się spodziewać oznak jakiegoś załamania.

— Cóż, nie można się poddawać — odparła Emilia. — Mam nadzieję, że pani to za bardzo nie dotknęło. Chodzi mi o to, że musi być pani przykro pracować dla rodziny, w której zdarzyło się morderstwo.

— Oczywiście, to bardzo nieprzyjemne — powiedziała pielęgniarka, bynajmniej nie rozbrojona tym dowodem zrozumienia. — Ale obowiązek wobec pacjenta stoi zawsze na pierwszym miejscu.

— Jakże to wspaniałe — zauważyła Emilia. — Jakże cudowne musi być dla cioci Jennifer poczucie, że ma kogoś, na kim naprawdę może polegać!

— Och, doprawdy — wdzięczyła się pielęgniarka — zbyt pani łaskawa. Ale rzeczywiście miałam i przedtem bardzo ciekawe doświadczenia. Na przykład ostatni przypadek, przy którym byłam...

Emilia cierpliwie wysłuchiwała długiej i skandalicznej opowieści, która obejmowała

skomplikowane problemy rozwodowo–rodzicielskie. Gratulując pielęgniarce jej taktu, dyskrecji i savoir faire, Emilia zrećźnie powróciła do tematu rodziny Gardnerów.

— Nie znam zupełnie męża cioci Jennifer — powiedziała. — Nigdy go nie widziałam. Zupełnie nie wychodzi z domu, prawda?

— Nie, biedny człowiek.

— Co mu właściwie dolega?

Pielęgniarka z zawodową werwą uchwyciła się tematu i szczegółowo opisała stan swego pacjenta.

— Tak więc może poczuć się dobrze w każdej chwili — wyszeptła Emilia z namysłem.

— Byłby bardzo osłabiony — powiedziała pielęgniarka.

— Na pewno. Ale daje to jakąś nadzieję, nieprawdaż? Pielęgniarka potrząsnęła przecząco głową i z miną profesjonalistki wydała autorytatywny wyrok.

— Nie sądzę, aby w jego przypadku wyzdrowienie było możliwe.

Emilia już przedtem zapisała w swoim małym notatniku ewentualne alibi ciotki Jennifer. Podsunęła więc teraz, ścisząc głos:

— Jakie to dziwne, pomyśleć, że ciocia Jennifer była w kinie, gdy mordowano jej brata.

— Bardzo smutne, prawda? — powiedziała pielęgniarka. — Oczywiście, jak miałyby to przewidzieć, ale potem... co za szok!

Emilia zastanowiła się, jak wyciągnąć potrzebne informacje bez zadawania bezpośrednich pytań.

— Nie miała jakiegoś dziwnego przeczucia czy ostrzeżenia? — spytała. — Czy to nie pani spotkała ją w holu, gdy wróciła, i wykrzyknęła, że wygląda jakoś dziwnie?

— O, nie — odrzekła pielęgniarka. — To nie ja. Zobaczyłam ją dopiero, jak zasiadłyśmy razem do obiadu, i wyglądała zupełnie normalnie. Jakie to interesujące!

— Chyba coś mi się pomieszało — rzekła Emilia.

— Może to był ktoś inny? — powiedziała pielęgniarka. — Ja sama wróciłam raczej późno. Czulałam się winna zostawiając mojego pacjenta na tak długo, ale on sam nalegał, żebym wyszła. — Spojrzała nagle na zegarek. — O mój Boże! Prosił mnie o drugi termofor, muszę go zaraz zanieść. Wybacz pani?

Emilia chętnie wybaczyła. Następnie podeszła do kominka i nacisnęła dzwonek.

Weszła niechlujna służąca z przestraszoną twarzą.

— Jak ci na imię? — spytała Emilia.

— Beatrice, panienko.

— Słuchaj, Beatrice, może się nie doczekam powrotu mojej ciotki, to jest pani Gardner. Właściwie chciałam ją zapytać o zakupy, jakie zrobiła w piątek. Pamiętasz może, czy przyniosła dużą paczkę?

— Nie, panienko. Nie widziałam, jak wróciła.

— Powiedziałaś, że wróciła o szóstej.

— Bo tak było, panienko. Nie widziałam, jak weszła, ale kiedy poszłam do jej pokoju zanieść ciepłą wodę o siódmej, przestraszyłam się, widząc, że leży po ciemku na łóżku. Proszę pani — powiedziałam do niej — ależ mnie pani przestraszyła! A ona: Przyszłam już dawno temu, o szóstej. I nigdzie nie widziałam dużej paczki — zakończyła Beatrice usilnie starając się pomóc Emilii.

„Wszystko jest takie trudne — myślała Emilia. — Tyle trzeba wymyślać różnych rzeczy. Wymyśliłam już przecucie i dużą paczkę, ale, jak widzę, trzeba coś jeszcze wymyślić, żeby nie wzbudzić podejrzeń”. Uśmiechnęła się słodko i powiedziała:

— Wszystko w porządku, Beatrice, to nieważne. Beatrice wyszła z pokoju. Emilia wyjęła z torebki mały rozkład jazdy i zaczęła go wertować.

— Wyjazd z Exeter, stacja Świętego Dawida, o trzeciej dziesięć — mruczała — przyjazd do Exhampton trzecia czterdzieści dwie. Czas na pójście do domu brata i zamordowanie go — jak wstrętne i cynicznie to brzmi i co za nonsens — powiedzmy, pół godziny do trzech kwadransów. Jakie są pociągi powrotne? Jest jeden o czwartej dwadzieścia pięć i ten, o którym mówił pan Dacres, o szóstej dziesięć; przyjeżdża za dwadzieścia trzy siódma. Tak, to właściwie możliwe. Szkoda, że nie można podejrzewać pielęgniarki. Nie było jej całe popołudnie i nikt nie wie, gdzie się podziewała. Oczywiście nie wierzę, aby ktokolwiek z tego domu zamordował kapitana Trevelyana, ale pocieszający jest fakt, że mogliby to zrobić. Co to? Aha, drzwi frontowe.

W holu rozległ się szmer głosów, drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Jennifer Gardner.

— Nazywam się Emilia Trefusis — przedstawiła się Emilia. — Wie pani, jestem zaręczona z Jimem Pearsonem.

— A więc to pani jest Emilia — powiedziała pani Gardner potrząsając jej dłonią. — Cóż za niespodzianka.

I nagle Emilia poczuła się bardzo malutka i bardzo słaba. Jak mała dziewczynka przyłapana na jakimś głupstwie. Cóż za wyjątkowa osoba, ta ciotka Jennifer. Co za siła charakteru! Ciotka Jennifer mogłaby nią obdarzyć co najmniej trzy osoby.

— Czy jadłaś już podwieczorek? Nie? No, to zjemy tutaj. Zaraz wracam. Muszę najpierw wpaść na górę do Roberta.

Gdy wymieniła imię męża, na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz, a piękny, silny głos złagodniał. Tak jakby światło padło na ciemne, pomarszczone wody.

„Ona go uwielbia — pomyślała Emilia, gdy została sama w salonie. — Jednak jest w niej coś, co wzbudza obawę. Ciekawa jestem, czy wujkowi Robertowi odpowiada taka niezmierna adoracja”.

Gdy Jennifer Gardner wróciła po zdjęciu kapelusza, Emilię zachwyciła gładka linia jej włosów ściągniętych z czoła do tyłu.

— Czy chcesz rozmawiać na ten temat, Emilio? Jeśli nie, świetnie to rozumiem.

— Rozmowa o tym niewiele da, prawda?

— Możemy tylko mieć nadzieję — powiedziała pani Gardner — że znajdą szybko prawdziwego mordercę. Naciśnij dzwonek, Emilio, dobrze? Poślę pielęgniarkę podwieczorek na górę. Nie chcę, żeby tu szczebiotała, nie znoszę pielęgniarek.

— A czy ona dobrze się spisuje?

— Chyba tak. W każdym razie tak twierdzi Robert. Ja jej nigdy nie znosiłam i nie znoszę, ale Robert mówi, że jest najlepszą z pielęgniarek, jakie mieliśmy do tej pory.

— Jest dość przystojna — powiedziała Emilia.

— Gdzież tam! Z tymi paskudnymi, czerwonymi łapskami? Emilia spojrzała na długie, białe palce ciotki, dotykające dzbaneczka z mlekiem i szczypiec do cukru.

Weszła Beatrice, wzięła filiżankę herbaty i talerz z sandwiczami i opuściła pokój.

— Wszystko to wytrąciło Roberta z równowagi — powiedziała pani Gardner. — Doprowadza się do takich dziwnych stanów, sędzę, że to też stanowi część jego choroby.

— Nie znał dobrze kapitana Trevelyana, prawda? Jennifer Gardner potrząsnęła przecząco głową.

— Nie znał go i mój brat wcale go nie obchodził. Szczerze mówiąc, mnie samej trudno jest udawać, że jego śmierć mnie bardzo zasmuciła. To był okrutny, chciwy człowiek, Emilio. Wiedział, jak się borykamy. Ta bieda! Wiedział, że pożyczka we właściwym czasie mogła zapewnić Robertowi specjalną kurację i wszystko potoczyłoby się inaczej. No cóż, kara go nie ominęła.

Mówiła głębokim, smutnym głosem.

„Cóż za niezwykła kobieta — myślała Emilia. — Piękna i przerażająca jak postać z tragedii greckiej”.

— Może jeszcze nie będzie za późno — mówiła pani Gardner. — Napisałam dzisiaj do prawników w Exhampton, aby się dowiedzieć, czy mogłabym dostać z góry pewną sumę pieniędzy. Kuracja, o której mówiłam, ma wiele wspólnego ze znachorstwem, ale w wielu przypadkach okazała



się bardzo skuteczna. Emilio, jakież to będzie cudowne, gdy Robert znów będzie mógł chodzić! —  
Twarz jej rozjaśniła się, jakby padło na nią światło lampy.

Emilia była już zmęczona. Miała za sobą długi, pracowity dzień, jadła niewiele albo zgoła nic i wyczerpały ją tłumione emocje. Pokój oddalał się i przybliżał.

— Źle się czujesz, moja droga?

— Nie, wszystko w porządku — Emilia z trudem wykrztusiła te słowa i ku swemu zdziwieniu, irytacji i upokorzeniu wybuchnęła nagle płaczem.

Pani Gardner nawet nie usiłowała wstać, aby ją pocieszyć, za co Emilia była jej wdzięczna. Siedziała w milczeniu, dopóki łzy nie przestały płynąć.

Potem zamyślona powiedziała cicho:

— Biedne dziecko. To fatalne, że Jim Pearson został aresztowany... fatalne. Tak bym chciała, żeby coś się z związku z tym dało zrobić.

# Rozmowy

Zostawiony sam sobie Charles Enderby nie ustawał w wysiłkach, aby zaznajomić się z życiem, jakie toczyło się w wiosce Sittaford. Zwrócenie się w tym celu do pani Curtis przypominało odkręcenie kurka hydrantu. Słuchając w lekkim oszołomieniu strumienia opowieści, wspomnień, pogłosek i domysłów wraz z towarzyszącymi im drobiazgowymi szczegółami, usiłował mężnie odsiewać ziarno od plew. Następnie wymieniał kolejne nazwisko i natychmiast strumień wymowy zwracał się w tym kierunku. Dowiedział się wszystkiego o kapitanie Wyatcie, o jego tropikalnych humorach, grubiaństwie, o jego kłótniach z sąsiadami i rzadkich przyływach łaskawości, kierowanej zazwyczaj w stronę przystojnych młodych pań. O tym, jak dręczy swego hinduskiego służącego, jak dziwne ma pory posiłków, wraz z dokładnym opisem potraw, które się na nie składają. Dowiedział się o bibliotece pana Rycrofta, o jego środkach na wzmocnienie włosów, o ścisłym przestrzeganiu zasad czystości i punktualności, o jego przesadnym zainteresowaniu sprawami innych ludzi, o tym, że niedawno sprzedał kilka starych cennych przedmiotów osobistych, o jego niepojętym zamiłowaniu do ptaków oraz o ogólnym mniemaniu, że pani Willett chce go złapać na męża. Wysłuchiwał też wieści o panie Percehouse z jej ostrym językiem, o tym, jak znęca się nad swym siostrzeńcem, który to siostrzeniec podobno prowadzi wesołe życie w Londynie. Znowu słuchał o przyjaźni majora Burnaby'ego z kapitanem Trevelyanem, o ich wspomnieniach z przeszłości i upodobaniu do szachów. Usłyszał wszystko, co wiedziano o paniach Willett, włącznie z przekonaniem, że panna Violetta Willett tylko bałamuci pana Ronniego Garfielda i wcale jej na nim nie zależy. Dowiedział się, że chodzi ona na tajemnicze wycieczki na wrzosowiska i że widziano ją tam spacerującą z jakimś młodym człowiekiem. Niewątpliwie z tej przyczyny, jak podejrzewała pani Curtis, panie Willett przybyły do tego opuszczonego miejsca. Matka ją wywiozła, „aby skończyć z tym od razu”. Ale przecież „dziewczęta potrafią być znacznie bardziej przebiegłe, niż to się wydaje ich mamom!” Zastanawiająco mało natomiast można się było dowiedzieć o panu Duke'u. Przebywał tu od niedawna i jego zainteresowania ograniczały się do ogrodnictwa.

O wpół do czwartej pan Enderby wyruszył na spacer, gdyż kręciło mu się w głowie od rewelacji pani Curtis. Miał zamiar zacieśnić znajomość z siostrzeńcem panny Percehouse. Ostrożny rekonesans w sąsiedztwie domku panny Percehouse okazał się daremny, lecz szczęśliwym trafem wpadł na młodego człowieka, gdy ten wychodził właśnie, strapiiony, z bramy Rezydencji Sittaford. Z jego wyglądu można było wnioskować, że go stamtąd ostro odprawiono.

— Halo — powiedział Charles. — To pewnie dom kapitana Trevelyana?

— Zgadza się — potwierdził Ronnie.

— Chciałem rano zrobić jego zdjęcie. Do mojej gazety, wie pan — dodał. — Ale ta pogoda nie nadaje się do robienia zdjęć.

Ronnie przyjął to oświadczenie w dobrej wierze. Nie przyszło mu do głowy, że gdyby można było zrobić zdjęcia tylko przy pełnym słońcu, niewiele fotografii ukazywałoby się w codziennych gazetach.

— Pańska praca musi być bardzo interesująca, prawda?

— Psie życie — Charles był wierny konwencji nieokazywania zachwyty własną pracą. Spojrzał przez ramię na Rezydencję Sittaford. — Dość ponure miejsce, prawda?

— Ale nie ma pan pojęcia, jak tu się zmieniło, odkąd wprowadziły się panie Willett. W ubiegłym roku byłem tutaj mniej więcej o tej samej porze i aż trudno teraz uwierzyć, że to jest to samo miejsce, choć nie wiem, jak one tego dokonały. Trochę przesunęły meble, porozrzucały gdzieś ozdobne poduszki i takie różne rzeczy. Mówię panu, ich pobyt tutaj to dla mnie dar niebios.

— W ogóle nie jest to chyba zbyt wesoła miejscowość — mówił Charles.

— Wesoła? Gdybym tu mieszkał dwa tygodnie, tobym chyba skończył z nudów. Pojęcia nie mam, jak mojej ciotce udaje się tu żyć. Nie widział pan jeszcze jej kotów, prawda? Musiałem wyczesać jednego z nich dziś rano i proszę spojrzeć, jak ta bestia mnie podrapała — wyciągnął rękę.

— A to pech — stwierdził Charles.

— Jeszcze jaki. Aha, czy prowadzi pan jakieś śledztwo? Jeśli tak, czy mogę panu pomóc? Być Watsonem przy Sherlocku, czy coś w tym rodzaju?

— Czy są jakieś poszlaki w Rezydencji Sittaford? — wymijająco zapytał Charles. — To znaczy, czy kapitan Trevelyan zostawił tu jakieś swoje rzeczy?

— Chyba nie. Jak mówi moja ciotka, zabrał ze sobą cały kram: słoniowe nogi, kły hipopotama, wszystkie sportowe strzelby i takie tam rzeczy.

— Prawie tak, jak gdyby nie miał zamiaru wracać — powiedział Charles.

— A to dobry pomysł, wie pan? Nie sądzi pan, że to było samobójstwo?

— Człowiek, który potrafiłby się zabić celnym uderzeniem worka z piaskiem w tył głowy, zasługiwałby na miano artysty w świecie samobójców — zauważył Charles.

— Tak, rzeczywiście, to kiepski pomysł. Ale wygląda na to, że miał jakieś przeczucie — twarz Ronniego rozjaśniła się. — Proszę posłuchać, a może coś takiego? Jacyś wrogowie są na jego tropie, on wie, że się pojawią, więc zmywa się i zwała wszystko na panie Willett.

— Wystarczającym cudem jest samo pojawienie się pań Willett — zauważył Charles.

— Właśnie, nie mogę tego pojąć. Dziwne: zaszyć się w takiej okolicy. Violetta się nie żali, mówi, że jej to właściwie odpowiada. Nie wiem, co się z nią dzisiaj stało, może te kłopoty domowe. Nie mam pojęcia, dlaczego kobiety tak się przejmują służbą. Jak się robi dokuczliwa, to się ją zwalnia i już.

— Przecież tak właśnie zrobiły, nieprawdaż? — powiedział Charles.

— No, tak. Ale strasznie się denerwuję. Matka leży w ataku hysterii czy coś w tym rodzaju, a córka ciska się jak wściekła. Dopiero co prawie mnie wypchnęła z domu.

— Czy była u nich policja? Ronnie wytrzeszczył oczy.

— Policja? Nie, dlaczego?

— Tak sobie pomyślałem, gdy dziś rano zobaczyłem inspektora Narracotta w Sittaford.

Ronnie z trzaskiem upuścił laskę i schylił się, aby ją podnieść.

— Co pan mówi, kto był dziś rano w Sittaford? Inspektor Narracott?

— Tak.

— Czy on... czy to ten, co prowadzi sprawę Trevelyana?

— Zgadza się.

— Co on robił w Sittaford? Gdzie go pan widział?

— Chyba węszył, to tu, to tam — powiedział Charles. — Jakby to powiedzieć... ustalał fakty z przeszłości kapitana Trevelyana.

— Sądzi pan, że to wszystko?

— Tak przypuszczam.

— Chyba nie uważa, że ktokolwiek w Sittaford ma coś wspólnego z tą sprawą?

— To przecież mało prawdopodobne, prawda?

— Wcale. Ale wie pan, jaka jest policja. Zawsze biorą niewłaściwy kurs. Przynajmniej tak się dzieje w powieściach kryminalnych.

— Moim zdaniem to bardzo inteligentni ludzie — powiedział Charles. — Oczywiście prasa robi co może, aby im pomóc — dodał. — Jak się uważnie przyjrzeć jakiejś sprawie, to wręcz zdumiewa sposób, w jaki potrafią wytropić morderców, nie mając prawie żadnych dowodów rzeczowych.

— Och, no cóż, miło to usłyszeć. Rzeczywiście szybko złapali tego Pearsona. To chyba dość oczywista sprawa.

— Jasna jak słońce — stwierdził Charles. — Dobrze, że to ani pan, ani ja, prawda? No cóż, muszę wysłać kilka telegramów. Tu na poczcie nie są przyzwyczajeni do długich telegramów. Jak wysyła się telegram za więcej niż pół korony, to patrzą na człowieka jak na wariata.

Charles wysłał swoje telegramsy, kupił paczkę papierosów, kilka cukierków wątpliwej świeżości i

dwie wiekowe powieści kieszonkowe. Wrócił do domku, rzucił się na łóżko i spokojnie zasnął, nieświadomy faktu, że wokół niego, i to w pobliżu, on sam i jego sprawy, a w szczególności osoba panny Emilii Trefusis, są obiektem szczegółowych rozważań.

Można śmiało powiedzieć, że w tym czasie tylko trzy wydarzenia były tematem rozmów w Sittaford. Jednym z nich było morderstwo, następnym ucieczka więźnia, a ostatnim panna Emilia Trefusis i jej kuzyn. I rzeczywiście tak się zdarzyło, że w pewnej chwili panna Emilia była głównym tematem czterech oddzielnie toczonych rozmów.

Rozmowa numer jeden toczyła się w Rezydencji Sittaford, gdzie Violetta i jej matka z powodu odejścia służby same zmywały po podwieczorku.

— To pani Curtis mi powiedziała — rzekła Violetta. Nadal wyglądała blado i mizernie.

— Gadanina tej kobiety jest wręcz chorobliwa — stwierdziła jej matka.

— Wiem, mamó. Więc ta dziewczyna zatrzymała się właśnie u niej z kuzynem czy też kimś w tym rodzaju. Rzeczywiście wspomniała rano, że jest u pani Curtis, ale sądziłam, że to tylko z powodu braku miejsca u panny Percehouse. A teraz się okazuje, że poznała pannę Percehouse dopiero dziś rano. Nigdy wcześniej jej nie widziała.

— Nie znoszę tej kobiety — powiedziała pani Willett.

— Pani Curtis?

— Nie, tej Percehouse. Kobiety tego rodzaju są niebezpieczne. Żyją tym, czego mogą się dowiedzieć o innych. Wysłała tutaj tę dziewczynę po przepis na ciasto kawowe! Chętnie bym jej posłała zatrute ciasto. Raz na zawsze przestałyby się wtrącać w sprawy innych ludzi.

— Powinnam była chyba się domyślić... — zaczęła Violetta, lecz matka jej przerwała.

— Skąd mogłaś wiedzieć, moja droga! Nic złego się w końcu nie stało.

— Ale jak sądzisz, po co ona tu przyszła?

— Nie miała chyba na myśli nic określonego, przyszła tylko na przeszpiegi. Czy pani Curtis jest pewna, że to narzeczona Jima Pearsona?

— O ile wiem, dziewczyna sama powiedziała to dzisiaj panu Rycroftowi, a pani Curtis mówi, że podejrzewała to od pierwszej chwili.

— Wobec tego cała sprawa wygląda naturalnie. Rozgląda się bezradnie za czymś, co mogłoby jej pomóc.

— Nie widziałaś jej, mamó — powiedziała Violetta. — Ona nie wygląda na bezradną.

— Żałuję, że jej nie widziałam — odparła pani Willett. — Ale moje nerwy były w strzępach dziś

rano. Przypuszczam, że to reakcja na wczorajsze przesłuchanie przez tego inspektora policji.

— Byłaś cudowna, mamó. Gdybym tylko ja nie okazała się tak beznadziejnie głupia, żeby nagle zemdleć. Och! Wstyd mi, że zrobiłam z siebie takie widowisko, podczas gdy ty byłaś cudownie spokojna i opanowana, ani włos ci nie drgnął na głowie.

— Mam niezłą praktykę — powiedziała pani Willett twardym, oschłym głosem. — Gdybyś przeszła przez to, co ja przeszłam... ale mam nadzieję, że nigdy cię to nie spotka, moje dziecko. Ufam i wierzę, że oczekuje cię szczęśliwe, spokojne życie.

Violetta potrząsnęła głową.

— Boję się, boję się...

— Nonsens — a co do tego, że, jak mówisz, urządziłaś widowisko, to nic z tych rzeczy. Nie martw się.

— Ale inspektor może sobie pomyśleć...

— Że to wzmianka o Jimie Pearsonie sprawiła, że zemdlałaś? Tak, tak właśnie pomyśli. Inspektor Narracott nie jest głupcem. Ale cóż z tego, że tak pomyśli. Będzie przekonany, że istnieje tu jakiś związek, będzie go szukał — i nic nie znajdzie.

— Myślisz, że nie?

— Oczywiście! W jaki sposób? Zaufaj mi, Violetto, kochanie. To niepodważalny pewnik i może w jakiś sposób to twoje zemdlecie było szczęśliwym trafem. Tak trzeba na to patrzeć.

Rozmowa numer dwa odbywała się w domku majora Burnaby'ego i była nieco jednostronna, gdyż lwia jej część przypadła pani Curtis. Wpadła do majora, aby zabrać brudną bieliznę do prania, i od pół godziny zbierała się do odejścia.

— Zupełnie jak Belinda mojej ciotecznej babki Sary, tak właśnie powiedziałam Curtisowi dzisiaj rano — mówiła pani Curtis triumfalnie. — Chytra sztuka, taka, co to potrafi owinąć sobie wszystkich mężczyzn wokół małego palca.

Major Burnaby odchrząknął mocno.

— Zaręczona z jednym młodym człowiekiem, a zawraca głowę drugiemu — ciągnęła pani Curtis. — To cała Belinda mojej ciotecznej babki Sary. I to nie dla zabawy, proszę zwrócić uwagę. To nie niestałość, chytra z niej sztuka. A teraz ten młody pan Garfield! Zwabiła go w okamgnieniu. Nigdy nie widziałam, żeby młody dżentelmen miał tak zbaraniałą minę jak on dzisiaj rano, a to pewny znak.

Przerwała dla złapania oddechu.

— Tak, tak — powiedział major Burnaby. — Nie chcę pani dłużej zatrzymywać.

— Rzeczywiście, Curtis czeka na podwieczorek — mówiła pani Curtis, nie ruszając się z miejsca. — Nigdy nie byłam z tych, co to wystają i plotkują. Ruszaj ze swoją robotą, tak zawsze mówię. A mówią o robocie, co by pan powiedział na gruntowne porządki?

— Nie! — zaprotestował z mocą major Burnaby.

— Ostatnie były już miesiąc temu.

— Zdecydowanie nie. Muszę wiedzieć, gdzie co mogę znaleźć, a po jednym z tych ostatnich sprzątań nic nie było na swoim miejscu.

Pani Curtis westchnęła. Jej namiętnością było sprzątanie i generalne porządki.

— Kapitan Wyatt też powinien zrobić wiosenne porządki — zauważyła. — Ten jego wstrętny tubylec, co on może wiedzieć o sprzątanu, ciekawe? Wstrętny brudas.

— Nie ma nic lepszego jak służba z kolonii — oświadczył major Burnaby. — Znają swoją pracę i nie gadają.

Aluzja, jaką zawierało ostatnie zdanie, nie dotarła do pani Curtis. Powróciła do poprzedniego tematu.

— Dostała dwa telegramy. Nadeszły w ciągu pół godziny. Aż mną wstrząsnęło. Ale ona przeczytała je spokojnie jak gdyby nigdy nic. A potem mi powiedziała, że jedzie do Exeter i wróci dopiero jutro.

— Czy zabrała może ze sobą swego młodego człowieka? — zapytał major z przebłyskiem nadziei.

— Nie, jest tu nadal. Sympatyczny młody pan. Byłaby z nich ładna para.

Major Burnaby chrząknął.

— No cóż — powiedziała pani Curtis. — Muszę już iść. Major ledwie odważył się odetchnąć z obawy, że coś może ją odwieść od tego zamiaru. Ale tym razem pani Curtis dotrzymała słowa i drzwi się za nią zamknęły.

Z westchnieniem ulgi major wyciągnął fajkę i zaczął uważnie czytać prospekt pewnej kopalni, zredagowany w słowach tak optymistycznych, że wzbudziłby podejrzenia każdego zainteresowanego, z wyjątkiem wdów i emerytowanych oficerów.

— Dwanaście procent — mrucał major Burnaby. — Brzmi nieźle...

W sąsiednim domku kapitan Wyatt przemawiał autorytatywnie do pana Rycrofta.

— Ludzie tacy jak pan — mówił — nic nie wiedzą o świecie. Pan nigdy nie żył. Pan nigdy nie doświadczył biedy.

Pan Rycroft milczał. Tak łatwo było powiedzieć kapitanowi Wyattowi coś niewłaściwego, że zwykle bezpieczniej było po prostu nic nie odpowiadać.

Kapitan przechylił się na jedną stronę swego inwalidzkiego fotela.

— Gdzie się podziała ta suka? Przystojna dziewczyna — dodał.

Jednoczesne łączenie różnych wątków było dla umysłu kapitana czymś najzupełniej naturalnym, mniej naturalnym natomiast dla pana Rycrofta, który obrzucił go zgorszonym spojrzeniem.

— Co ona tu robi? Chciałbym się tego dowiedzieć — zażądał kapitan Wyatt. — Abdul!

— Sahib?

— Gdzie jest Bully? Czy znów gdzieś wyleciała?

— Ona w kuchnia, sahib.

— Dobrze, nie karm jej. — Opadł z powrotem na oparcie fotela i kontynuował drugi wątek. — Czego ona tu chce? Z kim będzie rozmawiać w takim miejscu? Takie stare pierniki jak pan zanudza, ją na śmierć. Zamieniłem z nią rano parę słów. Myślę, że była zaskoczona znajdując w tym miejscu kogoś takiego jak ja.

Podkręcił węża.

— To narzeczona Jima Pearsona — powiedział pan Rycroft. — Wie pan, tego młodego człowieka, który został aresztowany w związku z zamordowaniem Trevelyana.

Wyatt z trzaskiem upuścił na podłogę szklaneczkę z whisky, którą właśnie podnosił do ust. Po czym natychmiast ryknął na Abdula i zwymyślał go w niewybrednych słowach za to, że nie umieścił stołu pod odpowiednim kątem do jego fotela. Następnie podjął rozmowę.

— A więc to tak. Za dobra dla takiego typka. Taka dziewczyna potrzebuje prawdziwego mężczyzny.

— Młody Pearson jest bardzo przystojny — powiedział pan Rycroft.

— Przystojny, przystojny. Dziewczynie nie jest potrzebny manekin fryzjerski. Co taki młody człowiek, który codziennie siedzi w biurze, wie o życiu? Jakie ma życiowe doświadczenia?

— Może doświadczenie procesu o morderstwo będzie wystarczającym doświadczeniem życiowym na długie lata — stwierdził sucho pan Rycroft.

— Policja jest pewna, że to zrobił, co?

— Muszą być całkiem pewni, inaczej by go nie aresztowali.



— Wiejskie gamonie — stwierdził kapitan Wyatt pogardliwie.

— Niezupełnie — odparł pan Rycroft. — Inspektor Narracott zrobił na mnie dziś rano wrażenie człowieka odpowiedzialnego i kompetentnego.

— Gdzie pan go widział dziś rano?

— Wpadł do mnie.

— A do mnie nie wpadł — powiedział kapitan Wyatt urażonym tonem.

— Przecież pan nie był bliskim przyjacielem Trevelyana, nieprawdaż?

— Nie wiem, o czym pan mówi. Trevelyan był kutwą i powiedziałem mu to prosto w twarz. I nie mógł mną dyrygować. I nie płaszczyłem się przed nim jak reszta. I stale do mnie wpadał. Wpadał! Za dużo tego wpadania. Jak nie chcę kogoś widzieć przez tydzień, przez miesiąc czy przez rok, to wyłącznie moja sprawa.

— Nie widział pan nikogo od tygodnia, prawda? — spytał pan Rycroft.

— Nie, a dlaczego bym miał widzieć? — Rozgniewany inwalida trzasnął pięścią w stół. Pan Rycroft zdał sobie sprawę, że jak zwykle powiedział coś niewłaściwego. — Dlaczego bym miał kogoś widzieć, do jasnej cholery. Niech mi pan powie!

Pan Rycroft przezornie milczał i gniew kapitana stopniowo wygasł.

— Niemniej — warknął — jeżeli policja chce się czegoś dowiedzieć o Trevelyanie, to powinni się zwrócić do mnie. Wędrowałem po świecie i mam wyrobiony sąd. Mogę ocenić, ile ktoś jest wart. A po co łązić do zgrzybiałych staruchów i starych bab. Męska ocena, oto, czego im trzeba.

Znów walnął w stół.

— Jednak — powiedział pan Rycroft — sądzę, że sami wiedzą, czego mają szukać.

— Dowiadawali się o mnie? — pytał kapitan Wyatt. — Oczywiście pytali.

— No cóż, ee, nie mogę sobie przypomnieć — ostrożnie odpowiedział pan Rycroft.

— Dlaczego nie może pan sobie przypomnieć, przecież pan jeszcze nie zdziecinniał.

— Sądzę, że byłem, hm, zdenerwowany — rzekł pan Rycroft uspokajająco.

— Był pan zdenerwowany? Boi się pan policji? Ja się jej nie boję. Niech tu przyjdą, to ja im pokażę. Wie pan, że wczoraj wieczór zastrzeliłem kota z odległości stu jardów?

— Naprawdę? — spytał pan Rycroft.

Kapitan, ku wielkiemu utrapieniu sąsiadów, miał zwyczaj strzelania z rewolweru do prawdziwych czy urojonych kotów.

— Zmęczony jestem — powiedział nagle. — Napije się pan jeszcze przed wyjściem?

Słusznie interpretując tę aluzję pan Rycroft wstał. Kapitan Wyatt nadal jednak nalegał, aby jeszcze się napił.

— Byłby pan prawdziwym mężczyzną, gdyby pan więcej pił. Mężczyzna, który nie lubi się napić, to żaden mężczyzna.

Lecz pan Rycroft nadal wzbraniał się przed poczęstunkiem. Wypił już jedną szklaneczkę wyjątkowo mocnej whisky z wodą sodową.

— Jaką herbatę pan pije? — pytał Wyatt. — Nic nie wiem o herbacie. Powiedziałem Abdulowi, żeby jakąś kupił. Może ta dziewczyna wpadnie kiedyś na herbatę. Cholernie ładna dziewczyna. Coś dla niej muszę zrobić. Musi zanudzać się na śmierć w takim miejscu, nie mając z kim pogadać.

— Jest z nią pewien młody człowiek — powiedział pan Rycroft.

— Obecni młodzi ludzie doprowadzają mnie do mdłości — stwierdził kapitan Wyatt. — Jakiż z nich pożytek?

Ponieważ trudno było stosownie odpowiedzieć na to pytanie, pan Rycroft nawet nie usiłował tego zrobić, tylko zebrał się do odejścia. Bullterierka odprowadziła go do furtki napędzając mu tęgiego stracha.

W domku Nr 4 panna Percehouse rozmawiała ze swym siostrzeńcem Ronaldem.

— O ile chce ci się uganiać za tą dziewczyną, która nie zwraca na ciebie uwagi, to twoja sprawa, Ronaldzie — mówiła. — Lepiej trzymaj się tej panny Willett. Tam możesz mieć jakąś szansę, choć wydaje mi się to bardzo mało prawdopodobne.

— Och, ależ ciociu — protestował Ronnie.

— Następną rzeczą, jaką muszę ci powiedzieć, jest to, że skoro w Sittaford pojawił się oficer policji, powinnam być o tym z miejsca powiadomiona. Kto wie, może mogłabym mu udzielić cennych informacji.

— Ja sam się o tym dowiedziałem dopiero, jak wyjechał.

— To takie do ciebie podobne, Ronnie. Niezmiernie typowe.

— Przepraszam, ciociu Karolino.

— A kiedy malujesz mebelki ogrodowe, to nie ma potrzeby malować sobie również twarzy. Uroku ci to nie dodaje, a farby szkoda.

— Przepraszam, ciociu Karolino.

— A teraz — powiedziała panna Percehouse zamykając oczy — nie spieraj się już ze mną. Jestem zmęczona.

Ronnie zaszurał nogami i przybrał nieszczęśliwą minę.

— O co chodzi? — spytała ostro panna Percehouse.

— Och, nic, tylko...

— Tak?

— Właśnie... zastanawiałem się, czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym jutro wpadł do Exeter.

— Po co?

— Chcę się tam spotkać z jednym facetem.

— Jakim facetem?

— Takim jednym...

— Jeżeli młody człowiek chce kłamać, to powinien umieć robić to przekonująco — powiedziała panna Percehouse.

— Ach, ciociu, ależ...

— Nie przepraszaj.

— No to w porządku? Mogę pojechać?

— Nie wiem, o co ci chodzi, gdy pytasz „mogę pojechać?”, jakbyś był małym dzieckiem. Masz już ponad dwadzieścia jeden lat.

— Tak, ale chodzi mi o to, że nie chcę...

Panna Percehouse znów zamknęła oczy.

— Już cię raz prosiłam, żebyś się ze mną nie sprzeczał. Jestem zmęczona i chcę odpocząć. Jeżeli ten „facet”, którego spotkasz w Exeter, nosi spódnicę i nazywa się Emilia Trefusis, to tym większym jesteś durniem. To wszystko, co ci mam do powiedzenia.

— Ależ, ciociu, posłuchaj...

— Jestem zmęczona, Ronaldzie. Dosyć już.

# Nocne przygody Charlesa

Charles nie był zachwycony czekającą go perspektywą nocnego czuwania. Osobiście uważał, że będzie to najpewniej daremny trud. Emilia, myślał, ma chyba zbyt bujną wyobraźnię. Był przekonany, że kilku podsłuchanym słowom nadała znaczenie, które narodziło się w jej własnej głowie. Najprawdopodobniej pani Willett wzdychała, aby noc już nadeszła, z powodu zwykłego zmęczenia.

Charles wyjrzał przez okno i wstrząsnął nim dreszcz. Noc była przenikliwie zimna, przykra i mglista — ostatnia noc, jaką chciałoby się spędzić na łożeniu i oczekiwaniu, że wydarzy się coś wręcz mgławicowego.

Nie ośmielił się jednak ulec pokusie i pozostać w domu. Przypomnił mu się lekki, melodyjny głos Emilii, gdy mówiła: „Jakie to cudowne, że ma się kogoś, na kim można polegać”.

Polegała na nim, na Charlesie, i nie będzie polegać na próżno. Co? Zawieść tę piękną, bezradną dziewczynę? Nigdy! Poza tym, rozmyślał, wdziękając całą zapasową bieliznę, jaką miał, i naciągając na siebie dwa swetry i płaszcz, sytuacja byłaby piekielnie nieprzyjemna, gdyby Emilia po powrocie odkryła, że nie dotrzymał obietnicy. Pewnie by mu powiedziała dużo przykrych rzeczy. Nie, nie może ryzykować. A co do tego, co może się zdarzyć... Kiedy i jak miało się to coś wydarzyć? Nie może przecież być wszędzie naraz. Może to, co ma się zdarzyć, wydarzy się w Rezydencji Sittaford, i on nigdy się o tym nie dowie.

„Jak to dziewczyna — sarkał w duchu. — Udaje się w podskokach do Exeter, a mnie zostawia całą brudną robotę”.

I znów przypomniał sobie melodyjny głos Emilii, gdy wyrażała mu swe zaufanie, i zawstydził się swego wybuchu.

Skończył się ubierać — byle jak, w pośpiechu — i potajemnie wymknął się z domku.

Noc była nawet bardziej zimna i nieprzyjemna niż się spodziewał. Czy Emilia zdawała sobie sprawę, ile miał dla niej wycierpieć? Miał nadzieję, że tak.

Delikatnie wsunął rękę do płaszcza i pogłaskał flaszkę, ukrytą w lewej kieszeni.

„Oto najlepsza przyjaciółka mężczyzny — zamruczał. — Zwłaszcza na taką noc jak teraz”.

Z odpowiednimi środkami ostrożności wkroczył na teren Rezydencji Sittaford. Panie Willett nie trzymały psa, nie groziło mu więc nic od tej strony. Światło w domku ogrodnika wskazywało, że ktoś jest w środku. Rezydencja Sittaford pogrążona była w ciemności z wyjątkiem jednego oświetlonego okna na pierwszym piętrze.

„Te dwie kobiety są same w domu — myślał Charles. — Nie chciałbym być tam sam, gęziej skórki

można dostać!”

Przypuszczał, że Emilia dobrze dosłyszała słowa „czy ta noc nigdy nie nadejdzie?” Cóż to miało znaczyć?

„Ciekaw jestem — myślał — czy one nie chcą się wymknąć cichaczem? No cóż, cokolwiek się wydarzy, jest tu mały Charles i wszystko zobaczy”.

Okrzyżył dom w bezpiecznej odległości. Dzięki mglistej nocy nie bał się, że ktoś go zauważy. Wszystko wydawało się takie jak zwykle. Ostrożnie sprawdził budynki gospodarcze — były zamknięte.

„Mam nadzieję, że coś się wreszcie wydarzy — mówił sobie Charles w miarę upływu godzin. Wypił niewielki łyżeczek ze swojej flaszki. — Nigdy w życiu tak nie zmarłem. Nawet na wojnie nie mogło być gorzej”.

Zerknął na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że jest dopiero za dwadzieścia dwunasta. A był przekonany, że już niedługo świt.

Nieoczekiwany odgłos sprawił, że z podnieceniem nadstawił uszu. Był to odgłos delikatnego otwierania zasuwy i dochodził od strony domu. Charles przebiegł bezszelestnie od krzaka do krzaka. Tak, miał rację, małe boczne drzwi otwierały się powoli. Na progu stała ciemna postać i wpatrywała się niespokojnie w mrok nocy.

„Pani albo panna Willett — stwierdził w duchu Charles. — Chyba to nadobna Violetta”.

Poczekawszy minutę czy dwie, postać wyszła na ścieżkę, zamknęła za sobą bezszelestnie drzwi i zaczęła się oddalać od domu w kierunku przeciwnym do frontowego podjazdu. Szła ścieżką, która biegła na tyłach Rezydencji Sittaford, przecinała małą kępę drzew i wiodła dalej, na wrzosowiska.

Ścieżka ta zakręcała blisko krzaków, gdzie ukrywał się Charles, tak blisko, że mógł rozpoznać mijającą go kobietę. Miał całkowitą rację, była to Violetta Willett. Okrywał ją długi, ciemny płaszcz, na głowie miała берет.

Szła przed siebie, a Charles podążał za nią możliwie jak najciszej. Nie obawiał się, że go zobaczy, ale mogła usłyszeć. Nie chciał przerazić dziewczyny, więc ruszył za nią w dużej odległości. Obawiał się przez chwilę, że ją zgubi, ale gdy i on z kolei okrążył pośpiesznie kępę drzew, zobaczył, że stoi dość blisko. W niskim murku otaczającym posesję była furtka. Violetta Willett stanęła, oparła się o nią i wbijała wzrok w ciemność nocy.

Charles podkradł się najbliżej jak mógł i czekał. Czas mijał. Dziewczyna miała z sobą małą kieszonkową latarkę i raz czy dwa włączyła ją na chwilę kierując światło zapewne na zegarek, po czym znów oparła się o furtkę i znieruchomiała w oczekiwaniu. Nagle Charles usłyszał cichy gwizd, powtórzony dwa razy.

Dziewczyna gwałtownie drgnęła. Przechyliła się przez furtkę i z jej ust wydobył się ten sam sygnał — cichy gwizd powtórzony dwa razy. I wtedy z mroku nocy wyłoniła się nagle męska postać.

Dziewczyna wydała cichy okrzyk. Cofnęła się o krok czy dwa, furtka otworzyła się do wewnątrz i mężczyzna wszedł. Dziewczyna coś do niego mówiła cicho i pośpiesznie. Charles nie mógł dosłyszeć, o czym mówią, i dość nierozważnie przysunął się bliżej. Pod stopą trzasnęła mu gałązka. Mężczyzna odwrócił się natychmiast.

— Co to? — spytał.

Dostrzegł oddalającą się postać Charlesa.

— Hej, ty tam, zatrzymaj się! Co tu robisz?

Jednym susem skoczył za Charlesem. Ten odwrócił się i chwycił go zręcznie. W chwilę potem przewracali się po ziemi szepieni silnym uściskiem. Szamotanina trwała krótko. Przeciwnik Charlesa był znacznie cięższy i silniejszy. Wstał, ciągnąc za sobą jeńca.

— Włącz latarkę, Violetto — powiedział. — Zobaczymy co to za facet.

Przerażona dziewczyna, która stała o kilka kroków dalej, podeszła teraz i posłusznie włączyła latarkę.

— To musi być ten człowiek, co zatrzymał się w wiosce — powiedziała. — Dziennikarz.

— Co? Dziennikarz? — wykrzyknął mężczyzna. — Nie znoszę tej zgrai. Co tu robisz, śmierdziu, węsząc na prywatnym terenie o tej porze nocy?

Latarka zakołysała się w ręku Violetty. Po raz pierwszy Charles ujrzał swego przeciwnika w pełnym świetle. Od kilku minut cieszył się zwariowaną nadzieją, że nocny gość może się okazać zbiegłym więźniem. Jedno spojrzenie rozwiało te mrzonki. Był to młody człowiek w wieku najwyżej dwudziestu czterech, dwudziestu pięciu lat. Wysoki, przystojny i zdecydowany — nic w nim nie było ze ściganego więźnia.

— No więc — powiedział ostro — jak się nazywasz?

— Nazywam się Charles Enderby — powiedział Charles i dodał: — Pan nie podał mi jeszcze swojego nazwiska.

— Co za bezczelność!

Nagły błysk natchnienia spłynął na Charlesa. Nieraz już intuicja wybawiała go z opresji. Postanowił strzelić w ciemno, ale był pewny, że się nie myli.

— Sądzę jednak — powiedział spokojnie — że mogę je odgadnąć.

— Co?

Nieznajomy był najwyraźniej zaskoczony.

— Zdaje mi się — powiedział Charles — że mam przyjemność rozmawiać z panem Brianem Pearsonem z Australii. Czy mam rację?

Nastąpiła cisza — długa cisza. Charles odniósł wrażenie, że role się odwróciły.

— Nie mam pojęcia, skąd do diabła pan to wie — wykrztusił w końcu mężczyzna. — ale ma pan rację. Nazywam się Brian Pearson.

— W takim razie — powiedział Charles — chyba lepiej przenieśmy się do domu, aby omówić sprawę.

# W Hazelmoore

Major Burnaby sprawdzał swoje rachunki lub — używając zwrotu Dickensa — zajmował się swoimi finansami. Major był człowiekiem niezmiernie metodycznym. W księdze oprawnej w cielecą skórę prowadził wykaz zakupionych i sprzedanych akcji oraz towarzyszący transakcjom zysk lub stratę — zwykle stratę, bo majora, podobnie jak większość emerytowanych wojskowych, przyciągał wysoki zysk, a nie skromne, ale gwarantujące opłacalność oprocentowanie.

„Te szyby naftowe zapowiadały się niezłe — mrucał. — Wyglądało na to, że powinienem być na nich zbić fortunę. A są prawie tak niekorzystne jak ta kopalnia diamentów! Ziemia w Kanadzie to powinien być dobry interes”.

Przerwał mu te rozważania pan Ronald Garfield, wsadzając głowę przez otwarte okno.

— Halo! — zawołał pogodnie. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

— Jeżeli chce pan wejść, proszę iść do drzwi frontowych — powiedział major Burnaby. — Proszę uważać na ogródek skalny, pewnie pan na nim w tej chwili stoi.

Ronnie cofnął się z przeprosinami i wkrótce pojawił się u drzwi frontowych.

— Niech pan wytrze nogi w wycieraczkę, jeśli łaska! — krzyknął major.

Młodzi ludzie niezmiernie go drażnili. Właściwie pierwszym młodym człowiekiem, do którego poczuł jakąś życzliwość, był ten dziennikarz, Charles Enderby.

„Miły, młody chłopak — mówił do siebie major. — I tak się zainteresował moją opowieścią o wojnie burskiej”.

W stosunku do Ronniego Garfielda major nie odczuwał żadnej życzliwości. Właściwie wszystko, co nieszczęsny Ronnie mówił czy robił, działało mu na nerwy. Ale cóż, gościnność obowiązuje.

— Napije się pan czegoś? — spytał major zgodnie z tradycją.

— Dziękuję, nie. Właściwie to wpadłem, żeby się dowiedzieć, czy moglibyśmy pojechać razem. Chcę pojechać do Exhampton i dowiedziałem się, że zamówił pan Elmera, żeby tam pojechać.

Burnaby skinął głową.

— Muszę uporządkować rzeczy Trevelyana — wyjaśnił. — Policja już tam swoje zrobiła.

— Widzi pan — zaczął Ronnie z zakłopotaniem — szczególnie mi zależy na tym, żeby się dzisiaj dostać do Exhampton. Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać razem i podzielić koszt po połowie. No i co pan na to?



— Oczywiście — powiedział major. — Zgadza się. Ale lepiej by panu zrobiło, jakby się pan przeszedł na piechotę — dodał. — Ćwiczenie. Nikt z was, młodych ludzi, nie lubi obecnie wysiłku. Sześć mil w tamtą stronę i sześć z powrotem szybkim krokiem świetnie by panu zrobiło. Ja sam bym ruszył na piechotę, gdyby nie to, że muszę przywieźć pewne rzeczy Trevelyana. Wygodnictwo to przekleństwo naszych czasów.

— No cóż — powiedział Ronnie — ja tam nie lubię się wysilać. Ale cieszę się, żeśmy uzgodnili wyjazd. Elmer mówił, że wyrusza pan o jedenastej. Zgadza się?

— Zgadza.

— Świetnie. Będę o jedenastej.

Ale Ronnie nie dotrzymał słowa. Zjawił się na miejscu według niego punktualnie, to znaczy dziesięć minut po jedenastej, i zastał wściekłego i zirytowanego majora Burnaby'ego, który nie był skłonny dać się ułagodzić zdawkowymi przeprosinami.

„Ile te stare niedołęgi robią zamieszania — pomyślał Ronnie. — Nie zdają sobie sprawy, jakie utrapienie sprawiają wszystkim z tą ich punktualnością, robieniem wszystkiego co do minuty, z ich przeklętymi ćwiczeniami i sprawnością fizyczną”.

Przez kilka minut bawił się w duchu wizją małżeństwa pomiędzy majorem Bumabym a jego ciotką. Które z nich wzięłoby górę? — zastanawiał się. Chyba jednak ciotka. Miło pomyśleć, jak klaszcze w dłonie i wydaje przenikliwe okrzyki, aby przywołać do siebie majora.

Odpędził jednak te myśli i postanowił rozpocząć pogodną rozmowę.

— Sittaford robi się całkiem wesołym miejscem, prawda? Panna Trefusis i ten facet Enderby, i ten chłopak z Australii. Nawiasem mówiąc, skąd on tu się wziął? Pojawił się rano jak Filip z konopi. Ciotce nie daje to spokoju, aż posiniała ze złości.

— Mieszka u pani Willett — odrzekł cierpko major Bumaby.

— Tak, ale skąd się tam wziął? Nawet panie Willett nie mają prywatnego lotniska. Wie pan, myślę, że jest coś diabelnie tajemniczego w osobie tego Pearsona. I ma, powiedziałbym, coś nieprzyjemnego w oczach. Bardzo nieprzyjemny błysk. Podejrzewam, że to on załatwił biednego starego Trevelyana.

Major nie odzywał się.

— Bo ja tak na to patrzę — ciągnął Ronnie — ludzie, którzy udają się do kolonii, to zwykle nic dobrego. Krewni ich nie lubią i dlatego ich tam wysyłają. No i w porządku. Tak się sprawy mają. I taki nicpoń wraca, nie ma pieniędzy, odwiedza zamożnego wujka około Bożego Narodzenia, zamożny krewny nie chce wybulić forsy ubogiemu siostrzeńcowi, no i ubogi siostrzeniec daje mu po łbie. Oto moja teoria.

— Powinien pan donieść o tym policji — zaproponował major Burnaby.

— Myślałem, że może pan to zrobić — powiedział pan Garfield. — Przecież jest pan kumplem Narracotta, nieprawdaż? A przy okazji, czy on nie węszył znów w Sittaford?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— A nie spotka się z panem dzisiaj w domu Trevelyana? Zwięzłość odpowiedzi majora zaczęła wreszcie docierać do Ronniego.

— No cóż — powiedział wymijająco — tak to tak — i popadł w zamyślane milczenie.

Samochód zatrzymał się w Exhampton przed Trzema Koronami. Ronnie wyskoczył i ustaliwszy z majorem godzinę powrotu na wpół do piątej ruszył w kierunku sklepów, jakie Exhampton miało do zaoferowania.

Major udał się najpierw do pana Kirkwooda. Po krótkiej rozmowie wziął klucze i wyruszył do Hazelmoor.

Powiedział Evansowi, że spotkają się tam o dwunastej i zobaczył, że wierny służący czeka już na progu. Z ponurą miną major Burnaby wsunął klucz do drzwi frontowych i wszedł do pustego domu, a Evans tuż za nim. Nie był tu od czasu wieczornej tragedii i mimo żelaznego postanowienia, że nie okaże słabości, wstrząsnął nim lekki dreszcz, gdy mijali salonik.

Evans i major pracowali razem w ciszy i zrozumieniu. Gdy któryś z nich czynił jakąś krótką uwagę, była ona właściwie oceniona i rozumiana przez drugą stronę.

— Przykra praca, ale trzeba ją zrobić — powiedział major Burnaby, a Evans, sortując i układając starannie skarpetki i licząc pidżamy, odrzekł:

— Wydaje się to jakby nienaturalne, ale jak pan powiada, panie majorze, praca musi być zrobiona.

Evans pracował sprawnie i wydajnie. Wszystkie rzeczy zostały odpowiednio posortowane i poukładane w stosy. O pierwszej udali się pod Trzy Korony na krótki posiłek. Gdy wrócili do domu, major chwycił nagle Evansa za ramię, gdy ten zamykał za sobą drzwi wejściowe.

— Sza, sza — powiedział. — Słyszysz kroki na górze? W sypialni Joego?

— O mój Boże! Pan major ma rację.

Przez chwilę ogarnął ich obu zabobonny lęk. Wreszcie major otrząsnął się, gniewnie prostując ramiona podszedł do schodów i krzyknął stentorowym głosem.

Ku jego niezmiernemu zaskoczeniu i irytacji, choć także, trzeba przyznać, lekkiej uldze, na szczycie schodów pojawił się Ronnie Garfield. Miał niezwykle zakłopotaną i głupią minę.

— Halo — powiedział. — Szukam pana.

— Po co pan mnie szuka?

— Widzi pan, chciałem powiedzieć, że nie będę gotów o wpół do piątej. Muszę pojechać do Exeter. Proszę więc na mnie nie czekać. Wezmę później samochód z Exhampton.

— Jak się pan dostał do środka? — spytał major.

— Drzwi były otwarte — odparł Ronnie. — Oczywiście byłem pewien, że pan jest tutaj.

Major zwrócił się ostro do Evansa.

— Nie zamknąłeś drzwi wychodząc?

— Nie, panie majorze. Nie miałem klucza.

— Głupio z mojej strony — wymamrotał major.

— Nie ma pan nic przeciwko temu? — spytał Ronnie. — Nie widziałem nikogo na dole, więc poszedłem na górę, żeby się rozejrzeć,

— Oczywiście, nic się nie stało — warknął major. — Po prostu mnie pan zaskoczył.

— No więc — powiedział Ronnie beztróska — muszę się już śpieszyć. Do zobaczenia.

Major chrząknął. Ronnie zszedł po schodach.

— Proszę pana — zaczął chłopięcym tonem — czy mógłby mi pan powiedzieć gdzie, ee... gdzie to się stało?

Major palcem wskazał salonik.

— Och, a czy mógłbym zajrzeć do środka?

— Jak pan chce — burknął major.

Ronnie otworzył drzwi saloniku i wrócił po kilku minutach.

Major był na górze, ale w holu stał Evans jak buldog na straży. Jego małe, głęboko osadzone oczka śledziły Ronniego z jakąś złośliwą uwagą.

— No cóż — mówił Ronnie. — Myślałem, że plamy krwi nigdy nie dają się zmyć. Sądziłem, że choćby się je ciągle zmywało, zawsze się znów pojawia. Och, oczywiście! Przecież starszy pan oberwał workiem z piaskiem, prawda? Co za głupiec ze mnie! Takim jak ten, nieprawdaż? Podniósł długi, wąski wałek leżący przy jednym z okien. W zamyśleniu ważył go i obracał w rękach. — Ładna zabaweczka, co? — Parę razy zamachnął się ostrożnie.

Evans milczał.

— No więc — powiedział Ronnie, czując, że milczenie Evansa nie jest zbyt przychylnie — lepiej

już sobie pójdę. Obawiam się, że byłem trochę nietaktowny — wskazał głową piętro. — Zapomniałem, jaka z nich była para kumpli i tak dalej. Dobrana para, prawda? No, już naprawdę idę. Przepraszam, jeśli powiedziałem coś nie tak.

Przeszedł przez hol i wyszedł frontowymi drzwiami. Evans stał w holu nieruchomo i dopiero gdy usłyszał, że za panem Garfieldem zatrzasnęła się furtka, wszedł na schody i dołączył do majora Burnaby'ego. Bez jednego słowa podjął pracę tam, gdzie ją przerwał. Przeszedł przez pokój i ukląkł przed szafką z butami.

Zakończyli pracę o wpół do czwartej. Evans otrzymał jeden kufer ubrania i bielizny, a drugi, związany pasami, gotowy był do wysyłki do Przytułku dla Sierot po Marynarzach.

Papiery i rachunki znalazły się w osobnej teczce, a Evans otrzymał polecenie, aby załatwić z miejscową firmą spedycyjną przechowanie różnych trofeów sportowych i wypchanych łbów, na które nie było miejsca w domu majora Burnaby'ego. Ponieważ Hazelmoor wynajmowano z umeblowaniem, nie było już żadnego problemu.

Gdy wszystko już zostało ustalone, Evans odchrząknął nerwowo raz czy dwa i powiedział:

— Przepraszam, panie majorze, ale chciałbym pracować u jakiegoś dżentelmena, tak jak się zajmowałem panem kapitanem.

— Tak, tak, możesz każdemu powiedzieć, żeby się do mnie zgłaszał po referencje. To załatwione.

— Przepraszam pana bardzo, panie majorze, ale nie o to mi chodzi. Rebeka i ja, panie majorze, myśmy się zastanawiali, czy, panie majorze, czy może by pan nas wziął na próbę.

— Och! Ależ, no cóż, jak wiesz, sam sobie daję radę. Pewna kobieta, jakżeż się ona nazywa, przychodzi do mnie codziennie, sprząta i trochę gotuje. To wszystko, hm, na co mogę sobie pozwolić.

— Tu nie chodzi tak bardzo o pieniądze, panie majorze — wtrącił szybko Evans. — Widzi pan, panie majorze, ja bardzo lubiłem pana kapitana, więc... gdybym mógł dla pana majora robić to samo co dla niego, to, no cóż, byłoby prawie tak samo, rozumie pan, o co mi chodzi.

Major odchrząknął i odwrócił wzrok.

— Bardzo poczciwie z twojej strony, słowo daję. Pomyślę... dobrze, pomyślę o tym. — I uciekając w popłochu major oddalał się ulicą jak strzała. Evans stał i patrzył za nim z uśmiechem zrozumienia na twarzy.

— Jak dwie krople wody podobny do kapitana — szepnął. Lecz potem twarz jego przybrała zakłopotany wyraz.

— Gdzie się one mogły podziać? — mruczał. — Trochę to dziwne. Muszę spytać Rebeki, co o tym sądzi.

Inspektor Narracott omawia sprawę

— Nie jestem tym wszystkim zachwycony, panie komisarzu — powiedział inspektor Narracott.

Komisarz spojrział na niego pytająco.

— Nie, nie jestem już tak pewien jak przedtem — powtórzył Narracott.

— Myśli pan, że zatrzymaliśmy niewłaściwego człowieka?

— Nie jestem zadowolony. Widzi pan, na początku wszystko wskazywało w jednym kierunku, ale teraz jest inaczej.

— Dowody przeciw Pearsonowi pozostają te same.

— Tak, ale wyszło na jaw wiele innych dowodów, panie komisarzu. Pojawił się ten drugi Pearson, Brian. Uważając, że nie mamy już co dalej szukać, przyjąłem założenie, że jest w Australii. A teraz się okazuje, że cały ten czas był on w Anglii. Podobno wrócił do Anglii dwa miesiące temu; najwidoczniej podróżował tym samym statkiem co panie Willett. I wygląda na to, że w czasie tej podróży zadurzył się w dziewczynie. Poza tym, nie wiadomo z jakich powodów nie skontaktował się z nikim z rodziny. Ani jego siostra, ani brat nie mieli pojęcia, że jest w Anglii. W ubiegły czwartek opuścił hotel Ormsby na Russell Square i pojechał na dworzec Paddington. Odmawia zeznań na temat, co robił od owej chwili do wtorku w nocy, kiedy to wpadł na niego Enderby.

— Czy powiadomił go pan, jak poważne są skutki takiego postępowania?

— Powiedział, że gwizdże na to. Nie ma nic wspólnego z morderstwem, a gdyby tak było, to my musimy mu to udowodnić. Co robił w tym czasie to jego sprawa i nic nam do tego, i stanowczo nie chce powiedzieć, gdzie był i co robił.

— Zadziwiające — powiedział komisarz.

— Tak, panie komisarzu. To niezwykła sprawa. Widzi pan, nie możemy uciekać od faktów, ale ten człowiek znacznie bardziej by się tu nadawał niż ten drugi Pearson. Jest coś absurdalnego w tym, że James Pearson uderza starego człowieka w głowę workiem z piaskiem, ale dla Briana, że się tak wyrażę, mogłaby to być zwyczajna sprawa. To bezwzględny młody człowiek o gwałtownym usposobieniu, i proszę pamiętać, w tym samym stopniu zyskuje na śmierci kapitana. Tak, przybył tu z panem Enderbym dziś rano; robi wrażenie człowieka bystrego, energicznego, uczciwego i otwartego, ale to nie wytrzymuje krytyki, nie wytrzymuje.

— Hm, myśli pan...

— Fakty tego nie potwierdzają. Dlaczego nie zgłosił się wcześniej? Gazety podały w sobotę wiadomość o śmierci jego wuja. Jego brata aresztowano w poniedziałek. A on nie daje znaku życia. I nadal by nie dał, gdyby wczoraj o północy ten dziennikarz nie wpadł na niego w ogrodzie Rezydencji Sittaford.

— A co on tam robił? To znaczy Enderby?

— Wie pan, jacy są dziennikarze — powiedział Narracott. — Zawsze węższą dookoła. Niesamowici ludzie.

— Często są cholerną plagą — zgodził się komisarz. — Choć czasem jest z nich pewien pożytek.

— Chyba ta młoda dama go do tego skłoniła — powiedział Narracott.

— Młoda dama?

— Panna Emilia Trefusis.

— A skąd ona wie coś na ten temat?

— Przyjechała do Sittaford, żeby się czegoś dowiedzieć. A jest to sprytna osóbką i niewiele ujdzie jej uwagi.

— A jak Brian Pearson wyjaśnia swoje zachowanie?

— Twierdzi, że przybył do Rezydencji Sittaford, aby zobaczyć się ze swą sympatią, to znaczy z panną Willett. Wyszła z domu, aby go spotkać, o takiej porze, gdy wszyscy śpią, bo nie chciała, żeby się o tym dowiedziała matka. Taka jest ich wersja.

Głos inspektora Narracotta wyrażał całkowite niedowierzenie.

— Jestem przekonany, panie komisarzu, że gdyby Enderby na niego nie wpadł, nigdy by się tu nie pojawił. Pojechałby z powrotem do Australii i stamtąd wystąpił z roszczeniem do spadku.

Słaby uśmiezek wykrzywił usta komisarza.

— Ależ musiał przeklinać tych cholernych, wścibskich dziennikarzy — zamruczał.

— Coś jeszcze wyszło na jaw — ciągnął inspektor. — Jak pan pamięta, jest troje Pearsonów. Ta Sylwia Pearson jest żoną Martina Deringa, powieściopisarza. Oświadczył mi, że jadł lunch i spędził popołudnie z pewnym amerykańskim wydawcą, a wieczorem udał się na obiad literacki, ale, jak się teraz okazało, w ogóle go na tym obiedzie nie było.

— Kto tak mówi?

— Znow Enderby.

— Muszę chyba poznać tego Enderby'ego — powiedział komisarz. — Okazuje się jednym z najbardziej energicznych ludzi w rym śledztwie. Nie ulega wątpliwości, że w redakcji „Daily Wire” pracują bystrzy młodzi ludzie.

— Cóż, może to znaczyć niewiele albo nic — ciągnął inspektor. — Kapitan Trevelyan został zabity przed godziną, szóstą, więc kwestia, gdzie Dering spędził wieczór, nie ma żadnego znaczenia, ale dlaczego kłamał? Nie podoba mi się to, panie komisarzu.

— Rzeczywiście — zgodził się komisarz — było to zupełnie zbędne.

— I to każe myśleć, że cała ta historia może być fałszywa. Choć jest to daleko idące przypuszczenie, to jednak sądzę, że Dering mógłby wyjechać z dworca Paddington pociągiem dwunasta dziesięć, przyjechać do Exhampton trochę po piątej, zabić starszego pana, złapać pociąg szósta dziesięć i być z powrotem w domu przed dwunastą. Musimy zbadać jego sytuację finansową, sprawdzić, czy nie jest rozpaczliwie splukany. Jakiegokolwiek pieniądze dostałaby jego żona, on by nimi dysponował. Wystarczy na nią spojrzeć, aby nie mieć wątpliwości. Musimy być absolutnie pewni, że to popołudniowe alibi da się utrzymać.

— Cała ta sprawa jest niezwykła — skomentował komisarz. — Ja jednak nadal uważam, że dowody przeciwko Pearsonowi są dość przekonujące. Widzę, że się pan ze mną nie zgadza. Ma pan wrażenie, że zatrzymano niewłaściwego człowieka.

— Dowody rzeczowe są wystarczające — przyznał inspektor Narracott — i dowody pośrednie, i tak dalej, i każdy sąd może wydać wyrok skazujący. Ale nadal, tak jak pan mówi, po prostu nie widzę w nim mordercy.

— I jego narzeczona jest bardzo aktywna w tej sprawie — powiedział komisarz.

— Panna Trefusis? O tak, co do tego nie ma wątpliwości. Jest jedyna w swoim rodzaju. Bardzo zdolna młoda dama. I absolutnie zdecydowana wyciągnąć go z tego. Wzięła pod pantofel tego dziennikarza i posługuje się nim jak chce. Stanowczo za dobra dla pana Jamesa Pearsona. Może jest przystojny, ale nie wyróżnia się szczególnymi zaletami charakteru.

— Jeżeli ona jest tak energiczną młodą kobietą, to może to jej właśnie odpowiada — zauważył komisarz.

— No cóż — powiedział inspektor Narracott — są gusta i guściki. Więc zgadza się pan, panie komisarzu, byśmy nie zwlekając zajęli się alibi Deringa?

— Oczywiście, niech się pan zaraz do tego zabiera. A co z tym czwartym spadkobiercą? Jest czwarty spadkobierca, prawda?

— Tak, siostra Trevelyana. Tam jest wszystko w porządku, sprawdziłem. Wróciła do domu punkt szósta, panie komisarzu. No więc biorę się z miejsca za tego Deringa.

Mniej więcej pięć godzin później inspektor Narracott znalazł się raz jeszcze w małym saloniku domku zwanego Zakątkiem. Tym razem pan Dering był w domu. Pokojówka co prawda od razu powiedziała, że pan pisze i nie można mu przeszkadzać, ale inspektor wręczył jej swą oficjalną wizytówkę i polecił natychmiast doręczyć ją panu. Czekał inspektor przechadzał się po pokoju, a jego umysł pracował bez przerwy. Co pewien czas podnosił jakiś mały przedmiot ze stołu, przyglądał mu się niewidzącym wzrokiem i odstawiał z powrotem na miejsce. Pudełko na papierosy wykonane w Australii — pewnie prezent od Briana Pearsona. Podniósł dość zniszczoną starą książkę. „Duma i uprzedzenie”. Otworzył okładkę i zobaczył na czystej kartce przed stroną tytułową nabazgrane wyblakłym atramentem nazwisko — Marta Rycroft. Skądś to nazwisko było mu znajome,

lecz nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć skąd. Rozmyślenia te przerwał Martin Dering, który otworzył drzwi i wkroczył do pokoju.

Powieściopisarz był średniego wzrostu, kasztanowe włosy miał gęste i tłustawe, usta czerwone i pełne — przystojny, acz nieco ociężały. Inspektorowi Narracottowi jego powierzchowność nie przypadła do gustu.

— Dzień dobry. Przepraszam, że znów pana niepokoję.

— Nic nie szkodzi, inspektorze, ale naprawdę nie mogę nic dodać do tego, co już panu powiedziałem.

— Powiedziano nam, że pański szwagier Brian Pearson jest w Australii. Tymczasem dowiadujemy się, że jest w Anglii od dwóch miesięcy. Można mnie chyba było o tym zawiadomić. Pańska żona wyraźnie mi powiedziała, że brat jest w Nowej Południowej Walii.

— Brian w Anglii! — Dering wydawał się szczerze zdumiony. — Mogę pana zapewnić, inspektorze, że nie miałem o tym pojęcia, ani też, jestem tego pewien, moja żona.

— Nie kontaktował się z państwem w żaden sposób?

— Oczywiście, że nie. Wiem z całą pewnością, że Sylwia napisała w tym czasie do niego dwa listy.

— No cóż, w takim razie przepraszam pana. Ale oczywiście zakładałem, iż skontaktuje się z krewnymi, i byłem niezadowolony, że państwo mi nie ułatwiają sprawy.

— Tak jak panu mówię, nic nie wiemy. Może papierosa, panie inspektorze? Przy okazji, słyszałem, że złapaliście waszego zbiegłego więźnia?

— Tak, dostaliśmy go we wtorek w nocy. Miał pecha, ponieważ mgła opadła. Zabłądził, chodził w kółko i po przejściu około dwudziestu mil znalazł się w końcu o pół mili od więzienia w Princetown.

— Zadziwiające, jak we mgle każdy chodzi w kółko. Dobrze, że nie uciekł w piątek. Przypuszczam, że z pewnością obciążono by go tym morderstwem.

— To niebezpieczny człowiek. Znany jako Freddy Opończa. Rozbój z bronią w rękę, napady... prowadził niezwykle, podwójne życie. Pół życia spędzał jako wykształcony, szanowany i zamożny obywatel. Nie jestem pewien, czy więzienie w Broadmoor nie byłoby dla niego właściwszym miejscem. Co jakiś czas nawiedzał go rodzaj kryminalnej manii, znikał wtedy i przebywał w towarzystwie mętów społecznych.

— Chyba niewielu ludzi ucieka z Princetown?

— Jest to niemal niemożliwe, proszę pana. Ale ta właśnie ucieczka była wyjątkowo dobrze zaplanowana i wykonana. Jeszcze nie dotarliśmy do sedna tej sprawy.



— No cóż — Dering wstał i spojrział na zegarek — o ile to już wszystko, panie inspektorze... Widzi pan, jestem bardzo zajęтым człowiekiem...

— Ale jest coś jeszcze, proszę pana. Chcę zapytać, dlaczego mi pan powiedział, że w piątek wieczorem brał pan udział w obiedzie literackim w hotelu Cecil?

— Ja... nie rozumiem pana, inspektorze.

— Sądzę, że pan rozumie. Nie było pana na tym obiedzie. Martin Dering zastanawiał się. Jego spojrzenie przebiegało

niepewnie z twarzy inspektora na sufit, potem na drzwi, aż wreszcie utkwiał wzrok w swoich stopach. Inspektor czekał flegmatycznie i spokojnie.

— A więc — powiedział w końcu Martin Dering — przypuśćmy, że nie byłem. Ale co to do diabła ma wspólnego z panem? Co moje poczynania w pięć godzin po morderstwie wuja mają wspólnego z panem czy kimkolwiek innym?

— Pan złożył nam pewne oświadczenie, proszę pana. I chcę je zweryfikować. Część pańskiego oświadczenia okazuje się nieprawdziwa. Muszę więc sprawdzić drugą jego połowę. Mówi pan, że jadł pan lunch i spędził popołudnie z przyjacielem.

— Tak, z moim amerykańskim wydawcą.

— Jego nazwisko?

— Rosenkraun, Edgar Rosenkraun.

— Aha, a jego adres?

— Wyjechał z Anglii. W ubiegłą sobotę.

— Do Nowego Jorku?

— Tak.

— A więc jest w tej chwili na morzu. Na jakim statku?

— Ja... nie mogę sobie przypomnieć.

— A wie pan, jaką linią okrętową? Cunard czy White Star?

— Ja... ja naprawdę nie pamiętam.

— No cóż — powiedział inspektor — wyślemy telegram do jego firmy w Nowym Jorku. Oni będą wiedzieć.

— To Gargantua — wykrztusił ponuro Dering.

— Dziękuję panu. Wiedziałem, że pan sobie przypomni, jak się pan postara. Dalej, zgodnie z pana oświadczeniem, jadł pan lunch z panem Rosenkraunem i spędził z nim popołudnie. O której się pan z nim rozstał?

— Chyba około piątej.

— A następnie?

— Odmawiam odpowiedzi. To nie jest pańska sprawa. To już chyba wszystko, czego się pan chciał dowiedzieć.

Inspektor Narracott przytaknął i zamyślił się. Jeśli Rosenkraun potwierdzi oświadczenie Deringa, wówczas dochodzenie przeciw Deringowi musi upaść. Cokolwiek więc tajemniczego porabiał owego wieczoru, nie dotyczyłoby to sprawy.

— Co ma pan zamiar zrobić? — niechętnie zapytał Dering.

— Zatelegrafować do pana Rosenkrauna na pokładzie Gargantui.

— Do diabła! — krzyknął Dering. — Ależ to wywoła niepożądany rozgłos! Chwileczkę.

Podszedł do biurka, napisał kilka słów na kawałku papieru i podał go inspektorowi.

— Skoro musi pan robić swoje — rzekł niechętnie — to przynajmniej może pan zrobić to na mój sposób. Czy musi pan mnie wpędzać w kłopoty?

Tekst na kartce brzmiał:

„Rosenkraun S.S. Gargantua. Proszę potwierdzić moje oświadczenie, że w piątek, czternastego, byłem z panem od lunchu do godziny piątej. Martin Dering”.

— Odpowiedź może przyjść na pański adres, to mi nie przeszkadza, ale nie do Scotland Yardu czy na policję. Pan nie wie, jacy są ci Amerykanie. Jakakolwiek sugestia, że jestem zamieszany w sprawę kryminalną, i mój nowy kontrakt uleci z wiatrem. Niech to pozostanie prywatną sprawą, panie inspektorze.

— Nie mam co do tego zastrzeżeń, proszę pana. Zależy mi tylko na prawdzie. Wyślę telegram z opłaconą odpowiedzią, odpowiedź będzie przesłana na mój prywatny adres w Exeter.

— Dziękuję, porządny z pana człowiek. Nie tak łatwo zarobić na życie literaturą, panie inspektorze. Zobacz pan, że odpowiedź będzie w porządku. Rzeczywiście skłaniałem panu o tym obiedzie, ale widzi pan, tak właśnie powiedziałem mojej żonie i pomyślałem, że w rozmowie z panem będę się trzymał tej samej wersji. Inaczej narobiłbym sobie kłopotów.

— Jeżeli pan Rosenkraun potwierdzi pańskie oświadczenie, to nie ma pan się czego obawiać.

„Niesympatyczny facet — myślał inspektor opuszczając dom. — Ale wydaje się całkiem pewien, że ten amerykański wydawca potwierdzi prawdziwość jego słów”.

Gdy inspektor wskakiwał do pociągu, który miał go zawieźć z powrotem do hrabstwa Devon, coś mu się nagle przypomniało.

„Rycroft — pomyślał — ależ tak, to nazwisko tego starszego pana, który mieszka w jednym z domków w Sittaford. Ciekawy zbieg okoliczności”.

# W kawiarni Dellera

Emilia Trefusis i Charles Enderby siedzieli przy małym stoliku w kawiarni Dellera w Exeter. O wpół do czwartej miejsce to było stosunkowo ciche i spokojne. Sala była prawie pusta, tylko kilka osób sączyło leniwie herbatę.

— A więc — odezwał się Charles — co o nim sądzisz? Emilia zmarszczyła brwi.

— Trudno powiedzieć — stwierdziła.

Po przesłuchaniu na policji Brian Pearson zjadł z nimi lunch. W stosunku do Emilii zachowywał się niezmiernie uprzejmie, zbyt uprzejmie jej zdaniem.

Bystrej dziewczynie wydało się to nieco nienaturalne. Oto młody człowiek ma potajemny romans i wtrąca się w to jakiś natrętny nieznamy, a Brian Pearson przyjmuje to potulnie jak baranek i zgadza się z propozycją Charlesa, aby wynająć samochód i pojechać na policję. Skąd taka uległość? Wydawało się to Emilii całkowicie sprzeczne z właściwą naturą Briana Pearsona, o ile mogła go ocenić. „Idź do diabła!” — taka powinna być jego reakcja. Zachowanie typu „potulny jak baranek” wzbudzało podejrzenie. Starła się przekazać Charlesowi swoje odczucia.

— Rozumiem cię — powiedział Enderby. — Nasz Brian ma coś do ukrycia, więc nie może ujawnić swego przyrodzonego, władczego ja.

— Właśnie o to chodzi.

— Sądzisz, że on mógłby zabić starego Trevelyana?

— Brian — zaczęła Emilia w zamyśleniu — jest... jest osobą, którą należy brać pod uwagę. Sądzę, że nie ma żadnych skrupułów, a gdy czegoś zapragnie, to myślę, że nie pozwoli, aby na przeszkodzie stanęły mu konwencjonalne zasady. Nie należy do gatunku przeciętnych uległych Anglików.

— Odkładając na bok wszystkie względy osobiste, czy nadaje się on na sprawcę bardziej niż Jim? — spytał Enderby.

Emilia skinęła głową.

— Znacznie bardziej. On by dobrze przeprowadził każdy zamysł, ponieważ nigdy nie dałby się ponieść nerwom.

— Emilio, czy naprawdę sądzisz, że on to zrobił?

— Ja... nie wiem. On jeden spełnia wszystkie warunki.

— Co rozumiesz przez „spełnia warunki”?

— A więc punkt numer jeden: motyw. — Zaczęła wyliczać na palcach. — Ten sam zresztą, dwadzieścia tysięcy funtów. Punkt numer dwa: okazja. Nikt nie wie, gdzie się znajdował w piątek po południu, a gdyby był w miejscu, które mógłby podać, to pewnie by o tym powiedział. Tak więc zakładamy, że w piątek był właśnie w sąsiedztwie Hazelmoor.

— Nie znaleziono nikogo, kto by go widział w Exhampton — podkreślił Charles — a trudno go nie zauważyć.

Emilia pogardliwie potrząsnęła głową.

— Bo go nie było w Exhampton. Czy nie sądzisz, Charles, że jeżeli popełnił morderstwo, to musiał je wcześniej zaplanować? To tylko biedny, niewinny Jim przyjeżdża jak zupełny frajer i zatrzymuje się w Exhampton. Są przecież jeszcze takie miejscowości, jak Lydford czy Chagford, czy może nawet Exeter. Mógłby przyjść pieszo z Lydford. Tam jest szosa i śnieg by jej nie zasypał. Byłoby to świetne posunięcie.

— Chyba powinniśmy poprowadzić dochodzenie we wszystkie strony.

— To już robi policja — powiedziała Emilia — i zrobią to znacznie lepiej niż my. Do takich formalności zawsze lepsza jest policja. A my zbieramy punkty tam, gdzie chodzi o sprawy prywatne czy osobiste, takie jak wysłuchiwanie pani Curtis, chwywanie wskazówek panny Percehouse czy obserwowanie pań Willett.

— Zbieramy albo nie, jak się zdarzy — powiedział Charles.

— Wróćmy do tego, jak dalece Brian Pearson spełnia warunki — mówiła Emilia. — Omówiliśmy dwa punkty: motyw i okazję, a jest i trzeci, który, jak sądzę, jest ze wszystkich najważniejszy.

— A cóż to takiego?

— A więc, od samego początku czułam, że nie możemy zignorować tej dziwnej historii z wirującym stolikiem. Starłam się rozpatrzyć ją jak najbardziej logicznie i rozsądnie. Są tu tylko trzy rozwiązania. Po pierwsze, że było w tym coś nadnaturalnego. No, może i tak, ale ja osobiście to wykreślałam. Po drugie, że było to działanie rozmyślne. Ktoś zrobił to celowo, ale ponieważ nie możemy dojść tu do żadnej rozsądnej przyczyny, wykreślamy również i tę ewentualność. Po trzecie, że było to przypadkowe. Ktoś się zdradził, choć wcale nie zamierzał tego zrobić, właściwie wbrew swej woli. Przykład podświadomego działania. Jeżeli tak, to ktoś spośród tych sześciu osób albo dokładnie wiedział, że kapitan Trevelyan będzie zamordowany o pewnej godzinie tego popołudnia, albo też miał z nim rozmowę, której efektem mogło być morderstwo. Nikt z tych sześciorga ludzi nie mógł być mordercą, ale jedno z nich musiało być z mordercą w zмовie. Nie widać powiązania majora Burnaby'ego z kimś innym ani pana Rycrofta z kimś innym, ani Ronalda Garfielda, ale kiedy dochodzimy do pań Willett, sytuacja się zmienia. Istnieje więź między Violetką Willett a Brianem Pearsonem, są ze sobą w ścisłej zażyłości, a po morderstwie ta dziewczyna była jednym kłębkim nerwów.

— Sądysz, że wiedziała? — spytał Charles.

— Albo ona, albo matka. Jedna z nich.

— Nie wymieniłaś jeszcze jednej osoby — zauważył Charles — pana Duke’a.

— Wiem o tym — powiedziała Emilia. — Dziwne, ale jest jedyną osobą, o której nic nie wiemy. Dwa razy starałam się go poznać, ale mi się nie udało. Sądzę, że nie ma żadnego związku między nim a kapitanem Trevelyanem czy między nim a krewnymi kapitana Trevelyana, że nie ma nic, co mogłoby go łączyć z tą sprawą, a jednak...

— Tak? — zapytał Charles Enderby, gdy Emilia zawiesiła głos.

— A jednak spotkaliśmy inspektora Narracotta, jak wychodził z jego domku. Co inspektor Narracott wie o nim, czego my nie wiemy? Chciałabym wiedzieć...

— Uważasz...

— Przypuśćmy, że Duke jest w ogóle osobnikiem podejrzanym i policja o tym wie. Przypuśćmy, że kapitan Trevelyan wykrył coś na jego temat; pamiętaj, że uważnie dobierał lokatorów; i przypuśćmy, że o tym, czego się dowiedział, miał zamiar zawiadomić policję. I Duke ze współnikiem organizują zabójstwo. Och, wiem, że wszystko brzmi strasznie melodramatycznie, a jednak coś w tym rodzaju może być możliwe.

— To rzeczywiście jest pomysł — powiedział wolno Charles.

Zamilkli obydwójce, pogrążeni w myślach. Emilia odezwała się nagle:

— Czy znasz to dziwne uczucie, kiedy ktoś ci się przygląda? Czuję teraz, jakby czyjeś oczy paliły mi kark. Czy to złudzenie, czy też ktoś teraz naprawdę się we mnie wpatruje?

Charles odsunął krzesło o cal czy dwa i od niechcienia rozejrzał się po kawiarni.

— Wysoka, ciemnowłosa, przystojna kobieta przy stoliku koło okna — poinformował. — Patrzy na ciebie.

— Młoda?

— Nie, nie bardzo. Halo!

— Kto to?

— Ronnie Garfield. Właśnie przyszedł, wita się z nią i siada przy jej stoliku. Chyba ona mówi coś o nas.

Emilia otworzyła torebkę. Przypudrowała ostentacyjnie nos i ustawiła małe, kieszonkowe lusterko pod właściwym kątem.

— To ciotka Jennifer — powiedziała cicho. — Właśnie wstają.

— Wychodzą — powiedział Charles. — Czy chcesz z nią rozmawiać?

— Nie — odpowiedziała Emilia. — Lepiej udam, że jej nie widziałam.

— Właściwie — powiedział Charles — dlaczego ciotka Jennifer nie miałyby zaprosić Ronniego Garfielda na podwieczorek?

— Rzeczywiście, dlaczego? — odpowiedziała Emilia.

— Dlaczego by nie?

— Och, Charles, na litość boską, przestańmy mówić w tym stylu. Mogłaby, nie mogłaby, mogła, nie mogła. To wszystko oczywiście nie ma sensu i nic nie znaczy! Ale przed chwilą mówiliśmy, że nikt z tego seansu nie miał żadnego związku z rodziną, i pięć minut nie mija, jak widzimy, że Ronnie Garfield pije herbatę z siostrą kapitana Trevelyana.

— Co wskazuje — powiedział Charles — że nigdy nic nie wiadomo.

— Co wskazuje — powiedziała Emilia — że zawsze trzeba zaczynać od nowa.

— I to w wielu sprawach — powiedział Charles. Emilia spojrzała na niego.

— Co masz na myśli?

— Na razie nic — odrzekł Charles.

Położył rękę na jej dłoni. Nie odsunęła jej.

— Musimy to załatwić — powiedział Charles. — A potem...

— A potem? — spytała łagodnie Emilia.

— Ja bym dla ciebie wszystko zrobił, Emilio — oświadczył Charles. — Po prostu wszystko...

— Naprawdę? — spytała Emilia. — Jak to miło z twojej strony, mój drogi.

# Robert Gardner

Powodowana nagłym impulsem już dwadzieścia minut później Emilia dzwoniła do frontowych drzwi domu Pod Wawrzynami.

Była pewna, że ciotka Jennifer nadal jeszcze jest u Deller'a wraz z Ronniem Garfieldem. Gdy Beatrice otworzyła jej drzwi, Emilia uśmiechnęła się do niej promiennie.

— To znów ja — powiedziała. — Wiem, że pani Gardner nie ma w domu, ale czy mogę się zobaczyć z panem Gardnerem?

Prośba była tak zdecydowanie niezwykła, że Beatrice przybrała niezdecydowany wyraz twarzy.

— No, nie wiem. Może pójde na górę i dowiem się, dobrze?

— Bardzo proszę — powiedziała Emilia.

Beatrice poszła na górę i Emilia została sama w holu. Pokojówka wróciła po kilku minutach i poprosiła ją, aby weszła.

— Tędy, proszę.

Robert Gardner leżał na tapczanie przy oknie w dużym pokoju na pierwszym piętrze. Był to wysoki mężczyzna, niebieskooki i jasnowłosy. Emilia pomyślała, że wygląda tak, jak powinien wyglądać Tristan w trzecim akcie „Tristana i Izoldy”, czemu dotychczas nie mogli sprostać Wagnerowscy tenorzy.

— Halo — powiedział. — To pani ma zostać żoną kryminalisty, nieprawdaż?

— Zgadza się, wuju Robercie — powiedziała Emilia. — Chyba mogę nazywać pana wujem Robertem, dobrze?

— Jeżeli Jennifer pozwoli. Jakie to uczucie, gdy ukochany marnieje w więzieniu?

Okrutny człowiek, zdecydowała Emilia. Człowiek, któremu złośliwą radość sprawia zadawanie ciosów w bolesne miejsca. Ale trafił na godnego przeciwnika. Odpowiedziała z uśmiechem:

— Bardzo ekscytujące.

— Ale chyba nie dla pana Jima, hę?

— No cóż — powiedziała Emilia — jest to pewne doświadczenie, czyż nie?

— Nauczy go, że życie nie jest romanssem — mówił zjadliwie Robert Gardner. — Za młody, żeby



walczyć w Wielkiej Wojnie, czy nie tak? Mógł żyć spokojnie i nie przejmować się. Tak... tak... I dostał w kark z innej strony.

Spojrzał na Emilię z zaciekawieniem.

— Dlaczego chciała pani tu przyjść i mnie poznać?

W jego głosie była nutka podejrzliwości.

— Gdy się ma wejść do rodziny, to lepiej wcześniej poznać przyszłych krewnych.

— Poznać najgorsze, zanim będzie za późno. Czy pani naprawdę chce poślubić młodego Jima?

— A dlaczegóż by nie?

— Pomimo oskarżenia o morderstwo?

— Pomimo oskarżenia o morderstwo.

— Hm — powiedział Robert Gardner — od dawna nie widziałem kogoś mniej przygnębionego. Można by pomyśleć, że się pani dobrze bawi.

— Bo też tak jest. Tropienie mordercy jest niezmiernie podniecające — powiedziała Emilia.

— Co takiego?

— Powiedziałam, że tropienie mordercy jest ogromnie podniecające — powtórzyła Emilia.

Robert Gardner przyglądał się jej przez chwilę, po czym opadł znów na poduszki.

— Jestem zmęczony — powiedział rozdrażnionym głosem. — Nie mogę dłużej rozmawiać. Pielęgniarka, gdzie jest pielęgniarka? Jestem zmęczony.

Na jego wezwanie pielęgniarka Davis wyłoniła się szybko z sąsiedniego pokoju.

— Pan Gardner bardzo łatwo się męczy. Może będzie lepiej, żeby pani już poszła, jeśli można.

Emilia wstała, ukłoniła się z uśmiechem i powiedziała:

— Do widzenia, wuju Robercie. Może jeszcze wpadnę któregoś dnia.

— Co to ma znaczyć?

— Au revoir — powiedziała Emilia. Wychodząc z domu zatrzymała się nagle.

— Och — powiedziała do Beatrice — zostawiłam rękawiczki.

— Przyniosę je, panienko.

— Ależ nie trzeba — powiedziała Emilia. — Sama je przyniosę.

Wbiegła lekko po schodach i bez pukania otworzyła drzwi.

— Och — powiedziała. — Ogromnie przepraszam, tak mi przykro. Moje rękawiczki. — Podniosła je ostentacyjnie, uśmiechając się słodko do dwojga trzymających się za ręce postaci, zbiegła po schodach i opuściła dom.

„Zostawianie rękawiczek to świetny pomysł — mówiła do siebie. — Już drugi raz mi to wychodzi. Biedna ciotka Jennifer, ciekawa jestem, czy wie? Chyba nie. Muszę się pośpieszyć, bo Charles będzie czekał”.

W miejscu umówionego spotkania Charles czekał już w fordzie Elmera.

— Udało się? — spytał okrywając ją pledem.

— W pewnym sensie tak. Nie jestem pewna. Enderby spojrział na nią pytająco.

— Nie — odpowiedziała Emilia na jego spojrzenie. — Nic ci o tym nie powiem. Widzisz, to może nie mieć nic wspólnego ze sprawą, a jeśli nie ma, to nie byłoby w porządku. Enderby westchnął.

— Mówi się trudno.

— Przykro mi — powiedziała Emilia stanowczo — ale tak się sprawy mają.

— Rób, jak ci się podoba — oświadczył zimno Charles.

Jechali w milczeniu. Charles milczał obrażony, Emilia zamyślona nie zwracała na niego uwagi. Dojeżdżali już do Exhampton, gdy przerwała milczenie nieoczekiwanym pytaniem.

— Charles, czy grasz w brydża?

— Tak, gram. Dlaczego pytasz?

— Tak sobie myślałam. Wiesz, co należy zrobić, kiedy się ocenia siłę karty w ręku? Gdy się bronisz — liczy lewy biorące, ale kiedy atakujesz, liczy lewy do oddania. A my w tej sprawie atakujemy — ale może robimy to w niewłaściwy sposób.

— Co masz na myśli?

— No cóż, liczyliśmy lewy biorące, prawda? To znaczy zajmowaliśmy się ludźmi, którzy mogli zabić kapitana Trevelyana, nawet gdy wydawało się to nieprawdopodobne. I dlatego wszystko tak się nam płacze.

— Mnie się nic nie płacze — odparł Charles.

— A mnie tak. Tak mi się w głowie mąci, że zupełnie nie mogę myśleć. Spójrzmy na sprawę z

drugiej strony. Policzmy straty, lewy do oddania: ludzi, którzy nie mogli zabić kapitana Trevelyana.

— No więc zastanówmy się — zdecydował Enderby. — Na początek mamy panie Willett, jest także Burnaby, Rycroft i Ronnie Garfield. Aha, i jeszcze Duke.

— Tak — zgodziła się Emilia. — Wiemy, że nikt z nich nie mógł zabić Trevelyana. Kiedy go mordowano, wszyscy oni znajdowali się w Rezydencji Sittaford, widzieli się nawzajem i nie mogą wszyscy kłamać. Tak, ich wszystkich należy wyłączyć.

— Właściwie należy wyłączyć wszystkich mieszkańców Sittaford — powiedział Enderby. — Nawet Elmera — zniżył głos, aby kierowca go nie usłyszał — ponieważ droga do Sittaford była w piątek nieprzejezdna.

— Mógłby pójść na piechotę — odpowiedziała Emilia równie cichym głosem. — Skoro major Burnaby mógł tam dotrzeć tego wieczora, to Elmer mógł wyruszyć w porze lunchu, dojść do Exhampton o piątej, zamordować Trevelyana i wrócić.

Enderby potrząsnął głową.

— Chyba nie mógłby przyjść z powrotem. Pamiętaj, że śnieg zaczął padać około wpół do szóstej. A poza tym przecież nie oskarżasz Elmera?

— Nie — odpowiedziała Emilia — choć oczywiście mógłby być maniakałnym mordercą.

— Szsz — wyszeptał Charles. — Zranisz jego uczucia, gdy cię usłyszy.

— W każdym razie — ciągnęła Emilia — nie można stwierdzić z całą pewnością, że nie mógł zamordować kapitana Trevelyana.

— A właśnie że można — powiedział Charles. — Nikt nie mógłby wyruszyć do Exhampton i z powrotem tak, aby go nie widziało całe Sittaford, i nie komentowało, jakie to dziwne wydarzenie.

— Istotnie, jest to miejsce, gdzie każdy o każdym wszystko wie — zgodziła się Emilia.

— Właśnie o to chodzi — powiedział Charles — i dlatego twierdzę, że wszyscy mieszkańcy Sittaford są poza podejrzeniem. Jedyne osoby, których nie było u pań Willett, to panna Percehouse i kapitan Wyatt, a obydwójce są kalekami. Nie przedarliby się przez burzę śnieżną. A drogi stary Curtis i pani C.? Gdyby któreś z nich miało to zrobić, musieliby pojechać do Exhampton na weekend i wróciliby już po wszystkim.

Emilia zaśmiała się.

— Oczywiście. Nie można wyjechać z Sittaford na weekend tak, aby nikt tego nie zauważył — powiedziała.

— Gdyby pani Curtis wyjechała, Curtis na pewno zwróciłby uwagę na niezwykle ciszę — dodał Enderby.

— Już mam — powiedziała Emilia — naszym typem powinien być Abdul. Tak by było w książkach. Na przykład: w rzeczywistości jest on hinduskim marynarzem, a kapitan Trevelyan wyrzucił w czasie buntu za burtę jego ukochanego brata, czy coś w tym rodzaju.

— Absolutnie nie uwierzę — powiedział Charles — żeby ten nieszczęsny, smutny Hindus mógł kiedykolwiek kogoś zamordować... Już wiem! — wykrzyknął nagle.

— Co znów takiego? — spytała z ożywieniem Emilia.

— Żona kowala. Ta, która oczekuje ósmego dziecka. Nieustraszona kobieta, nie zwracając uwagi na swój stan, poszła pieszo do Exhampton i rąbnęła go workiem z piaskiem.

— Ale powiedz mi dlaczego?

— Ponieważ, chociaż kowal jest oczywiście ojcem pierwszych siedmiu, kapitan Trevelyan jest ojcem ósmego, mającego się narodzić dziecka.

— Charles — powiedziała Emilia. — Nie bądź nietaktowny. A poza tym — dodała — to kowal by to zrobił, a nie ona. Bardzo dobra historia. Wyobraź sobie, jak to muskularne ramię dźmierzy worek z piaskiem! A żona z siódmką dzieci na głowie nawet by nie zauważyła jego nieobecności. Nie miałyby nawet czasu, żeby spotrzec, że brakuje jakiegoś tam mężczyzny.

— Dochodzimy do idiotyzmów — powiedział Charles.

— Chyba tak — zgodziła się Emilia. — Liczenie strat nie bardzo nam się powiodło.

— A co z tobą? — spytał Charles.

— Ze mną?

— Gdzie byłaś, gdy popełniono zbrodnię?

— Fantastyczne! O tym nie pomyślałam. Oczywiście byłam w Londynie, ale nie wiem, jak mogłabym to udowodnić. Byłam sama w moim mieszkaniu.

— Proszę bardzo — powiedział Charles. — Motyw i tak dalej. Młody człowiek dziedziczy dwadzieścia tysięcy funtów. Czego więcej trzeba?

— Sprytny jesteś, Charles — stwierdziła Emilia. — Teraz dopiero widzę, że jestem wyjątkowo podejrzaną osobą. Nie pomyślałam o rym wcześniej.

# Inspektor Narracott w akcji

Dwa dni później Emilia siedziała w biurze inspektora Narracotta. Przyjechała rankiem z Sittaford.

Inspektor Narracott przyglądał się jej z uznaniem. Podziwiał śmiałość Emilii, jej odwagę, nieustępliwość i pogodę ducha. Miała naturę bojownika, a inspektor Narracott podziwiał bojowników. Jego zdaniem była o wiele za dobra dla Jima Pearsona, nawet gdyby się okazało, że ten młody człowiek jest niewinny.

— Pisuje się zwykle w książkach, że policji zależy tylko na tym, aby złapać ofiarę i zdobyć dość dowodów rzeczowych, by można ją było skazać, a nie obchodzi ich wcale, że może to być ktoś niewinny. To nieprawda, proszę pani, nam zależy tylko na schwytaniu winnych.

— Czy pan naprawdę uważa, że Jim jest winny, panie inspektorze?

— Nie mogę na to udzielić oficjalnej odpowiedzi. Ale powiem pani, że bardzo dokładnie badamy dowody nie tylko przeciwko niemu, ale również przeciwko innym osobom.

— Ma pan na myśli jego brata Briana?

— Ten pan, Brian Pearson, przedstawia się bardzo niekorzystnie. Odmówił nam odpowiedzi na pytania dotyczące jego osoby, ale sędzę — tu szeroki uśmiech inspektora Narracotta, typowy dla mieszkańców hrabstwa Devonshire, pogłębił się — uważam, że nieźle odgadłem sens niektórych jego poczynań. Za pół godziny okaże się, czy mam rację. Następnie jest ten pan Dering.

— Widział go pan? — spytała z ciekawością Emilia.

Inspektor Narracott spojrzał na jej ruchliwą twarz i uległ pokusie uchylenia przed nią rąbka tajemnicy. Odchylił się do tyłu na krześle i zdał sprawę ze swej rozmowy z panem Deringiem, a następnie z teczki leżącej na biurku koło jego łokcia wyjął kopię telegramu, jaki wysłał do pana Rosenkrauna.

— Oto co wysłałem — powiedział — a tu jest odpowiedź.

Emilia czytała:

„Narracott 2 Drysdale Road Exeter. Stanowczo potwierdzam oświadczenie pana Deringa. Był ze mną całe popołudnie w piątek. Rosenkraun”.

— Och! Niech to lichy porwie! — wykrzyknęła Emilia, wybrawszy łagodniejsze wyrażenie niż to, którego chciała użyć, wiedziała bowiem, że policjanci są na ogół staromodni i łatwo ich zgorszyć.

— Taak — powiedział inspektor Narracott z namysłem. — Bardzo irytujące, prawda?

I znowu na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech rodem z Devonshire.

— Lecz ja jestem człowiekiem podejrzliwym, proszę pani. Powody, jakie podał pan Dering, brzmiały całkiem przekonywająco, ale pomyślałem, że szkoda byłoby zdawać się tylko na niego. Więc wysłałem nowy telegram.

Podał jej znów dwie kartki.

Pierwsza brzmiała: „Potrzebna informacja w sprawie morderstwa kapitana Trevelyana. Czy podtrzymuje pan poparcie dla oświadczenia o alibi dla Martina Deringa na piątek po południu. Inspektor Narracott Exeter”.

Odpowiedź świadczyła o zdenerwowaniu i zdumiewającym nieliczeniu się z kosztami: „Nie miałem pojęcia że chodzi o sprawę kryminalną nie widziałem Martina Deringa w piątek. Zgodziłem się potwierdzić jego oświadczenie jak przyjaciel przyjacielowi sądziłem że żona go śledzi w celach rozwodowych”.

— Aha! — powiedziała Emilia. — Och, inspektorze, jaki pan przebiegły!

Inspektor najwyraźniej był tego samego zdania i uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Ależ ci mężczyźni są solidarni — ciągnęła Emilia, przeglądając telegramy. — Biedna Sylwia. W pewnych sprawach mężczyźni to bestie, tak sobie nieraz myślę. I dlatego — dodała — tak jest miło, gdy spotka się mężczyznę, na którym można naprawdę polegać. — I uśmiechnęła się do inspektora z podziwem.

— Ale, proszę pani, to wszystko jest bardzo poufne — ostrzegł ją inspektor. — Posunąłem się dalej niż mi wolno, udostępniając pani te fakty.

— To tak uroczo z pana strony — powiedziała Emilia. — Nigdy, nigdy o tym nie zapomnę.

— Proszę pamiętać — ostrzegł inspektor. — Nikomu ani słowa.

— Mówi pan, że nie mogę tego powiedzieć Charlesowi, to jest panu Enderby'emu?

— Dziennikarze to dziennikarze — powiedział inspektor Narracott. — Choć nieźle go pani oswoiła, zawsze dla nich informacja to informacja, nieprawdaż?

— Więc nic mu nie powiem — zgodziła się Emilia. — Chyba rzeczywiście trochę nałożyłam mu kaganiec, ale, jak pan mówi, co prasa, to prasa.

— Nigdy bez potrzeby nie wolno przekazywać informacji, to moja zasada — oświadczył inspektor Narracott.

Słaby błysk pojawił się w oczach Emilii, gdy nasunęła się jej nie wypowiedziana myśl, że inspektor Narracott pogwałcił tę zasadę dość istotnie w ciągu minionej pół godziny.

Przypomniało się jej nagle coś, co nie było może w tej chwili zbyt ważne — wszystko wskazywało na inny kierunek działania, ale jednak chyba dobrze byłoby się dowiedzieć.

— Panie inspektorze — spytała nagle. — Kim jest pan Duke?

— Pan Duke?

Zauważyła, że inspektor jest zaskoczony jej pytaniem.

— Pamięta pan? — przypomniała mu Emilia. — Spotkaliśmy się, gdy wychodził pan z jego domku w Sittaford.

— Ach tak, tak, przypominam sobie. Prawdę mówiąc, proszę pani, pomyślałem sobie, że warto by uzyskać niezależne sprawozdanie co do tego seansu z wirującym stolikiem. Major Burnaby nie najlepiej się nadaje do sprawozdań.

— Jednakże — mówiła Emilia w zamyśleniu — gdybym była panem, zwróciłabym się do kogoś takiego jak pan Rycroft. Dlaczego właśnie pan Duke?

Zapadła cisza i wreszcie inspektor powiedział:

— Po prostu kwestia wyboru.

— Ciekawa jestem, czy policja wie coś o panu Duke'u.

Inspektor Narracott twardo wbił wzrok w bibułę na biurku i nie odpowiadał.

— Człowiek, który prowadzi nieskazitelne życie! — ciągnęła Emilia. — To całkiem dokładnie określa pana Duke'a, ale może nie zawsze był taki nieskazitelny? I może policja coś o tym wie?

Zauważyła, że inspektorowi drgnęła lekko twarz, jak gdyby usiłował ukryć uśmiech.

— Lubi pani zgadywać, prawda? — spytał uprzejmie.

— Gdy nic się nie można dowiedzieć, trzeba zgadywać — odpaliła Emilia.

— Jeśli ktoś, jak pani mówi, wie o nieskazitelnym życiu — powiedział inspektor Narracott — byłoby dla niego rzeczą zarówno nieprzyjemną, jak i niedogodną, gdyby odgrzebano jego przeszłość, a policja potrafi trzymać swe informacje w tajemnicy. Nie chcemy nikogo kompromitować.

— Jest taka możliwość — powiedziała Emilia — ale to niezbyt podobne do kapitana Trevelyana. Mógłby dać mu jakąś robotę czy szylinga, ale nie wcisnąłby mu pary swych najlepszych zimowych butów.

— No cóż, poddaje się — skapitulował Charles.

— A ja nie mam zamiaru się poddać — oświadczyła Emilia. — Iza wszelką cenę dotrę do sedna

sprawy.

Zgodnie z tym postanowieniem przybyła do Exhampton i udała się najpierw pod Trzy Korony, gdzie pani Belling powitała ją z wielkim entuzjazmem.

— I pani narzeczony ciągle w więzieniu, panienko. Jakiż to straszny wstyd, nikt z nas nie wierzy, żeby to był on, i niechby tylko ktoś śmiał przy mnie inaczej powiedzieć! Dostała panienka mój list? Chce pani porozmawiać z Evansem? On mieszka tuż za rogiem, to jest Fore Street 85. Żałuję, że nie mogę pójść z panienką; nie mogę stąd wyjść, ale pani na pewno trafi.

Emilia trafiła. Evansa nie było w domu, lecz przyjęła ją pani Evans i zaprosiła do środka. Emilia usiadła, skłoniła panią Evans, aby usiadła razem z nią, i natychmiast przystąpiła do rzeczy.

— Przyszłam, żeby porozmawiać o tym, co pani mąż powiedział pani Belling. Chodzi o te buty kapitana Trevelyana, które znikły.

— Z pewnością to bardzo dziwne — powiedziała młoda kobieta.

— Czy pani mąż jest tego całkiem pewien?

— Ależ tak. Nosił te buty prawie cały czas zimą, to znaczy kapitan. Duże były, toteż wkładał do nich kilka par skarpetek.

Emilia skinęła głową.

— A może poszły do naprawy czy coś w tym rodzaju? — zasugerowała.

— Bez wiedzy Evansa by nie poszły — rzekła dumnie jego żona.

— Nie, chyba rzeczywiście nie.

— Dziwne to — powiedziała pani Evans — ale myślę, że nie ma nic wspólnego z morderstwem, prawda, panienko?

— Chyba nic — zgodziła się Emilia.

— Czy odkryli coś nowego, panienko? — spytała z ciekawością kobieta.

— Tak, jedną czy dwie rzeczy, ale nic bardzo ważnego.

— Myślałam, że coś mogli odkryć, jak zobaczyłam, że ten inspektor z Exeter znów tu dzisiaj był.

— Inspektor Narracott?

— Tak, ten sam, panienko.

— Czy przyjechał tym pociągiem co ja?



— Nie, przyjechał samochodem. Najpierw poszedł pod Trzy Korony i pytał o bagaż młodego dżentelmena.

— Bagaż jakiego dżentelmena?

— Tego, co pani z nim chodzi, panienko.

Emilia utkwiała w niej wzrok.

— Zawołali Toma — ciągnęła dziewczyna — a ja przechodziłam tam zaraz potem i on mi to powiedział. On ma dobre oko, ten Tom. Zauważył, że były nalepki na bagażu młodego dżentelmena, jedna do Exeter i jedna do Exhampton.

Nagły uśmiech rozświetlił twarz Emilii, gdy wyobraziła sobie, jak to Charles popełnia zbrodnię, aby dostarczyć swojej gazecie sensacyjnej wiadomości. Można by — pomyślała — napisać makabryczną historyjkę na ten temat. Podziwiała zarazem sumienność, z jaką inspektor Narracott sprawdzał każdy szczegół dotyczący poszczególnych osób, choćby ich związek ze zbrodnią był nader odległy. Musiał wyjechać z Exeter prawie natychmiast po ich rozmowie. Szybki samochód mógł łatwo wyprzedzić pociąg, a poza tym Emilia jadła jeszcze lunch w Exeter.

— A gdzie pan inspektor udał się później? — zapytała.

— Do Sittaford, panienko. Tom słyszał, jak mówił do kierowcy.

— Do Rezydencji Sittaford?

Brian Pearson nadal, jak wiedziała, przebywał z, paniami Willett w Rezydencji.

— Nie, panienko, do pana Duke'a.

Znów pan Duke. Zaskoczyło to i zirykowało Emilię, Zawsze Duke — dziwna niewiadoma. Powinna była coś o nim wydedukować, ale cóż, na wszystkich chyba wywierał takie samo wrażenie — przeciętny, zwyczajny, sympatyczny człowiek,

„Muszę z nim pomówić — powiedziała sobie Emilia. — Pójdę tam zaraz, jak tylko wrócę do Sittaford”.

Następnie podziękowała pani Evans, udała się do pana Kirkwooda i uzyskała klucz, a teraz stała w holu Hazelmoor i zastanawiała się, czego właściwie tu szuka.

Wspięła się wolno po schodach i weszła do pierwszego pokoju na piętrze. Była to najwyraźniej sypialnia kapitana Trevelyana, opróżniona, jak wspomniał pan Kirkwood, ze wszelkich rzeczy osobistych. Koce złożono w zgrabną kostkę, szuflady były puste, a w szafie nawet żadnego wieszaka. Szafka na buty ukazywała rząd pustych półek.

Emilia westchnęła, odwróciła się i zeszła na dół. Tutaj znajdował się salonik, gdzie niedawno leżał martwy człowiek, a śnieg zawiewał przez otwarte okno.

Starala się wyobrazić sobie tę scenę. Czyja ręka powaliła kapitana Trevelyana i dlaczego? Zabito go dwadzieścia pięć po piątej, jak ogólnie uważano — a może Jim stracił głowę i kłamał? Nie słyszał nikogo przy drzwiach wejściowych, obszedł dom aż do okna, zajrzał, zobaczył ciało swego martwego wuja i uciekł w panice? Gdyby tylko wiedziała... Jak twierdził pan Dacres, Jim trzymał się swojej wersji. Tak, ale Jim mógł stracić głowę. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

A może w domu był jeszcze ktoś inny, jak to sugerował pan Rycroft, ktoś, kto usłyszał kłótnię i wykorzystał okazję?

Jeśli tak — czy rzuca to jakieś światło na problem butów? Czy był ktoś na górze — może w sypialni kapitana? Emilia znów przeszła przez hol. Zajrzała szybko cło jadalni. Stało tam parę kufrów starannie obwiązanych pasami i opatrzonych nalepkami. Kredens był pusty, srebrne puchary znajdowały się w domku majora Burnaby'go.

Zauważyła jednak nagrodę — trzy nowe powieści — o której Charles słyszał od Evansa i opowiedział o tym Emilii z wieloma zabawnymi upiększeniami. Zapomniano o nich i leżały porzucone na krześle.

Rozejrzała się po pokoju i potrząsnęła głową. Nic tu nie było.

Znów poszła na górę i jeszcze raz weszła do sypialni. Musi się dowiedzieć, dlaczego brakuje butów! Dopóki nie wymyśli sobie jakiejś w miarę zadowalającej teorii, która by tłumaczyła ich zniknięcie, dopóty nie będzie w stanie o nich zapomnieć. Kwestia butów urosła do tak niewyobrażalnych rozmiarów, że przytłoczyła wszystko inne. Czy nic jej nie może pomóc?

Emilia wyciągała po kolei wszystkie szuflady i szukała z tyłu za nimi. W powieściach detektywistycznych zawsze znajdował się tam jakiś wiele wyjaśniający skrawek papieru. Ale najwyraźniej w prawdziwym życiu nie można się było spodziewać takich szczęśliwych przypadków albo też inspektor Narracott i jego ludzie wykazali się niezmierną—dokładnością. Sprawdzała luźne deski, obmacała skraj dywanu, zbadała materac sprężynowy. Nie bardzo wiedziała, co spodziewa się znaleźć, ale szukała dalej z zawziętą wytrwałością.

Wreszcie, gdy wstała prostując plecy, wzrok jej padł na jedyną rzecz nie na miejscu w tym pokoju tak wzorowo uporządkowanym: na małą kupkę sadzy w kominku.

Emilia wpatrywała się w nią niby ptak hipnotyzowany przez węża. Zbliżyła się, nie spuszczać z niej oka. To nie była żadna logiczna dedukcja ani rozumowanie typu przyczyna — skutek, po prostu sam widok sadzy nasuwał pewną możliwość. Emilia zakasała rękawy i wcisnęła obie ręce w przewód kominka.

Chwilę później z niewiarygodną radością wpatrywała się w paczkę owiniętą starannie w gazetę. Jednym ruchem zdarła gazetę i zobaczyła zaginioną parę butów.

— Są tutaj! Ale dlaczego? Dlaczego?

Wpatrywała się w buty. Obracała je. Badała je z wierzchu i w środku, a to samo pytanie dudniło

jej monotannie w mózgu — dlaczego?

Ktoś usunął buty kapitana Trevelyana i ukrył je w kominku, ale dlaczego to zrobił?

— O Boże! — krzyknęła Emilia z rozpaczą. — Ja zwariuję! Ustawiała buty starannie na środku podłogi i usiadła na krześle na wprost nich. Zmusiła się, by jeszcze raz przemyśleć wszystko od samego początku, skupiając się na każdym szczególe, jaki poznała sama albo dowiedziała się od innych. Rozmyślała nad każdym aktorem dramatu i osobami z nimi związanymi. I nagle jakaś dziwna, mglista myśl zaczęła nabierać kształtów — teoria, którą podsunęła jej ta para niewinnych, niemych butów stojących na podłodze.

„Ale jeśli to prawda — powiedziała sobie Emilia — jeśli tak było...”

Chwyciła buty i pędem zbiegła na dół. Otworzyła pchnięciem drzwi jadalni i podeszła do szafy ściennej. Był tu różnorodny zbiór trofeów sportowych i ekwipunku kapitana Trevelyana, wszystkie rzeczy, których nie chciał zostawić u swych lokatorek. Narty, czaszki, nogi słonia, kły, wędki — wszystko to czekało, aż firma Young i Peabody zapakuje je fachowo do przechowania.

Emilia pochyliła się z butami w rękę.

Po minucie czy dwóch wyprostowała się zaróżowiona i zdumiona.

— A więc tak to było — powiedziała. — A więc to było tak... Opadła na krzesło. Wielu rzeczy nadal nie mogła zrozumieć. Po kilku minutach wstała i powiedziała głośno:

— Wiem, kto zabił kapitana Trevelyana, ale nie wiem dlaczego. Dalej nie mogę pojąć dlaczego. Ale nie wolno mi tracić czasu.

Wybiegła pędem z Hazelmoor. Znalezienie kierowcy, który zawiózłby ją do Sittaford, było kwestią kilku minut. Zażądała, aby kierowca wysadził ją przed domem pana Duke'a. Zapłaciła wysiadając i gdy samochód odjeżdżał, szła już ścieżką do domku.

Podniosła kołatkę i zastukała nią głośno.

Po dłuższej chwili drzwi otworzył duży, krzepki mężczyzna o nieruchomym obliczu.

Emilia po raz pierwszy stanęła twarzą w twarz z tą tajemniczą postacią.

— Pan Duke? — spytała.

— Tak.

— Nazywam się Emilia Trefusis. Czy mogę wejść? Nastąpiła chwila wahania, po czym mężczyzna usunął się, aby mogła wejść. Emilia wkroczyła do saloniku, a pan Duke zamknął drzwi i podążył za nią.

— Chcę się zobaczyć z inspektorem Narracottem — powiedziała Emilia. — Czy jest tutaj?

Znów nastąpiła pauza. Pan Duke nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć, w końcu jednak się zdecydował. Uśmiechnął się jakimś osobliwym uśmiechem.

— Inspektor Narracott jest tutaj — powiedział. — W jakiej sprawie chce go pani widzieć?

Emilia rozpakowała paczkę, którą przywiozła. Wyjęła parę butów i umieściła je przed nim na stole.

— Chcę z nim porozmawiać na temat tych butów — oświadczyła.

# Drugi seans

— Halo, halo, halo! — zawołał Ronnie Garfield.

Pan Rycroft, który wspinał się mozolnie stromą alejką wiodącą od poczty, przystanął i poczekał, aż Ronnie się z nim zrówna.

— Wraca pan z naszego lokalnego supermarketu, czyli ze sklepiku mamy Hibbert? — spytał Ronnie.

— Nie — odpowiedział pan Rycroft. — Wybrałem się na krótki spacer, za kuźnię. Urocza dzisiaj pogoda.

Ronnie spojrział w górę na niebieskie niebo.

— O, tak, troszkę inna niż w ubiegłym tygodniu. A tak przy okazji, wybiera się pan chyba do pani Willett, prawda?

— Tak. Pan też?

— Tak. Panie Willett to jasny promyczek w Sittaford. Nie wolno się poddawać przygnębieniu — oto ich motto. Trzeba żyć jak zwykle. Ciotka mówi, że to nietakt zapraszać gości na podwieczorek tak zaraz po pogrzebie i tak dalej, ale to puste gadanie. Mówi tak, bo czuje się wstrząśnięta z powodu Cesarza Peru.

— Cesarza Peru? — spytał zdumiony pan Rycroft.

— To jeden z tych przeklętych kotów. Okazał się cesarzową i ciotka Karolina jest tym oczywiście zdenerwowana. Nie znosi problemów związanych z seksem, więc się wyładowała wygłaszając zjadliwe uwagi o paniach Willett. Dlaczego by nie miały zaprosić gości na podwieczorek? Przecież Trevelyan nie był ani ich krewnym, ani nikim w tym rodzaju.

— Całkiem słusznie — pan Rycroft odwrócił głowę i przyglądał się ptaszкови, który przeleciał obok, i w którym, jak sądził, rozpoznał rzadki gatunek. — Co za pech — zamruczał. — Nie mam ze sobą lornetki.

— Hej, niech pan słucha. A propos Trevelyana, nie sądzi pan, że pani Willett mogła lepiej znać tego starego, niż się do tego przyznaje?

— Dlaczego pan o to pyta?

— Z powodu zmiany, jaka w niej zaszła. Widział pan kiedyś coś podobnego? W ciągu ubiegłego tygodnia postarzała się o dwadzieścia lat. Musiał pan to zauważyć.

— Tak — powiedział pan Rycroft. — Zauważyłem.

— No, widzi pan. W taki czy inny sposób śmierć Trevelyana musiała być dla niej straszliwym szokiem. A gdyby się tak okazało, że jest dawno zaginioną żoną starszego pana, którą porzucił w młodości, a później nie rozpoznał?

— To chyba mało prawdopodobne, proszę pana.

— Za bardzo przypomina scenariusz filmowy, co? Ale i w życiu zdarzają się bardzo dziwne rzeczy. Czytałem o zdumiewających sprawach w „Daily Wire”. Nigdy by człowiek nie uwierzył, gdyby nie to, że piszą o nich w gazecie.

— I dlatego są bardziej wiarygodne? — kwaśno zagadnął pan Rycroft.

— Zawziął się pan na młodego Enderby’ego, prawda? — spytał Ronnie.

— Nie znoszę grubiańskiego wtykania nosa w sprawy, które dotyczą innych — stwierdził pan Rycroft.

— Ale on uważa, że go dotyczą — upierał się Ronnie. — Chodzi mi o to, że wtykanie wszędzie nosa to obowiązek zawodowy tego biednego chłopaka. Chyba zupełnie oczarował starego Burnaby’ego. Zabawne, ten staruch ledwie znosi mój widok. Działam na niego jak czerwona płachta na byka.

Pan Rycroft nic nie odpowiedział.

— O rety! — zawołał Ronnie patrząc na niego. — Wie pan, że dzisiaj piątek? Akurat tydzień temu, o tej porze, brnęliśmy do pani Willett tak jak teraz. Ale pogoda się troszkę zmieniła.

— Tydzień temu... — powiedział pan Rycroft. — A wydaje się, że o wiele dawniej.

— Jakby minął cały rok, prawda? Halo, Abdul! Przechodzili koło furtki kapitana Wyatta, o którą opierał się melancholijny Hindus.

— Jak się masz, Abdul? — powiedział pan Rycroft. — Jak się miewa twój pan?

Hindus potrząsnął głową.

— Pan dzisiaj źle, sahib. Nikogo nie widzieć! Długi czas nikogo nie widzieć!

— Wie pan — powiedział Ronnie, gdy go minęli — ten typ mógłby łatwo zamordować kapitana Wyatta i nikt by się nie dowiedział. Tygodniami potrząsałby głową i mówił, że pan nikogo nie chce widzieć i nikt by nie pomyślał, że jest w tym coś dziwnego.

Pan Rycroft przyznał mu słusność.

— Ale pozostałby problem, jak się pozbyć ciała — zauważył.

— Tak, to zawsze jest zawada, prawda? Bardzo niewygodna rzecz — zwłoki.

Mijali domek majora Burnaby'ego. Major był w ogrodzie, wpatrując się gniewnie w chwast rosnący w miejscu, gdzie chwastów być nie powinno.

— Witam, majorze — powiedział pan Rycroft. — Czy pan też idzie do Rezydencji Sittaford?

Burnaby potarł nos.

— Chyba nie. Przysłały mi liścik z zaproszeniem. Ale właściwie nie mam ochoty. Chyba się pan nie dziwi.

Pan Rycroft skłonił głowę ze zrozumieniem.

— A jednak — powiedział — chciałbym, żeby pan poszedł, i mam po temu powód.

— Powód? Jaki powód?

Pan Rycroft zawahał się. Było jasne, że powstrzymuje go obecność Ronniego Garfielda. Lecz Ronnie wcale tego nie spostrzegł i przysłuchiwał się im ze szczerym zainteresowaniem.

— Chciałbym przeprowadzić pewien eksperyment — powiedział wreszcie powoli pan Rycroft.

— Co za eksperyment? — zapytał Burnaby. Pan Rycroft znów się zawahał.

— Wolałbym przedtem o tym nie mówić. Ale jeżeli pan przyjdzie, to proszę, aby pan poparł moją propozycję. Wzbudziło to ciekawość majora Burnaby'ego.

— Dobrze — powiedział. — Idę. Może pan na mnie liczyć. Gdzie mój kapelusz?

Za chwilę dołączył do nich w kapeluszu i wkrótce wszyscy trzej dotarli do bramy Rezydencji Sittaford.

— Słyszałem, że oczekuje pan gości, panie Rycroft — odezwał się Burnaby dla podtrzymania rozmowy.

Cień gniewu przemknął po twarzy jego towarzysza.

— Kto to panu powiedział?

— Ta skrzecząca sroka, pani Curtis. Jest czysta, jest uczciwa, ale ciągle miele językiem i nie zwraca nawet uwagi, czy się jej słucha, czy nie.

— To prawda — przyznał pan Rycroft. — Jutro oczekuję mojej siostrzenicy, pani Dering z mężem.

Dotarli już do drzwi wejściowych, które otworzył im Brian Pearson.

Gdy zdejmowali w holu płaszcze, pan Rycroft obserwował z zainteresowaniem tego wysokiego

młodego człowieka o szerokich barach.

„Świetny okaz — myślał. — Bardzo udany okaz. Silny charakter. Ciekawy zarys szczęki. W pewnych okolicznościach może być groźnym przeciwnikiem. Niebezpieczny młody człowiek, tak można by go określić”.

Gdy major Burnaby wszedł do salonu i pani Willett wstała, aby go powitać, ogarnęło go dziwne uczucie nierealności!

— Cudownie, że pan przyszedł.

Te same słowa co w ubiegłym tygodniu. Ten sam płonący ogień na kominku. Nie był pewien, ale zdawało mu się, że nawet panie są w tych samych sukniach.

Stwarzało to dziwny nastrój, tak jakby był to znów ubiegły tydzień, jakby nie umarł Joe Trevelyan, jakby nic się nie wydarzyło ani nie zmieniło. Stop! Nieprawda, zmieniła się ta kobieta, pani Willett. Ruina — tak tylko można było określić jej wygląd. Już nie była to zamożna i pewna siebie światowa kobieta, lecz załamana, nerwowa istota, która podejmuje widoczne i żałosne wysiłki, aby wydawać się taką jak zwykle.

„Nie mam pojęcia, czemu śmierć Joego wywarła na niej takie wrażenie” — pomyślał major.

Po raz setny uświadomił sobie, że jest coś diabło osobliwego w paniach Willett. Nagle zorientował się, że milczy i że ktoś do niego mówi.

— Przykro mi, że to nasze ostatnie skromne spotkanie... — mówiła pani Willett.

— Co takiego? — wtrącił się nagle Ronnie Garfield.

— Tak. — Pani Willett z cieniem uśmiechu pokiwała głową. — Musimy zrezygnować ze spędzenia reszty zimy w Sittaford. Ja sama oczywiście uwielbiam to miejsce, ten śnieg, te skaliste wzgórza, to odludzie. Ale sprawa służby! Ten problem ze służbą jest dla mnie za trudny, pokonał mnie.

— Zdawało mi się, że mają panie mieć lokaja, kierowcę i kucharza — powiedział major Burnaby.

Nagły dreszcz wstrząsnął ciałem pani Willett.

— Nie — powiedziała — muszę... porzucić ten projekt.

— O mój Boże — westchnął pan Rycroft. — To wielki cios dla nas wszystkich, naprawdę bardzo smutne. Znów pograżymy się w naszej rutynie, gdy panie wyjadą. A skoro już o tym mowa, kiedy panie wyjeżdżają?

— Myślę, że w poniedziałek — powiedziała pani Willett. — Chyba żeby dało się jutro. Bardzo tu niewygodnie bez służby. Oczywiście, muszę jeszcze ustalić pewne sprawy z panem Kirkwoodem, Wynajęłam dom na cztery miesiące.



— Jada panie do Londynu? — dopytywał się pan Rycroft.

— Tak, przynajmniej na razie. Potem chcemy wyjechać za granicę, na Riwierę.

— Będzie to wielka strata — rzekł pan Rycroft, kłaniając się szarmancko.

Pani Willett wydała z siebie cichy, dziwny, bezsensowny chichot.

— Bardzo pan uprzejmy. No cóż, pora na herbatę.

Stół był już nakryty. Pani Willett nalewała herbatę, a Ronnie i Brian pomagali obsługiwać gości. Całe towarzystwo czuło się zakłopotane.

— A co z panem? — zwrócił się nagle Burnaby do Briana Pearsona. — Pan też wyjeżdża?

— Do Londynu, tak. Oczywiście nie wyjadę za granicę, dopóki ta historia się nie skończy.

— Ta historia?

— To znaczy dopóki mój brat nie zostanie oczyszczony z tego absurdalnego oskarżenia — warknął Brian tak wyzywająco i zaczepnie, że goście umilkli. Major Burnaby rozładował sytuację.

— Nigdy nie wierzyłem, że on to zrobił. Ani przez chwilę — powiedział.

— Nikt z nas tak nie myślał — dodała Violetta, rzucając mu wdzięczne spojrzenie.

Zapadła cisza, którą przerwało brzęczenie dzwonka.

— To pan Duke — powiedziała pani Willett. — Wpuść go, Brianie.

Młody Pearson podszedł do okna.

— To nie Duke — powiedział. — To ten przeklęty dziennikarz.

— O mój Boże! — wykrzyknęła pani Willett. — No trudno, myślę, że mimo wszystko musimy go wpuścić.

Brian skinął głową i po kilku minutach wprowadził Charlesa.

Enderby wkroczył do pokoju z właściwą sobie niewinną miną, promieniejąc zadowoleniem. Do głowy by mu nie przyszło, że może nie być mile widziany.

— Jak się pani miewa, droga pani Willett? Pomyślałem sobie, że wpadnę i zobaczę, co słyhać. Zastanawiałem się, gdzie się wszyscy w Sittaford podzieli. No i teraz już wiem.

— Pozwoli pan herbaty?

— Strasznie pani miła, tak, proszę. Widzę, że Emilii tu nie ma. Chyba jest u pańskiej ciotki, panie

Garfield.

— Nic mi o tym nie wiadomo — powiedział Ronnie, mierząc go wzrokiem. — Myślałem, że pojechała do Exhampton.

— O tak, ale już wróciła. Skąd wiem? Powiedział mi mały ptaszek, dla ścisłości, ptaszek Curtis. Widziała, jak samochód minął pocztę i pojechał alejką, a wracał pusty. Nie ma jej w domku numer pięć i nie ma jej w Rezydencji Sittaford. Zagadka: gdzie jest Emilia? Skoro nie wpadła do panny Percehouse, musi popijać herbatkę z tym pożeraczem serc niewieścich, kapitanem Wyattem.

— Mogła się udać na Wzgórze Sittaford, aby obserwować zachód słońca — zauważył pan Rycroft.

— Nie sądzę — rzekł major Burnaby. — Widziałbym, jak przechodzi. Byłem w ogrodzie od godziny.

— No cóż, nie jest to bardzo istotny problem, jak sądzę — stwierdził pogodnie Charles. — To znaczy, nie przypuszczam, żeby ją ktoś porwał, zamordował czy coś w tym rodzaju.

— A jaka to szkoda z punktu widzenia pańskiej gazety, czyż nie? — szyderczo zauważył Brian.

— Nie poświęciłbym Emilii nawet dla sensacji reporterskiej — oświadczył Charles. — Emilia — dodał z zadumą — jest niezwykła.

— Czarująca — powiedział pan Rycroft. — Urocza. Jesteśmy, ee... współpracujemy z sobą, ona i ja.

— Czy wszyscy już skończyli? — spytała pani Willett. — Może partyjkę brydża?

— Ee... chwileczkę — powiedział pan Rycroft. Odchrząknął z namaszczeniem. Wszyscy zwrócili na niego wzrok. — Jak pani wie, głęboko mnie interesują zjawiska metapsychiczne. Tydzień temu w tym właśnie pokoju mieliśmy zdumiewające, wzbudzające prawdziwą grozę przeżycie.

Słaby okrzyk wydarł się z gardła Violetty Willett. Pan Rycroft zwrócił się do niej.

— Wiem, moja droga pani, wiem. To przeżycie wytrąciło panią z równowagi. Bezspornie było to zatrważające. Od czasu zbrodni siły policyjne poszukują mordercy kapitana Trevelyana. Dokonano aresztowania. A niektórzy z nas, przynajmniej obecni w tym pokoju, nie wierzą, aby pan James Pearson był winien. Proponuję rzecz następującą: abyśmy powtórzyli eksperyment z ubiegłego piątku, choć tym razem podejmiemy do tego w całkiem innym nastroju.

— Nie! — krzyknęła Violetta.

— Coś podobnego! — zawołał Ronnie. — Tego już za wiele. Ja się w każdym razie nie przyłączam.

Pan Rycroft nie zwrócił na niego uwagi.

— A pani? Co pani powie? Pani Willett zawahała się.

— Szczerze mówiąc, proszę pana, nie podoba mi się ten pomysł. Zupełnie mi to nie odpowiada. Ta nieszczęsna historia z ubiegłego tygodnia wywarła na mnie bardzo przykre wrażenie. Długo potrwa, zanim o tym zapomnę.

— A do czego pan właściwie zmierza? — spytał Enderby z zainteresowaniem. — Chce pan, aby duchy podały nam nazwisko mordercy kapitana Trevelyana? Czy nie za wiele się pan spodziewa?

— W zeszłym tygodniu nikt się nie spodziewał, a tymczasem nadeszła wiadomość, że kapitan Trevelyan nie żyje.

— To prawda — zgodził się Enderby. — Ale... widzi pan... ten pański plan może mieć konsekwencje, jakich nie bierze pan pod uwagę.

— Na przykład?

— Przypuśćmy, że padnie jakieś nazwisko? Czy może pan być pewien, że ktoś obecny celowo...

Urwał, a Ronnie Garfield podrzucił właściwe słowo.

— ...nie popychał, o to mu chodzi. Przypuśćmy, że ktoś sobie przychodzi, siada i popycha stolik.

— To poważny eksperyment, proszę pana — powiedział gorąco pan Rycroft. — Nikt by nie zrobił czegoś takiego.

— Nie wiem — z powątpiewaniem stwierdził Ronnie. — Nie wykluczyłbym tego. Nie mówię o sobie samym. Przysięgam, że nie zrobiłbym tego, ale przypuśćmy, że wszyscy zwrócą się przeciwko mnie i powiedzą, że to ja. To bardzo kłopotliwe.

— Proszę pani, mówię poważnie — mały starszy pan nie zwracał uwagi na Ronniego. — Bardzo panią proszę, aby pozwoliła pani na ten eksperyment.

Pani Willett wciąż się wahała.

— To mi się nie podoba. Naprawdę mi się nie podoba. — Rozejrzała się wokół zakłopotana, jakby szukając drogi ucieczki. — Panie majorze, pan był przyjacielem kapitana Trevelyana. Co pan na to powie?

Oczy majora spotkały się ze wzrokiem pana Rycrofta. Domyślił się, że to właśnie ma być eksperyment, który Rycroft zapowiadał.

— Dlaczego nie? — odparł burkliwie. Stanowczość tej wypowiedzi przesądziła sprawę.

Ronnie poszedł do przyległego pokoju i przyniósł mały stolik, którego używano przedtem. Postawił go na środku, wokół ustawiono krzesła. Nikt się nie odzywał. Eksperyment najwyraźniej nikogo nie zachwycał.

— Myślę, że wszystko jest tak jak trzeba — powiedział pan Rycroft. — Mamy powtórzyć eksperyment z ubiegłego piątku dokładnie w takich samych warunkach.

— Nie w takich samych — zaprotestowała pani Willett. — Brakuje nam pana Duke'a.

— Słusznie — powiedział pan Rycroft. — Szkoda, że go tu nie ma. Wielka szkoda. No cóż, ee... zastąpi go nam pan Pearson.

— Nie bierz w tym udziału, Brian. Błagam cię. Proszę, nie! — krzyknęła Violetta.

— A cóż to szkodzi? I tak to wszystko nie ma sensu.

— To całkiem niewłaściwe podejście — powiedział surowo pan Rycroft.

Brian Pearson w milczeniu zajął miejsce koło Violetty.

— Pan Enderby... — zaczął pan Rycroft, lecz Charles mu przerwał.

— Nie brałem w tym udziału. Jestem dziennikarzem i państwo mi nie wierzą. Będę robił notatki o każdym... zjawisku... to właściwe słowo, prawda?... jakie będzie miało miejsce.

I na tym stanęło. Pozostałe sześć osób zajęło swe miejsca wokół stołu. Charles zgasił światło i usiadł na obrzeżu kominka.

— Chwileczkę — powiedział. — Która godzina? — W świetle kominka zerknął na swój zegarek.

— Bardzo dziwne — powiedział.

— Co jest dziwne?

— Jest akurat dwadzieścia pięć minut po piątej.

Violetta wydała cichy okrzyk. Pan Rycroft powiedział surowo:

— Cisza.

Minuty mijały. Jakże różniła się atmosfera od tej z ubiegłego tygodnia! Nie było tłumionego śmiechu ani szeptanych komentarzy, tylko cisza, przzerwana wreszcie lekkim stuknięciem od strony stolika.

Pan Rycroft podniósł głos.

— Czy jest tu ktoś?

Jeszcze jedno lekkie stuknięcie — dźwięk pełen grozy w tym zaciemnionym pokoju.

— Czy jest tu ktoś?

Tym razem nie stuknięcie, ale głośny łomot. Violetta wrzasnęła. Pani Willett też krzyknęła. Brian Pearson uspakajająco podniósł głos.

— Wszystko w porządku. Ktoś stuka do drzwi. Pójdę i otworzę. Wyszedł pewnym krokiem.

Nikt nadal nic nie mówił. Nagle drzwi otworzyły się i zapalono światła. W drzwiach stał inspektor Narracott, a za nim Emilia Trefusis i pan Duke.

Narracott wkroczył do pokoju.

— Johnie Burnaby — powiedział — oskarżam pana o zamordowanie Josepha Trevelyana w piątek, czternastego bieżącego miesiąca, i uprzedzam pana, że wszystko, co pan powie, będzie zaprotokołowane i może być użyte jako dowód przeciwko panu.

# Emilia wyjaśnia

Grono osób, którym zdumienie odebrało głos, otoczyło Emilię Trefusis.

Inspektor Narracott wyprowadził więźnia z pokoju.

Charles Enderby pierwszy odzyskał głos.

— Na litość boską, Emilio, wykrztuś coś — powiedział. — Muszę zdążyć na pocztę, każda chwila się liczy.

— To major Burnaby zabił kapitana Trevelyana.

— Widziałem, jak Narracott go aresztował. I przypuszczam, że Narracott jest zdrow na umyśle, że nie oszalał nagle. Ale jak Burnaby mógł zabić Trevelyana? To znaczy, czy było to w ogóle w ludzkiej mocy? Jeżeli Trevelyan został zabity dwadzieścia pięć po piątej...

— Wcale nie. Nie wtedy. Został zabity mniej więcej za kwadrans szósta.

— Tak, ale nawet wtedy...

— Wiem, wpadłam na to przypadkiem. Narty. Oto całe wyjaśnienie. Narty.

— Narty? — powtórzyli wszyscy. Emilia przytaknęła.

— Tak. Burnaby rozmyślnie manipulował tym stolikiem. Widzisz, Charles, to nie był, jak sądziliśmy, przypadek wynikający z działania podświadomego, to była druga możliwość, którą odrzuciliśmy: działanie celowe. Burnaby wiedział, że niedługo zacznie padać śnieg i zatrze wszelkie ślady, co sprawę uczyni bezpieczną. Zasugerował wszystkim, że kapitan Trevelyan nie żyje. Potem udawał, że jest bardzo przejęty, i upierał się, że wyruszy do Exhampton.

Udał się do domu, założył narty, które trzymał w komórce w ogrodzie razem z innym sprzętem, i wyruszył. Jest doskonałym narciarzem, a droga do Exhampton prowadzi w dół — cudowny zjazd. Zajęło mu to około dziesięciu minut.

Podjechał pod okno i zastukał. Kapitan Trevelyan, nic nie; podejrzewając, wpuścił go do środka. Potem, kiedy Trevelyan się odwrócił, Burnaby chwycił worek z piaskiem i zabił go. Brr! Niedobrze mi się robi, gdy o tym pomyślę.

Wstrząsnął nią dreszcz.

— Dalej wszystko było całkiem łatwe. Miał dużo czasu. Musiał wytrzeć i oczyścić narty, potem wstawił je do szafy ściennej, między inne rzeczy. Następnie, jak myślę, wyważył oszklone drzwi, powyciągał szuflady i powyrzucał rzeczy, aby stworzyć wrażenie, że ktoś się włamał. Potem, tuż

przed ósmą, pozostało mu tylko wyjść, zawrócić na drodze trochę wyżej i wejść do Exhampton sapiąc i dysząc, jak gdyby przybył pieszo z Sittaford. Jak długo nikt nie podejrzewał, że zjechał na nartach, był absolutnie bezpieczny. A doktor stwierdził, że kapitan nie żyje przynajmniej od dwóch godzin. I, jak mówiłam, dopóki nikt nie pomyślał o nartach, major Burnaby miał doskonałe alibi.

— Ależ Burnaby i Trevelyan się przyjaźnili — powiedział pan Rycroft. — Starzy przyjaciele, zawsze byli przyjaciółmi. To nie do wiary.

— Tak — powiedziała Emilia. — I ja tak myślałam. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego? Głowiłam się i głowiłam, i w końcu musiałam się udać do inspektora Narracotta i pana Duke'a.

Przerwała i spojrzała na niewzruszonego pana Duke'a.

— Czy mogę im powiedzieć? — spytała.

Pan Duke uśmiechnął się.

— Jeżeli pani sobie życzy...

— W każdym razie... ale nie, może pan wolałby, żebym nie mówiła. A więc udałam się do nich i sprawa się wyjaśniła. Charles, czy pamiętasz, jak Evans wspomniał, że kapitan Trevelyan zwykle wysyłał rozwiązania konkursów na jego nazwisko? Uważał, że Rezydencja Sittaford jest zbyt eleganckim adresem. Otóż tak samo było z totkiem piłkarskim, za którego rozwiązanie wręczyłeś majorowi Burnaby'emu pięć tysięcy funtów. Wyprowadził go właściwie kapitan Trevelyan i wysłał na nazwisko majora Burnaby'ego. Adres: domek nr 1, Sittaford, brzmiał jego zdaniem znacznie lepiej. No i co się dzieje? W piątek rano major Burnaby otrzymuje list z zawiadomieniem, że wygrał pięć tysięcy funtów (a przy okazji, powinno to być wzbudzić w nas podejrzenie. Powiedział, że nie dostał listu, że nic w piątek nie przyszło ze względu na pogodę. To było kłamstwo. Właśnie w piątek rano poczta jeszcze dochodziła.) Na czym to ja skończyłam? Aha! Jak major Burnaby otrzymuje list. Potrzebował tych pięciu tysięcy. Bardzo potrzebował. Grał niefortunnie na giełdzie i stracił masę pieniędzy. Pomysł musiał mu przyjść do głowy całkiem nagle, jak sądzę. Może wtedy, kiedy się dowiedział, że wieczorem będzie padać śnieg. Gdyby Trevelyan nie żył, mógłby zatrzymać pieniądze i nikt by się o tym nie dowiedział.

— Zdumiewające — wyszeptał pan Rycroft. — Po prostu zdumiewające. Nigdy mi się nawet nie śniło, że... Ale, droga pani, jak się pani o tym wszystkim dowiedziała? Co naprowadziło panią na właściwy ślad?

Emilia opowiedziała o liście pani Belling i wyjaśniła, jak odkryła buty w kominku.

— Gdy im się przyglądałam, coś mi przyszło do głowy. To były buty narciarskie, proszę państwa, więc zaczęłam myśleć o nartach. Przyszło mi do głowy, że może... popędziłam na dół do szafy i rzeczywiście, stały tam dwie pary nart. Jedna para była dłuższa i buty pasowały do tej dłuższej pary, a do drugiej nie. Wiązania nart były dostosowane do mniejszych butów. Krótsza para nart należała do innej osoby.

— Powinien był ukryć narty gdzieś indziej — rzekł pan Rycroft z dezaprobatą krytyka sztuki.

— Ależ nie — powiedziała Emilia. — Gdzież indziej mógłby je ukryć? To było naprawdę bardzo dobre miejsce. Za dzień czy dwa cały zestaw sprzętu zostałby zabrany na skład, a zresztą było mało prawdopodobne, aby policja zawracała sobie głowę tym, czy kapitan Trevelyan miał jedną parę nart czy dwie.

— Ale dlaczego schował bury?

— Przypuszczam — powiedziała Emilia — że się obawiał, aby policja nie zrobiła dokładnie tego, co ja zrobiłam. Widok butów do nart mógłby im się skojarzyć z nartami. Więc wepchnął je do kominka. I tutaj właśnie popełnił oczywisty błąd, ponieważ Evans zauważył ich brak i ja się o tym dowiedziałam.

— Czy on rozmyślnie chciał zrzucić winę na Jima? — dopytywał się gniewnie Brian Pearson.

— Ależ nie. To tylko idiotyczny pech Jima. Zachował się jak idiota, biedaczek.

— Nic mu już nie grozi — stwierdził Charles. — Nie musisz się o niego martwić. Czy wszystko już powiedziałaś, Emilio, bo jeżeli tak, to muszę pędzić na pocztę. Państwo wybaczą.

Wypadł pędem z pokoju.

— Żywe srebro — powiedziała Emilia. Pan Duke wtrącił swym niskim głosem:

— To raczej pani sama okazała się żywym srebrem, miła pani.

— O tak! — zawołał Ronnie z podziwem.

— Ach, mój Boże! — jęknęła nagle Emilia i opadła bez sił na krzesło.

— Przydałoby się pani coś na wzmocnienie — powiedział Ronnie. — Może koktajl?

Emilia pokręciła głową.

— Trochę brandy? — zaproponował troskliwie pan Rycroft.

— Filizankę herbaty? — dołączyła się Violetta.

— Poproszę o odrobinę pudru — powiedziała Emilia marząco. — Zostawiłam puderniczkę w samochodzie, a na pewno cała się świecę z podniecenia.

Violetta zaprowadziła ją na górę, by podać wzmiankowany środek na nerwy.

— Już lepiej — powiedziała Emilia pudrując zawzięcie nos. — Jaki dobry gatunek. Czuję się teraz o wiele lepiej. A czy ma pani szminkę do ust? Czuję się już prawie jak człowiek.



— Była pani cudowna — mówiła Violetta. — Taka dzielna.

— Wcale nie — odparła Emilia. — Ja tylko udawałam dzielną, a głębi duszy trzęsłam się jak galareta i w środku wręcz niedobrze mi się robiło.

— Rozumiem — rzekła Violetta — bo sama czułam się mniej więcej tak samo. Bałam się tak strasznie w ciągu tych ostatnich kilku dni. O Briana, wie pani. Oczywiście nie mogli go powiesić za zamordowanie kapitana Trevelyana, ale gdyby tylko powiedział, gdzie się w ciągu tego dnia podziewał, wkrótce by wykryli, że to właśnie on zorganizował ucieczkę ojca.

— Co takiego? — spytała Emilia przerywając robienie makijażu.

— Więźniem, który uciekł, jest mój ojciec. Dlatego właśnie tu przyjechałyśmy, mama i ja. Biedny ojciec, bywał taki dziwny od czasu do czasu i wtedy popełniał te okropne rzeczy. Spotkałyśmy Briana w drodze z Australii i on i ja, no... on i ja...

— Rozumiem panią — pośpieszyła z pomocą Emilia. — Oczywiście, wiem.

— Wszystko mu powiedziałam i wymyśliliśmy razem pewien plan. Brian jest cudowny. Na szczęście mamy dużo pieniędzy, a Brian wszystko zaplanował. Wie pani, jak trudno jest uciec z Princetown, ale Brian wszystko zorganizował. To było jak cud. Plan był taki, że ojciec po ucieczce uda się prosto tutaj i ukryje się w Jaskini Wróżki, a później on i Brian mieli uchodzić za naszych dwóch służących. Widzi pani, przyjechałyśmy tu wcześniej, bo myślałyśmy, że będziemy wolne od podejrzeń. To Brian właśnie powiedział nam o tym miejscu i doradził, aby zaproponować wysoki czynsz kapitanowi Trevelyanowi.

— Strasznie mi przykro — powiedziała Emilia. — To znaczy, że wszystko poszło nie tak.

— Matkę załamało to kompletnie — mówiła Violetta. — A Brian jest cudowny, nie każdy chciałby poślubić córkę skazańca. Ja zresztą nie sądzę, żeby to naprawdę była wina ojca. Mniej więcej piętnaście lat temu koń mocno kopnął go w głowę i od tego czasu stał się taki dziwny. Brian mówi, że gdyby miał dobrego obrońcę, toby z tego wyszedł. Ale nie mówmy już więcej o mnie.

— Czy nic nie da się zrobić? Violetta potrząsnęła głową.

— Jest teraz bardzo chory. To po tej wędrowce na zimnie, wie pani. Ten okropny ziąb. Wywiązało się zapalenie płuc. Nie mogę powstrzymać się od myśli, że gdyby umarł, to... byłoby dla niego naprawdę najlepiej. Wiem, że to brzmi strasznie, ale pani wie, o co mi chodzi.

— Biedna Violetta — powiedziała Emilia. — Co za okropny pech.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Mam Briana — powiedziała. — A pani ma... Przerwała zakłopotana.

— Taak — rzekła Emilia w zamyśleniu. — Właśnie.



# Szcześliwy wybraniec

Dziesięć minut później Emilia śpieszyła alejką. Kapitan Wyatt oparty o swą furtkę próbował ją zatrzymać.

— Hej, proszę pani! — zawołał. — Co to ja słyszę?

— To wszystko prawda — rzuciła Emilia śpiesząc przed siebie.

— Tak, ale proszę się zatrzymać. Proszę wejść na kieliszek wina czy filiżankę herbaty. Jest tyle czasu, po co się śpieszyć? To właśnie jest u was najgorsze, cywilizowani ludzie.

— Tak, wiem. Jesteśmy okropni — zgodziła się Emilia przyśpieszając kroku.

Wpadła do panny Percehouse jak bomba.

— Przyszłam, żeby wszystko pani opowiedzieć — oznajmiła.

I popłynęła opowieść, w której funkcję znaków przestankowych pełniły wydawane przez pannę Percehouse okrzyki w rodzaju: „Coś takiego!”, „Niemożliwe!” lub „Nie do wiary!”.

Gdy Emilia skończyła swą relację, panna Percehouse uniosła się na łokciu i pogroziła złowieszczo palcem.

— A nie mówiłam? — zakrzyknęła. — Mówiłam ci, że Burnaby jest człowiekiem zawistnym. Ale ci przyjaciele! Od dwudziestu lat Trevelyan wszystko robił znacznie lepiej niż Burnaby. Lepiej jeździł na nartach, lepiej się wspinał, lepiej strzelał i lepiej rozwiązywał krzyżówki. A Burnaby nie był na tyle wielkoduszny, aby to znosić. I Trevelyan był bogaty, a Burnaby biedny. Trwało tak od dawna. A zapewniam cię, że bardzo trudno naprawdę polubić kogoś, kto wszystko robi nieco lepiej niż my. No, a Burnaby jest człowiekiem ograniczonym i małostkowym, i działało mu to na nerwy.

— Sądzę, że ma pani rację — powiedziała Emilia. — No cóż, musiałam przyjść i wszystko pani opowiedzieć, bo to niesprawiedliwe, żeby pani czuła się wyłączona z tej sprawy. A tak przy okazji, wie pani, że pani siostrzeniec zna moją ciotkę Jennifer? W środę jedli razem podwieczorek u Delleri.

— To jego matka chrzestna — powiedziała panna Percehouse. — A więc to był ten „facet”, którego chciał spotkać w Exeter. O ile znam Ronniego, to pożyczył pieniądze. Już ja z nim pogadam.

— Zabraniam pani komukolwiek dokuczać w dzień tak radosny jak dzisiaj — mówiła Emilia. — Do widzenia. Muszę lecieć, mam tyle do zrobienia.

— A co masz do zrobienia, moja panno? Powiedziałabym, że swoje już zrobiłaś.

— Nie całkiem. Muszę pojechać do Londynu spotkać się z ludźmi z Towarzystwa Ubezpieczeniowego Jima i przekonać ich, żeby nie wnosili przeciwko niemu oskarżeń w związku z tą drobną sprawą pożyczonych pieniędzy.

— Hm... — powiedziała panna Percehouse.

— Wszystko będzie dobrze — zapewniła ją Emilia. — Jim już nie zboczy z drogi w przyszłości, dostał swoją nauczkę.

— Może. Myślisz, że uda ci się ich przekonać?

— Tak — rzekła Emilia stanowczo.

— No cóż — powiedziała panna Percehouse. — Może i tak. A co potem?

— A potem — ciągnęła Emilia — to już będzie koniec. Zrobiłam dla Jima wszystko, co mogłam.

— A więc zapytuję, co dalej?

— Co pani ma na myśli?

— Co dalej? No więc powiem jaśniej: który z nich?

— Och! — wykrzyknęła Emilia.

— Właśnie tego chcę się dowiedzieć. Który z nich będzie tym nieszczęsnym człowiekiem?

Emilia zaśmiała się. Pochyliwszy się ucałowała starszą panią.

— Niech pani nie udaje naiwnej — powiedziała. — Doskonale pani wie, który.

Panna Percehouse zachichotała.

Emilia wybiegła lekko z domu i właśnie wychodziła z furki, gdy nadbiegł alejką Charles.

Chwycił jej obydwie dłonie.

— Emilio, kochanie!

— Charles! Czyż to wszystko nie jest cudowne?

— Muszę cię pocałować — oznajmił pan Enderby i zrobił to. — Jestem człowiekiem sukcesu, Emilio — powiedział. — A teraz słuchaj, kochanie, co dalej?

— Jak to dalej?

— No, chodzi mi o to, że nie byłoby to może ładnie wobec biednego Pearsona siedzącego w więzieniu i tak dalej. Ale teraz jest już oczyszczony z zarzutów i ... no cóż... musi przełknąć gorzką

pigułkę jak każdy.

— O czym ty właściwie mówisz? — spytała Emilia. — Wiesz doskonale, że wariuję za tobą — powiedział pan Enderby — a i ty mnie lubisz. Pearson to był po prostu błąd. Chcę powiedzieć, że, no wiesz, że jesteśmy stworzeni dla siebie. I obydwójce o tym wiedzieliśmy przez cały ten czas, nieprawdaż? Co wolisz, urząd stanu cywilnego, kościół, czy jeszcze coś innego?

— Jeżeli chodzi ci o małżeństwo — powiedziała Emilia — to nic z tego.

— Co? No wiesz!

— Nie! — powiedziała Emilia.

— Ależ Emilio...

— Jeśli chcesz wiedzieć — mówiła Emilia — to kocham Jima. Namiętnie!

Charles wytrzeszczył oczy, oszołomiony i oniemiały.

— Ależ nie możesz go kochać!

— Właśnie że mogę! Kocham! I zawsze kochałam! I zawsze będę kochać!

— Przecież ty... dałaś mi do zrozumienia...

— Powiedziałam ci — rzekła Emilia skromnie — że cudownie jest mieć kogoś, na kim można polegać.

— Tak, ale ja uważałem...

— Nic nie poradzę na to, co uważałeś.

— Ależ z ciebie pozbawiona skrupułów diablica, Emilio.

— Wiem o tym, kochany Charlesie, wiem o tym. Możesz mnie nazywać, jak ci się podoba. Ale nie przejmuj się. Pomyśl tylko, jak wielkim zostaniesz człowiekiem. Masz swoją sensację! Cała kolumna w „Daily Wire”. Jesteś człowiekiem sukcesu. A cóż znaczy kobieta? Mniej niż pył. Żaden prawdziwie silny mężczyzna, nie potrzebuje kobiety. Kobieta jest mu tylko zawadą, przyczepia się do niego jak bluszcz. Wielki człowiek to ten, który jest niezależny od kobiet. Kariera! Nie ma nic tak wspaniałego, tak całkowicie zadowalającego mężczyznę, jak wielka kariera. A ty jesteś silnym mężczyzną, Charles, takim, który potrafi być sam.

— Czy przestaniesz gadać, Emilio? Brzmi to jak radiowa pogadanka dla dorastających chłopców. Złamałaś mi serce. Nie wiesz, jak ślicznie wyglądałaś, gdy weszłaś do tego pokoju z Narracottem. Zupełnie jak jakaś postać z łuku triumfalnego.

W alejce zachrząściły kroki i pojawił się pan Duke.

— Och, a oto pan Duke! — wykrzyknęła Emilia. — Charles, muszę cię przedstawić. Oto nadinspektor Duke ze Scotland Yardu.

— Co takiego? — krzyknął Charles rozpoznając sławne nazwisko. — Ten inspektor Duke?

— Tak — odpowiedziała Emilia. — Po przejściu na emeryturę zamieszkał tutaj, a jako człowiek miły i skromny nie chciał, aby jego sława rozeszła się tutaj. Teraz już wiem, dlaczego inspektorowi tak się oczy śmiały, gdy chciałam, aby mi powiedział, jakie to zbrodnie popełnił pan Duke.

Pan Duke zaśmiał się.

Charles się wahał. W krótkiej walce między wielbicielem a dziennikarzem zwyciężył dziennikarz.

— Jestem zachwycony, że pana poznałem, panie inspektorze — powiedział. — Otóż zastanawiam się, czy moglibyśmy pana namówić, aby napisał pan dla nas krótki artykuł, powiedzmy osiemset słów, na temat sprawy Trevelyana.

Emilia pomknęła szybko alejką do domu pani Curtis. Wbiegła do swego pokoju i wyciągnęła walizkę. Pani Curtis podążyła za nią na górę.

— Chyba nie odjeżdża pani jeszcze, panienko?

— Jadę, mam mnóstwo rzeczy do zrobienia w Londynie. No i mój narzeczonny...

Pani Curtis przysunęła się bliżej.

— Proszę mi powiedzieć, panienko, który to z nich?

Emilia pośpiesznie wrzucała ubrania do walizki.

— Ten z więzienia, oczywiście. Nigdy nie było innego.

— Och! A czy panienka nie sądzi, że może popełnia błąd? Czy pani jest pewna, że ten drugi dżentelmen jest wart tyle, co ten tutaj?

— O, nie — rzekła Emilia. — Bynajmniej. Ten tutaj da sobie radę. — Ujrzała przez okno, jak Charles nadal prowadzi poważne pertraktacje z nadinspektorem. — To człowiek, który urodził się po to, aby dawać sobie radę, ale nie wiem, co by się stało z tym drugim, gdybym o niego nie dbała. Widzi pani, co by się z nim stało teraz, gdyby nie ja?

— Nic tu więcej nie można dodać, panienko — powiedziała pani Curtis.

Wycofała się na dół, gdzie wpatrzony w przestrzeń siedział jej ślubny małżonek.

— Ta dziewczyna to żywy portret Belindy, córki mojej ciotecznej babki Sary — powiedziała pani Curtis. — Tej, co wyszła za mąż za tego nieszczęsnego Georga Plunketta spod Trzech Krów. A zadłużone to było i w ogóle. I w dwa lata długi zostały spłacone, a interes kwitnie.

— Aha — powiedział pan Curtis i pyknął z fajki.

— To był przystojny chłop, ten George Plunkett — wspominała pani Curtis.

— Aha — powiedział pan Curtis.

— Ale odkąd się ożenił z Belindą, nigdy nawet nie spojrzał na inną kobietę.

— Aha — powiedział pan Curtis.

— Nigdy by mu na to nie pozwoliła — dodała pani Curtis.

— Aha! — powiedział pan Curtis.